

Marc Levy

Jeszcze  
się  
spotkamy

Arthur zapłacił rachunek w hotelowej recepcji. Zostało mu jeszcze trochę czasu na przechadzkę po okolicy. Wsunął do kieszeni kwit, który wręczył mu pracownik przechowalni bagażu. Potem minął dziedziniec i ruszył ulicą des Beaux-Arts. Bruk splukany silnymi strumieniami wody obsychał w pierwszych promieniach słońca. Na ulicy Bonaparte otwierano już niektóre sklepy. Arthur zawahał się, przystając przed wystawą cukierni, ale ruszył w dalszą drogę. Przed nim, w świetle budzącego się dnia, wznosiła się biała dzwonnica kościoła Saint-Germain-des-Pres. Dotarł aż do placu Fiirstenberg, wciąż jeszcze uśpionego. Tylko w kwiaciarni podnoszono żelazną kratę. Arthur skinął na powitanie młodej kwiaciarce, która w białym fartuszkowi wyglądała jak urocza chemiczka. Oryginalne bukiety, które często układała wraz z nim, ukwiecały trzypokojowe mieszkanie, gdzie Arthur mieszkał jeszcze dwa dni temu.

Kwiaciarka odpowiedziała na jego powitanie, nie mając pojęcia, że więcej go nie zobaczy.

Kiedy przed weekendem oddał dozorczyńni klucze, zamknął za sobą wielomiesięczny etap życia za granicą oraz realizacji najbardziej ekstrawaganckiego projektu architektonicznego, jaki zrodził się w jego głowie — ośrodka kultury francusko-amerykańskiej.

Być może wróci tu kiedyś w towarzystwie kobiety, która zaprzęta jego myśli. Pokaże jej wąskie uliczki dzielnicy, którą tak polubił, będą się przechadzali wzdłuż brzegów Sekwany, gdzie spacerzy nabrały dla niego wyjątkowego uroku, nawet w częste w Paryżu deszczowe dni.

Usiadł na ławce, żeby napisać ważny list. Kiedy już prawie skończył, złożył kartkę, wsunął ją do koperty, nie zaklejając, i schował do kieszeni. Rzucił okiem na zegarek i ruszył w drogę do hotelu.

Zaraz miała przyjechać taksówka, samolot odlatywał za trzy godziny.

Tego wieczoru, po długiej nieobecności, którą sobie narzucił, będzie w swoim mieście.

# 1

Niebo nad zatoką San Francisco było ognistoczerwone. Za oknem wyłaniał się z obłoków mgły Golden Gate. Maszyna skręciła nad Tiburon i kierując się na południe, zaczęła wolno obniżać pułap lotu, potem znów skręciła, przelatując nad San Mateo Bridge. Siedząc w kabinie, odnosiło się wrażenie, że zsuwa się ku słonym jeziorom, które lśniły w oddali.

Kabriolet saab wśliznął się między dwie ciężarówki, przeciął trzy pasy ruchu, nie zważając na złożeńia kierowców, którzy migali światłami. Zjechał z Highway 101 i w ostatniej chwili przebił się na zjazd prowadzący na lotnisko międzynarodowe w San Francisco. Przed kompleksem budynków Paul zwolnił, żeby zerknąć na kierunkowskazy i wybrać właściwą drogę. Pomylił się, zaklął i przejechał ponad sto metrów na wstecznym, do zjazdu na parking.

Komputer pokładowy w kokpicie wskazywał wysokość siedmiuset metrów. Krajobraz wciąż się zmieniał. Las wież, które

prześcigały się nowoczesnością, wyraziście odcinał się od nieba w świetle schyłku dnia. Klapy skrzydeł wysunęły się, zwiększając siłę nośną i opór i umożliwiając znaczną redukcję prędkości. Wkrótce rozległ się głuchy odgłos otwieranego podwozia.

Na tablicy informacyjnej w terminalu zaanonsowano już lądowanie lotu AF 007. Zadyszany Paul wybiegł z windy i ruszył korytarzem. O mały włos nie przewrócił się na śliskim marmurze, pokonując zakręt. Na szczęście w ostatniej chwili złapał za rękaw kapitana, który szedł w przeciwnym kierunku, w biegu rzucił „przepraszam”, a potem kontynuował zwariowany wyścig z czasem.

Airbus A-340 Air France sunął wolno po pasie, a jego dziwaczny nos zbliżał się do oszklonego terminalu, co — trzeba przyznać — robiło duże wrażenie. Warkot turbin przeszedł w przeciągły świst, potem zamarł, a rękaw wysunął się, dotykając kadłuba.

Stojąc pod ścianą oddzielającą halę przylotów międzynarodowych, Paul pochylił się i oparł dłonie o kolana, by nabrać tchu. Otworzyły się drzwi, fala pasażerów wylała się do holu.

Rozsuwając ręką oczekujących, Paul przedzierał się w stronę swego najbliższego przyjaciela.

— Chyba nie chcesz mnie udusić — roześmiał się Arthur, którego Paul chwycił w ramiona.

Kioskarka obserwowała ich z rozczuleniem.

— Przestań, to zaczyna być naprawdę żenujące — powiedział Arthur, by położyć kres temu wylewnemu powitaniu.

— Dobrze wiesz, że mi ciebie brakowało — wzruszył ramieniem Paul, prowadząc go do windy, która zjeżdżała na parking. Arthur rzucił drwiące spojrzenie.

— A cóż to za hawajska koszula? Czyżbyś bawił się w Magnum?

Paul przejrzał się w lustrze na ścianie kabiny i wydał usta, zapinając guzik koszuli.

— Wpadłem otworzyć drzwi twojego nowego gniazdka w Delahaye Moving — wyjaśnił Paul. — Firma przeprowadzkowa przedwczoraj dostarczyła kartony. Starałem się to jakoś ułożyć, oczywiście w miarę możliwości. Wykupiłeś cały Paryż, czy może byłeś łaskaw zostawić parę drobiazgów w tamtejszych sklepach?

— Dziękuję, że się tym zająłeś. A jak tam mieszkanie? Ładne?

— Zobaczysz, mam nadzieję, że ci się spodoba. W dodatku jest blisko biura.

Odkąd Arthur zakończył budowę ogromnego centrum kultury, Paul robił, co mógł, żeby nakłonić go do powrotu do San Francisco. Nie potrafił wypełnić pustki, jaka powstała w jego życiu po wyjeździe człowieka, którego kochał jak brata.

— Miasto prawie się nie zmieniło — zauważył Arthur.

— Zbudowaliśmy dwie wieże między Czternastą i Siedemnastą Ulicą, hotel i biura, a ty mówisz, że nic się tu nie zmieniło?

— A co słyszać w naszym biurze architektonicznym?

— Pomijając problemy z twoimi paryskimi klientami, idzie nam całkiem nieźle. Maureen wraca z urlopu za dwa tygodnie, zostawiła ci na biurku liścik, już nie mogła się ciebie doczekać.

Gdy w Paryżu trwała budowa, Arthur i jego asystentka po kilka razy dziennie rozmawiali ze sobą przez telefon, bo to ona czuwała nad wszystkimi bieżącymi sprawami.

Paul o mało nie przeoczył zjazdu z autostrady na ślimak, który prowadził do Trzeciej Ulicy, więc w ostatniej chwili

przeciął kilka pasów ruchu i ten niebezpieczny manewr ściągnął na niego przekleństwa kierowców. Rozbrzmiały klaksony.

— Przepraszam — wymamrotał, zerkając w lusterko wsteczne.

— Nie przejmuj się, gdybyś raz przejechał przez Etoile, niczego byś się już nie bał.

— Co to takiego?

— Największa karuzela zderzaków samochodowych na świecie, w dodatku bezpłatna!

Arthur wykorzystał postój na skrzyżowaniu z Van Ness Avenue, żeby otworzyć dach w kabriolectic. Zwijał się z potwornym zgrzytem.

— Nie jestem w stanie rozstać się z tym samochodem — powiedział Paul. — Cierpi na lekki reumatyzm, ale poza tym trzyma się całkiem dobrze.

Arthur opuścił szybę i wciągnął powietrze, które płynęło znad morza.

— Jak było w Paryżu? — zapytał z ciekawością Paul.

— Aż się roi od paryżanek!

— A paryżanki?

— Eleganckie jak zawsze!

— A ty i paryżanki? Miałeś jakieś przygody?

Arthur przez chwilę milczał.

— Jeśli ci o to chodzi, to nie wstąpiłem do klasztoru.

— Mam na myśli poważne sprawy. Jesteś zakochany?

— A ty? — odpowiedział pytaniem Arthur.

— Samotny!

Saab przetoczył się w Pacific Street, sunąc na północ miasta. Przy skrzyżowaniu z Fillmore Paul zaparkował.

— Oto twój nowy *home sweet home*. Mam nadzieję, że ci się tu spodoba, ale jeżeli nie będzie ci tu dobrze, możemy dogadać się z agencją nieruchomości. Trudno wybierać za kogoś...

Arthur przerwał przyjacielowi — był pewien, że polubi to miejsce.

Szli przez hol niewielkiej kamienicy, dźwigając bagaże.

Windą dotarli na trzecie piętro. Kiedy mijali w korytarzu drzwi opatrzone numerem osiemnaście, Paul wspomniał Arthurowi, że spotkał jego sąsiadkę, „piękność”, dorzucił szeptem, przekręcając klucz w zamku mieszkania naprzeciwko.

Z salonu rozpościerał się widok na dachy Pacific Heights. Gwiazdzista noc wdzierała się do pokoju. Ludzie z firmy przeprowadzko wej ustawili meble przysłane z Francji i deskę kreślarską, która znalazła się na wprost okna. Pudła z książkami zostały opróżnione, a ich zawartość panoszyła się już na półkach biblioteki.

Arthur zaczął od przestawiania mebli. Kanapa zwróciła się w stronę okna, jeden z dwóch foteli stanął przy kominku.

— Nie wyzbyłeś się pedanterii, co?

— Chyba tak jest lepiej?

— Wręcz doskonale — odparł Paul. — A tobie się podoba?

— Czuję się jak u siebie!

— Wreszcie wróciłeś do swojego miasta, do swojej dzielnicy, a przy odrobinie szczęścia — do własnego życia!

Paul oprowadzał go po pozostałych pomieszczeniach. Sypialnia była przestronna, z szerokim łóżkiem, dwoma stolikami nocnymi i konsolą. Księżyc zaglądał przez niewielkie okno w przylegającej łazience. Arthur natychmiast je otworzył, by nacieszyć oczy pięknym widokiem.

Paul wściekał się na myśl, że tego wieczoru musi zostawić przyjaciela samego, był jednak umówiony na służbową kolację, bo ich biuro zabiegało o duże zlecenie.

— Chętnie poszedłbym z tobą — oświadczył Arthur.

— Po tej zmianie czasu już teraz wyglądasz jak zombi, więc lepiej zostań w domu. Wpadnę po ciebie jutro, pójdziemy razem na obiad.

Paul uścisnął Arthura, raz jeszcze powtarzając, jak bardzo cieszy się z jego powrotu. Wychodząc z łazienki, odwrócił się i dotknął palcami ściany.



— A! W tym mieszkaniu jest coś cudownego, czego jeszcze nie zauważyłeś!

— Co takiego? — zapytał Arthur.

— Ani jednej szafy w ścianie!

W sercu San Francisco soczystozielony triumph szybko skręcił w Potrero Avenue. John Mackenzie, szef ochrony parkingu San Francisco Memoriał Hospital, odłożył gazetę. Rozpoznał osobliwy szmer silnika wozu młodej lekarki, gdy tylko minęła skrzyżowanie z Dwudziestą Drugą Ulicą. Opony kabrioletu zapisały przed budką strażnika, a Mackenzie wstał z taboretu i spojrzał na maskę, wsuniętą pod barierkę niemal do przedniej szyby.

— Śpieszy się pani, bo trzeba natychmiast operować szefa, a może robi to pani tylko po to, żeby mnie zdenerwować? — zapytał, kręcąc głową.

— Odrobina adrenaliny nikomu jeszcze nie zaszkodziła, powinien mi pan podziękować, John. A teraz może mnie pan już wpuścić?

— Nie ma pani dziś dyżuru, nie zarezerwowałem dla pani miejsca na noc.

— Zostawiłam w szafce podręcznik do neurochirurgii, wróć za minutkę!

— Przy tej zwariowanej pracy w końcu zabije się pani w swoim gracie, pani doktor. Numer dwadzieścia siedem, w końcu po prawej, jest wolny.

Lauren podziękowała strażnikowi uśmiechem, barierka poszła w górę, a wóz z piskiem przejechał po zaporze. Wiatr rozwiął włosy lekarki, odsłaniając bliznę na czole — ślad po wypadku.

Stojąc pośrodku salonu, Arthur oswajał się z nowym domem. Paul umieścił na jednej z półek biblioteki małą wieżę stereofoniczną.

Arthur włączył radio i zabrał się do rozpakowywania ostatnich pudeł, które czekały na jego powrót w kącie pokoju. Na dźwięk dzwonka oderwał się od pracy i podszedł do drzwi. Uroczą starszą pani wyciągnęła do niego rękę.

— Nazywam się Rosę Morrison i jestem pańską sąsiadką!

Arthur zaproponował, żeby weszła, ale podziękowała mu za zaproszenie.

— Chętnie pogawędziłabym z panem, ale dziś wieczorem jestem bardzo zajęta. Uzgodnijmy więc: żadnego rapu, żadnego techno, ewentualnie rock, i to wyłącznie dobry, a co do hip-hopu, zobaczymy. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dzwonić, tylko długo, bo jestem głucha jak pień!

I miss Morrison oddaliła się korytarzem. Rozbawiony Arthur jeszcze przez chwilę stał w progu, obserwując sąsiadkę.

Po godzinie poczuł ściskanie w żołądku i przypomniał sobie, że nie jadł nic poza posiłkiem w samolocie. Nie robiąc sobie większych nadziei, zajrzał do lodówki i ku swemu zdziwieniu znalazł tam butelkę mleka, kostkę masła, paczkę tostów, paszтет i liścik od Paula, który życzył mu smacznego.

Hol izby przyjęć pękał w szwach. Nosze, krzesła, wózki inwalidzkie, ławki — wszystkie miejsca, na których można by przysiąść, były zajęte. Lauren zerknęła na listę pacjentów. Ledwie nazwiska tych, których już przyjęto, znikwały z białej tablicy, natychmiast na ich miejscu pojawiały się nowe.

— Czyżbym przeoczyła trzęsienie ziemi? — zwróciła się z ironicznym uśmiechem do siedzącej w rejestracji pielęgniarki.

— Całe szczęście, że przyszałaś, zupełnie sobie nie radzimy.

— Właśnie widzę. Co się stało? — zapytała Lauren.

— Przyczepa oderwała się od ciężarówky i wpadła przez

witrynę do supermarketu. Dwudziestu trzech rannych, w tym dziesięciu ciężko. Siedmiu leży w boksach za mną, trzech czeka na tomografię, a ja dzwonię na reanimację, żeby przysłali nam kogoś do pomocy — opowiadała Berty, wręczając jej plik papierów.

— Zapowiada się uroczy wieczór! — stwierdziła Lauren, sięgając po fartuch.

I poszła do pierwszego boksu.

Młoda kobieta leżąca na łóżku mogła mieć około trzydziestki. Lauren szybko przeczytała informacje zapisane w karcie. Strużka krwi ciekła z lewego ucha chorej. Lekarka, która tak niedawno cudem powróciła do świata żywych, sięgnęła po przyczępioną do fartucha latarkę laryngologiczną i uniosła powieki pacjentki — źrenice nie reagowały na światło. Obejrzała sine końcówki palców i delikatnie odłożyła rękę pacjentki. Z poczucia odpowiedzialności przytknęła jeszcze stetoskop do klatki piersiowej, zanim zakryła twarz zmarłej prześcieradłem. Lauren zerknęła na zegar ścienny i zapisała godzinę w karcie, a potem wyszła z sali, by udać się do sąsiedniej. Na karcie, którą pozostawiła na łóżku, widniała godzina dwudziesta dwadzieścia jeden, bo czas zgonu musi być równie precyzyjny jak czas narodzin.

Arthur zaglądał we wszystkie zakamarki kuchni, szperał w szufladach, a wreszcie zakręcił gaz pod gotującą się wodą. Wyszedł z mieszkania, by zadzwonić do sąsiadki. Ponieważ nikt nie odpowiadał, zamierzał już odejść, wtedy jednak drzwi się otworzyły.

— Uważa pan, że to się nazywa „dzwonić długo”? — powitała go miss Morrison.

— Nie chciałem pani przeszkadzać... czy mogłaby mi pani pożyczyć soli?

Miss Morrison spojrzała na niego, skonsternowana.

— Aż trudno uwierzyć, że mężczyźni używają jeszcze takich szytych grubymi nićmi podstępów, żeby poderwać kobietę!

W oczach Arthura rozbłysło zaniepokojenie, ale szczerzy śmiech starszej pani szybko je rozwiął.

— Szkoda, że się pan teraz nie widzi! Proszę wejść, przyprawy stoją w koszyczku przy zlewie — powiedziała, wskazując kuchenkę przylegającą do salonu. — Niech pan weźmie wszystko, czego panu trzeba, przepraszam, ale jestem bardzo zajęta.

I szybko wróciła na ulubione miejsce w masywnym fotelu przed telewizorem. Arthur przystanął za kuchenną ladą i z zaciekawieniem obserwował białą głowę miss Morrison, podrygującą nad oparciem fotela.

— No, chłopcze, zostań albo idź, rób, co chcesz, byle cicho, bo za minutę Bruce Lee wykona niesamowite *kała* i przyłoży temu gnojkwowi, szefowi triady, który zaczyna mi działać na nerwy.

I starsza pani wskazała mu drugi fotel, zapraszając, by po cichu usadowił się wraz z nią przed telewizorem!

— Po tej scenie weźmie pan sobie talerz pieczonego mięsa z lodówki i razem ze mną obejrzy koniec filmu. Nie pożałuje pan! Poza tym kolacja we dwoje zawsze lepiej smakuje!

Mężczyzna przypięty pasami do stołu zabiegowego ucierpiał, doznając skomplikowanych złamań kończyn dolnych. Sądząc z jego pobladłej twarzy, słowo „cierpienie” było tu jak najbardziej na miejscu.

Lauren otworzyła szafkę z lekami, by sięgnąć po szklaną ampułkę i strzykawkę.

— Nie znoszę zastrzyków — jęknął pacjent.

— Ma pan połamane obie nogi, a boi się pan głupiej igły?! Mężczyźni zawsze mnie zdumiewają!

— Czy to szkodliwe?

— Ból powoduje stres, kołatanie serca, wzrost ciśnienia, a nawet nieodwracalne zmiany neurologiczne... proszę mi wierzyć, że to bardziej szkodliwe od kilku miligramów morfiny.

— Neurologiczne?

— Czym pan się trudni, panie Kowack?

— Jestem mechanikiem samochodowym.

— W takim razie zawrzyjmy umowę: zaufa mi pan w sprawie leczenia, a ja przyprowadzę do pana mojego triumpha i pozwolę panu robić z nim, co pan zechce.

Lauren nałożyła igłę na cewnik i wcisnęła tłok strzykawki. Wprowadzając alkaloid do krwi Francisza Kowacka, uwalniała pacjenta od cierpień. Płyn dostał się do żyły odłokciowej, a po dotarciu do pnia mózgu miał powstrzymać przekazywanie bodźców bólowych. Lauren usiadła na taborecie obrotowym i otarła czoło pacjenta, kontrolując jego oddech. Mężczyzna stopniowo się uspokajał.

— Ten środek nazywa się morfiną przez skojarzenie z morfeuszem, toteż proszę teraz odpocząć. Miał pan dużo szczęścia.

Kowack wzniósł oczy do nieba.

— Spokojnie robiłem zakupy — wymamrotał. — Ciężarówka potrafiła mnie w dziale mrożonek, mam nogi w kawałkach... Może wyjaśni mi pani, co w środowisku medycznym nazywa się „szczęściem”?

— To, że nie znalazł się pan w sąsiedniej sali!

Zasłona gabinetu przesunęła się po szynie. Profesor Fernstein, jak zwykle w takie fatalne dni, wyglądał jak chmura gradowa.

— Wydawało mi się, że ma pani wolny weekend? — powiedział.

— Ja też wierzyłam, że tak będzie, ale wiara jest dobra w sprawach religii! — odparła Lauren. — Wpadłam tu tylko na chwilę, no i jak pan widzi, znalazło się dla mnie zajęcie — dodała, nie przerywając badania.

— W izbie przyjęć i na ostrych dyżurach zawsze znajdzie się jakieś zajęcie. Lekceważąc własne zdrowie, naraża pani pacjentów. Ile godzin przepracowała pani w tym tygodniu? Właściwie nie wiem, po co pytam, bo gotowa mi pani powiedzieć, że kiedy się kocha swoją pracę, nie liczy się godzin — rzucił gniewnie Fernstein, wychodząc z gabinetu.

— Miałam taki zamiar — odburknęła, przytknąwszy stetoskop do piersi mechanika, który wpatrywał się w nią przerażony. — Proszę się nie bać, jestem w doskonałej formie, a tamten facet ciągle wszystkich beszta.

Po chwili pojawiła się Betty.

— Zajmę się nim — powiedziała, zwracając się do Lauren. — Jesteś potrzebna obok, naprawdę nie dajemy już rady!

Lauren wstała i poprosiła pielęgniarkę, żeby zadzwoniła do jej matki. Miała zostać w szpitalu do rana, więc ktoś musiał zająć się jej suczką Kali.

Miss Morrison zmywała talerze, Arthur przysypiał na kanapie.

— Wydaje mi się, że powinien pan się przespać.

— Też tak sędzę — odparł Arthur, przeciągając się. — Dziękuję za miły wieczór.

— Witamy przy Pacific Street 212. Z natury jestem trochę za powściągliwa i dyskretna, ale gdyby pan czegoś potrzebował, proszę się nie krępować.

Tuż przed wyjściem Arthur zauważył leżącego pod stołem biało-czarnego psiaka.

— To Pablo — wyjaśniła miss Morrison. — Kiedy się na niego patrzy, wygląda, jakby zdechł, a on po prostu sobie śpi. To jego ulubione zajęcie. Właściwie już czas, by wyjść z nim na spacer.

— Może ja go wyprowadzę?

— Lepiej będzie, jeżeli pójdzie pan spać, bo obawiam się, że rano znalazłabym was obu chrapiących pod jakimś drzewem.

Arthur pożegnał się i wrócił do siebie. Chętnie poświęciłby jeszcze chwilę na porządki, jednak zmęczenie wzięło górę nad zapałem.

•

Leżąc w łóżku z głową wspartą na rękach, spoglądał przez uchylone drzwi sypialni. Piętrzące się w salonie pudła ożywiały wspomnienie pewnej nocy, kiedy to, w innej epoce swego życia, urządzał się na ostatnim piętrze wiktoriańskiej kamienicy. To było niedaleko stąd.

Minęła druga nad ranem, gdy Betty zaczęła szukać Lauren. Potem chciała wykorzystać chwilę spokoju i uzupełnić zapasy w apteczce gabinetu. Przeszła kilka kroków, zawróciła i odsunęła zasłonę ostatniej sali. Skulona na łóżku Lauren spała jak niemowlę. Betty zaciągnęła zasłonę i odeszła, kiwając głową.

## 2

Arthur obudził się koło południa. Łagodne światło stojącego w zenicie słońca wpadało przez okno w salonie. Przygotował sobie skromne śniadanie i zadzwonił na komórkę Paula.

— Cześć, Baloo — powitał go przyjaciel. — Widzę, że uciałeś sobie niezłą drzemkę.

Paul zaproponował wspólny obiad, ale Arthur wpadł na inny pomysł.

— Krótko mówiąc, zostawiasz mi wybór: albo pójdziesz do Carmelu piechotą, albo mam cię tam zawieźć? — dopytywał się Paul.

— Ależ skąd! Chciałbym tylko odebrać forda z warsztatu twojego ojczyma, a potem pojechalibyśmy tam razem.

— Twój samochód stoi od niepamiętnych czasów! Czyżbyś chciał spędzić weekend, czekając na autostradzie na pomoc drogową?

Ale Arthur odparł, że wóz czasami jeszcze dłużej pograżony był we śnie, a poza tym ojczym Paula, jako pasjonat starych aut, z pewnością dobrze się nim opiekował.

— Mój stary ford z lat sześćdziesiątych miewa się lepiej niż twój antyczny kabriolet.

Paul spojrział na zegarek — miał jeszcze kilka minut na



zatelefonowanie do warsztatu. Jeżeli zdąży, Arthur może po prostu spotkać się z nim na miejscu.

O trzeciej przyjaciele stanęli przed drzwiami warsztatu. Paul obrócił klucz w zamku i wszedł do środka. Pomiedzy czekającymi na naprawę wozami policyjnymi Arthur zauważył stary ambulans okryty plandeką — zapewne ten sam, którym kiedyś jechał. Podszedł, by odchylić płachtę. Na widok okienka ogarnęło go wzruszenie. Okrążył samochód i po chwili wahania otworzył drzwi. W kabinie, pod grubą warstwą kurzu, dostrzegł nosze, które wzbudziły tak wiele wspomnień, że Paul musiał krzyknąć, żeby przywołać go do rzeczywistości.

— Zapomnij o tej dyni, Kopciuszku, i chodź tu, bo musimy przestawić trzy samochody, żeby wyprowadzić forda. Skoro mamy jechać do Carmelu, to nie chciałbym przegapić zachodu słońca.

Arthur opuścił plandekę i gładząc ją, mruknął: „do zobaczenia, Daisy”.

Wystarczyło trzy razy wcisnąć pedał gazu, potem przetrwać krótkie pokasztywania samochodu, żeby usłyszeć regularny szmer silnika. Po kilku manewrach Arthura i tyłuż przekleństwach Paula samochód wytoczył się z garażu i ruszył przez miasto na północ, w kierunku biegnącej wzdłuż Pacyfiku, „jedyńki”.

— Wciąż jeszcze o niej myślisz? — zapytał Paul.

Arthur bez słowa otworzył okno. Chłodny powiew wiatru wdarł się do kabiny.

Paul stuknął w lusterko wsteczne, jakby testował mikrofon.

— Raz, dwa, trzy, tak, to działa, czekaj, powtórzę próbę... Wciąż o niej myślisz?

— Zdarza mi się — odparł Arthur.

— Często?

— Trochę rano, trochę w południe, trochę wieczorem, trochę w nocy.

— Słusznie postąpiłeś, wyjeżdżając do Francji, żeby o niej

zapomnieć. Wygląda na to, że się wyleczyłeś! W weekendy też o niej myślisz?

— Nie powiedziałem, że wyrzekam się życia, a ty pytałeś tylko, czy o niej myślę, więc odpowiedziałem. Jeżeli cię to uspokoi, to przyznam, że przeżyłem kilka miłostek, ale zmień już temat, bo nie mam ochoty o tym mówić.

Samochód mknął ku zatoce Monterrey i Paul spoglądał na przesuające się za oknem plaże Pacyfiku. Kolejne kilometry przejechali w milczeniu.

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz się z nią spotkać? — zapytał w końcu Paul.

Arthur nie odpowiedział i znów zapadła cisza.

Za oknem plaże zamieniały się w rozlewiska, przy których biegła asfaltowa wstęga drogi. Paul wyłączył radio, bo między wzgórzami zakłócenia stawały się nieznośne.

— Przyspiesz, nie zdążymy przed zachodem słońca!

— Mamy w zapasie dwie godziny, a poza tym nie wiedziałem, że jesteś miłośnikiem romantycznych widoków.

— Gwiżdżę na zachód słońca! Chodzi mi o dziewczyny na plaży!

Słońce stało coraz niżej nad horyzontem i jego promienie przenikały między półkami biblioteczki stojącej pod oknem w rogu salonu. Lauren przespała prawie całe popołudnie. Rzuciła okiem na zegarek i poszła do łazienki. Opłukała twarz, a potem otworzyła drzwi szafy, wahając się, czy wybrać spodnie, czy dresy. Mogła sobie pozwolić tylko na krótki bieg po alejach Mariny, jeśli chciała zdążyć na nocny dyżur, ale uznała, że musi się trochę przewietrzyć.

Przebrała się, rezygnując z porządnej kolacji, i postanowiła, że wobec tak absurdalnych godzin pracy zje cokolwiek po drodze. Wcisnęła przycisk automatycznej sekretarki. Głos przyjaciela przypominał jej, że tego wieczoru mają oboje iść na

projekcję jego nowego filmu. Skasowała wiadomość, nie czekając nawet, aż Robert poda godzinę spotkania.

Ford przed kwadransem zjechał z Jedyunki". W dali, na zboczach, widać już było ogrodzenie posiadłości. Arthur wszedł w zakręt i skierował wóz w stronę Carmelu.

— Mamy mnóstwo czasu, zostawmy najpierw rzeczy — zaproponował Paul.

Ale Arthur nie chciał zawracać — miał inne plany.

— Powinienem być kupić spinacze do bielizny — ciągnął Paul. — Jeżeli nawet zdołamy przebić się przez tę masę pajęczyn, to dom i tak będzie cuchnął stęchlizną, jak myślisz?

— Czasami zastanawiam się, czy ty kiedyś dorośniesz. Dom jest regularnie sprzątany, czeka na ciebie łóżko z czystą pościelą. Nie przyszło ci do głowy, że we Francji też są telefony, a nawet komputery, Internet i telewizja? Chyba tylko w kafejce w Białym Domu wszyscy są przekonani, że Francuzi nie mają bieżącej wody!

Jechał teraz drogą prowadzącą na szczyt wzgórza. Przed nimi wznosiła się kuta brama cmentarza.

Kiedy Arthur wysiadł, Paul zajął miejsce za kierownicą.

— Przyznaj jednak, że w tym zaczarowanym domu, który sam dba o siebie, kiedy cię nie ma, kuchenka i lodówka nie wpadły na pomysł, żeby przygotować nam kolację?

— Nie, na to nie możesz liczyć.

— W takim razie trzeba zrobić drobne zakupy, zanim pozamykają sklepy. Zaraz wrócę — rzucił z lekka rozbawiony Paul. — Zresztą i tak wolę cię zostawić samego przy grobie mamy.

Dwa kilometry dalej był sklep spożywczy i Paul obiecał, że się pośpieszy. Arthur odprowadził spojrzeniem wóz, za którym

wznosiły się tumany pyłu. Odwrócił się i podszedł do bramy. W łagodnym świetle dusza Liii zdawała się krążyć tuż nad nim. Odkąd umarła, często odnosił takie wrażenie. W końcu alei odnalazł pobielający w słońcu kamień nagrobny. Przymknął oczy. Poczul zapach dzikiej mięty. Przemówił półgłosem.

*Przypominam sobie pewien dzień w ogrodzie różanym. Bawiłem się, siedząc na ziemi. Miałem wtedy sześć, może siedem lat. Zaczynał się nasz ostatni wspólny rok. Wyszłaś z kuchni, żeby usiąść na werandzie. Nie widziałem cię. Antoine poszedł nad morze, więc korzystałem z okazji, by pobawić się zakazanymi zabawkami — ciąłem różę jego sekatorem, stanowczo za dużym dla rąk małego chłopca. Wstałaś z huśtawki i zeszłaś po schodach, żeby uchronić mnie przed niechybny skaleczeniem.*

*Kiedy usłyszałem twoje kroki, przestraszyłem się, że na mnie nakrzyczysz, bo zawiodłem zaufanie, którym tak hojnie mnie obdarzałaś, że zabierzesz mi narzędzie, jak odbiera się medal temu, kto nie jest go już godny. Ale nie, ty tylko usiadłaś obok mnie i patrzyłaś. Potem ujęłaś moją rękę, by ją poprowadzić. Łagodnym głosem, uśmiechając się, powiedziałaś, że zawsze trzeba ciąć powyżej oczka, w przeciwnym razie można bowiem zranić różę, a przecież człowiek nie powinien ranić róż, prawda? Któż jednak myśli o tym, co rani ludzi?*

*Nasze oczy się spotkały. Delikatnie pogładziłaś mnie po buzi i zapytałaś, czy nie czuję się samotny. Kręciłem głową, zapewniając, że nie, i wkładałem w to tyle energii, ile trzeba, żeby ukryć kłamstwo. Nie zawsze mogłaś przyłączyć się do mnie, pokonując dystans wieku, a ja zapełniałem tę przestrzeń na swój sposób. Mamo, czy wierzysz w przeznaczenie, które każe nam kopiować zachowania rodziców?*

*Pamiętam słowa ostatniego listu, który do mnie napisałaś. Ja także się poddałem, mamo.*

Me wyobrażałem sobie, że można kochać tak, jak ją pokochałem. Wierzyłem w nią, jak wierzy się w sen. A kiedy ten sen się rozwiął, ja też przestałem istnieć. Myślałem, że znajdę w sobie dość siły albo abnegacji, a jednak skłonny byłem ogłuchnąć na słowa wszystkich, którzy zakazywali mi ją widywać. Wyjście ze śpiączki jest jak odrodzenie. Lauren potrzebowała obecności najbliższych. A jej rodzina, najbliżsi, to jedynie matka i przyjaciel, z którym znów się związała. Cóż, ja jestem dla niej tylko obcym człowiekiem. Na pewno nie będę tym, który jej powie, że całe otoczenie pogodziło się już z faktem, że trzeba pozwolić jej umrzeć! Nie miałem prawa burzyć kruchej równowagi, której tak bardzo potrzebowała.

Matka Lauren błagała, bym jej nie mówił, że i ona się poddała. Neurochirurg przysięgał, że mogłoby to wywołać u Lauren szok, z którego już by nie wyszła. Przyjaciel, który do niej wrócił, stał się dodatkową barierą między nami.

Wiem, co myślisz. Prawda tkwi w czym innym, strach ma różne oblicza. Potrzebowałem sporo czasu, by przyznać, że bałem się, iż nie zdołam pociągnąć jej za sobą na drodze ku spełnieniu mych marzeń, że im nie sprodam, że nie potrafię ich zrealizować, bałem się wreszcie, że nie jestem mężczyzną, na którego czekała, a jeszcze bardziej, że dowiem się, iż mnie zapomniała.

Po tysiąckroć myślałem, że powinienem do niej iść, ale i wtedy ogarniał mnie strach, że mi nie uwierzy, że nie będziemy już umieli razem się śmiać, że ujrzę kobietę inną od tej, którą kochałem, a przede wszystkim — że znów ją utracę, bo tego na pewno bym nie zniósł. Wyjechałem za granicę, żeby być dalej od niej. Ale kiedy się kocha, żadna odległość nie jest wystarczająco duża. Jeśli, jakaś kobieta na ulicy była do niej podobna, ja widziałem w niej Lauren; wystarczyło, że moja ręka nabazgrała jej imię, a Lauren stawała przede mną. Kiedy przymknąłem

*oczy, widziałem jej oczy; kiedy milczałem, jej głos brzmiał mi w uszach. I w ten sposób zaprzepaściłem najwspanialszy projekt, jaki miałem wykonać — zbudowałem centrum kultury, którego fasada wyłożona jest płytkami, zupełnie jak jakiś szpital!*

*Wyjeżdżałem stamtąd, uciekałem przed własnym tchórzostwem. Podałem się, mamó, i nawet sobie nie wyobrażasz, jak wielki mam o to do siebie żal. Żyję nadzieją, że los znów skrzyżuje nasze drogi, ale nie wiem, czy odważę się do niej odezwać. Teraz muszę ruszyć z miejsca i wiem, że zrozumiesz, dlaczego robię z twoim domem to, co robię, i że nie będziesz miała mi tego za złe. Ale nie martw się, mamó, nie zapomniałem, że samotność to ogród, w którym nic nie rośnie. Choć dziś żyję bez niej, nigdy nie jestem sam, bo ona gdzieś żyje.*

Arthur pogładził biały marmur i usiadł na jeszcze ciepłym po słonecznym dniu kamieniu. Po murze, który otaczał grób Liii, pięła się winorośl. Każdego lata rodziła kilka kiści winogron, jakby w prezencie dla ptaków z Carmelu.

Arthur usłyszał kroki na żwirze i obejrzał się, gdy Paul siedał przed grobem o kilka metrów od niego. Po chwili on także przemówił tonem wyznania.

— Nie wygląda to najlepiej, pani Tarmachov! Pani nagrobek jest w opłakanym stanie, doprawdy, aż wstyd! Minęło dużo czasu, ale to naprawdę nie moja wina. Z powodu kobiety, której ducha widywał, ten szaleniiec postanowił porzucić najlepszego przyjaciela. Cóż, lepiej późno niż wcale, przywiozłem wszystko, czego nam trzeba!

Z torby z zakupami wyciągnął szczotkę, płyn do mycia, butelkę wody, a potem zaczął energicznie szorować kamień.

— Mogę zapytać, co ty wyrabiasz? — zainteresował się Arthur. — Czyżbyś znał tę panią Tarmachov?

— Jakim cudem?! Przecież umarła w tysiąc dziewięćset szóstym.

— Paul, skończ na chwilę z tymi wygłupami, przecież to cmentarz, miejsce ciszy i skupienia!

— Właśnie się skupiłem na szorowaniu pomnika!

— Na grobie obcej kobiety?

— Stary, ona nie jest obca — oznajmił Paul, wstając. — Tyle razy zmuszałeś mnie, żebym przychodził z tobą na cmentarz, kiedy chciałeś odwiedzić matkę, że nie urządzisz mi chyba teraz sceny zazdrości tylko dlatego, że polubiłem jej sąsiadkę!

I Paul dalej szorował nagrobek, przywracając mu pierwotną biel. Potem z zadowoleniem przyglądał się efektom swej pracy. Arthur zerknął na niego z lekka skonsternowany i wstał.

— Daj kluczyki od samochodu!

— Do zobaczenia, pani Tarmachov — powiedział Paul. — Niech się pani nie martwi, bo wszystko wskazuje, że spotkamy się przynajmniej dwa razy przed Bożym Narodzeniem. Zresztą teraz będzie pani czysta do jesieni.

Arthur ujął przyjaciela za rękę.

— Musiałem jej powiedzieć o kilku ważnych rzeczach.

Paul skierował się ku głównej alei i ruszył w stronę żelaznej bramy cmentarza.

— Ale teraz chodźmy do domu, kupiłem ładny kawałek wołowiny, pogadamy sobie przy jedzeniu.

Na zwirowej alejce, przy której znajdował się zwrócony ku oceanowi grób Liii, pojawił się cień starego ogrodnika. Arthur i Paul podeszli do zaparkowanego nieco w dole samochodu. Paul zerknął na zegarek — słońce wkrótce miało skryć się za horyzontem.

— Kto prowadzi: ty czy ja? — zapytał.

— Starego forda mojej mamy? Nie żartuj, pozwoliłem ci na to tylko wyjątkowo!

Odjechali drogą, która biegła w dół zбочa.

— Wcale mi nie zależy, żeby prowadzić tego twojego starszka.

— W takim razie po co wciąż mi to proponujesz?

— Nie zawracaj mi głowy!

- Chcesz upiec tę wołowinę w kominku?
- Nie, zamierzałem to zrobić w biblioteczce!
- A gdybyśmy po plaży wybrali się do którejś knajpki przy porcie na langusty? — zaproponował Arthur.

Na horyzoncie rozciągała się już bladoróżowa zasłona utkana z szarf, które zdawały się łączyć niebo z oceanem.

Lauren biegła, ile sił w nogach. Odetchnęła, przysiadając na ławce przy przystani, żeby szybko zjeść kanapkę. Maszty jachtów i żaglówek kołysały się, poruszane lekką bryzą. W alei zobaczyła Roberta, który szedł w jej stronę, trzymając ręce w kieszeniach.

- Wiedziałem, że tu cię znajdę.
- Jesteś jasnowidzem, a może kazałeś mnie śledzić?
- Do tego nie trzeba ani wróżki, ani detektywa — powiedział, siadając obok niej. — Po prostu cię znam i wiem, że kiedy nie pracujesz albo nie śpisz, to na pewno biegasz.
- Znikam!
- Czy mnie też chcesz „zniknąć”? Nie odpowiadasz na telefony.
- Robercie, nie mam najmniejszej ochoty na takie rozmowy. Po wakacjach kończę staż i mam jeszcze masę pracy, jeśli chcę dostać stały etat i samodzielną pracę.
- Obchodzi cię tylko kariera zawodowa. Od wypadku wiele się zmieniło.

Lauren cisnęła resztkę kanapki do kosza na papiery i wstała, żeby zasnurować adidasy.

- Muszę się rozładować, nie pogniewasz się, jeśli jeszcze trochę pobiegam?
- Chodź — powiedział Robert, przytrzymując ją za rękę.
- Dokąd?
- Może chociaż raz zrobimy to, czego chcę ja, dobrze?
- I pociągnął ją za sobą, opiekuńczo obejmując ramieniem,



w stronę parkingu. Po chwili jego samochód mknął ku Pacific Heights.

Przyjaciele usiedli na skraju mola. Fale nabrały połysku oliwy, niebo zapłonęło ogniem.

— Pewnie znowu wtykam nos w cudze sprawy, ale chciałem tylko zauważyć, że słońce zachodzi po przeciwnej stronie — rzucił Arthur, zwracając się do Paula, który wpatrywał się w plażę.

— Powinieneś czasem w coś się wtrącić, bo to twoje słońce najprawdopodobniej wróci jutro w to samo miejsce, ale gdzie wtedy będą te dwie dziewczyny, to już wielka niewiadoma.

Arthur przyjrzał się dziewczynom, które siedziały na piasku i głośno się śmiały.

Podmuch wiatru rozwiały włosy jednej z nich, druga osłoniła oczy przed unoszącym się w powietrzu piaskiem.

— Miałeś świetny pomysł z tymi langustami — zawołał Paul, klepiąc kolano Arthura. — Zresztą na co dzień jem za dużo mięsa i ryby dobrze mi zrobią.

Na niebie nad zatoką Monterrey rozblęły pierwsze gwiazdy. Już tylko kilka par pozostało na plaży, by nacieszyć się ciszą i samotnością.

— To nie ryby, a skorupiaki — poprawił go Arthur, schodząc z mola.

— Kapryśne stworzonka! Mnie szepnęły dziś coś zupełnie innego! No dobrze, ta dziewczyna po prawej jest dokładnie w twoim typie, troszkę podobna do Lady Casper, ja biorę tę z prawej — rzucił Paul, wyprzedzając go.

— Masz klucze? — zapytał Robert, szperając po kieszeniach. — Zostawiłem swoje w biurze.

Weszła do mieszkania przed nim. Miała ochotę się odświeżyć, więc zostawiła go w salonie. Siedząc na kanapie, usłyszał szum wody.

Robert po cichu otworzył drzwi sypialni. Rzucił kolejne części garderoby na łóżko, potem bezszelestnie zakradł się do łazienki. Lustro było pokryte parą. Odsunął zasłonkę i wszedł do kabiny.

— Może umyć ci plecy?

Lauren milczała. Przywarła tylko do wyłożonej kafelkami ściany i poczuła miły chłód na brzuchu. Robert przyłożył dłonie do jej karku i zaczął masować ramiona, a potem objął ją czule. Zwiesiła głowę, poddając się jego pieścizdom.

Szef sali poprowadził ich do stolika przy przeszklonej ścianie. Onega śmiała się z opowieści Paula. Szczeniące lata, które spędził z Arthurem w internacie, potem ich studenckie życie i początki biura projektów, które założyli jako wspólnicy... Takimi historiami mógł bawić dziewczyny do późnej nocy. Tymczasem Arthur milczał, w zadumie wpatrując się w ocean. Kiedy kelner podał im gigantyczne langusty, Paul obudził Arthura, kopiąc go pod stołem.

— Wydaje mi się, że myślami jesteś daleko stąd — powiedziała szeptem siedząca obok Arthura Mathilde, nie chcąc przeszkadzać snującemu opowieści Paulowi.

— Nie musisz szeptać, on i tak cię teraz nie usłyszy. Przepraszam. Masz rację, wciąż bujam w obłokach, ale właśnie wróciłem z dalekiej podróży, a tę historię znam na wyrywki, bo przecież sam ją przeżyłem.

— A twój kumpel opowiada ją wszystkim dziewczynom, które zapraszacie na kolację? — roześmiała się Mathilde.

— Z kilkoma drobnymi różnicami. Poza tym często upiększa mój wizerunek. Ale masz rację, chętnie o tym mówi — odparł Arthur.

Mathilde długo mu się przyglądała.

— Tęsknisz za kimś, prawda? Masz to wypisane w oczach — powiedziała.

— Są takie trochę nawiedzone miejsca, w których budzą się wspomnienia.

— Minęło sześć długich tygodni, zanim otrząsnęłam się po ostatnim rozstaniu. Podobno na wylizanie ran potrzeba połowy czasu, jaki trwał związek. Aż pewnego ranka budzimy się i ciężar przeszłości znika bez śladu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak lekki czuje się wtedy człowiek. Jeśli chodzi o mnie, jestem wolna jak wiatr.

Arthur obrócił rękę Mathilde, jakby chciał z niej czytać.

— Masz szczęście — powiedział.

— A jak długo trwa twoja rekonwalescencja?

— Kilka lat!

— Tak długo byliście ze sobą? — zapytała wzruszona.

— Cztery miesiące.

Mathilde Berkane spuściła oczy i gwałtownie wbiła widelec w langustę.

Leżąc w łóżku, Robert leniwie wyciągnął rękę po dzinsy.

— Czego szukasz? — zapytała Lauren, która starała się szybko osuszyć włosy ręcznikiem.

— Pa...

— Chyba nie zamierzasz tu palić? — przerwała.

— Szukam gumy do żucia! — oznajmił, dumnie unosząc małą paczuszkę, którą wydobył z kieszeni.

— Ale bądź tak miły i zawiń ją w papierek przed wyrzuceniem, bo przeżuta guma jest naprawdę odrażająca.

Wskoczyła w spodnie i niebieską bluzkę ze znakiem San Francisco Memoriał Hospital.

— Dziwię ci się — odezwał się Robert, wspierając głowę

dłoni. — W szpitalu patrzysz na tyle okropnych rzeczy, a brzydzisz się gумы do żucia.

Lauren włożyła fartuch i poprawiła przed lustrem kołnierz. Na myśl o powrocie do pracy i do atmosfery izby przyjęć odzyskała dobry humor. Sięgnęła po leżące na stoliku klucze i wyszła z sypialni. W połowie salonu nagle zawróciła. Spojrzała na Roberta, który wciąż leżał nago w łóżku.

— Nie rób miny smutnego spaniela, bo tak naprawdę potrzebujesz tylko kobiety, która poszłaby u twego boku na dzisiejszą prapremierę. Skupiasz się wyłącznie na sobie... a ja mam dyżur!

Zamknęła drzwi mieszkania i wyszła na parking. Chwilę potem jechała triumphem przez ciemne miasto, gdzie wciąż jeszcze czuło się ciepło słonecznego dnia. Latarnie przy Green Street zapalały się kolejno, jakby chciały uczcić jej przejazd. Uśmiechnęła się na tę myśl.

### 3

Stary ford wspinał się po zboczu w rdzawym blasku księżyca, który spowijał całą zatokę Monterrey. Od rozstania z dziewczętami, które zostawili przed hotelikiem, Paul nie odezwał się słowem. Arthur wyłączył radio i zjechał na parking przy falezie. Zgasił silnik, oparł brodę na rękach, którymi wciąż trzymał kierownicę. Sylwetka domu rysowała się w dali. Otworzył okno i do kabiny dostało się powietrze pachnące dziką miętą porastającą wzgórza.

— Dlaczego się boczysz? — zapytał Arthur.

— Uważasz mnie za idiotę?

Paul uderzył pięścią w tablicę rozdzielczą.

— Tego samochodu też chcesz się pozbyć? Wyrzucić wszystkie wspomnienia?

— O czym ty mówisz?

— Właśnie uświadomiłem sobie, co tobą powodowało. „Najpierw podjedźmy na cmentarz, zaraz potem na plażę, no i lepiej zjedźmy langusty w porcie”. Myślałeś, że po ciemku nie zobaczę na bramie tablicy z napisem „Do sprzedania”? Kiedy podjąłeś decyzję?

— Parę tygodni temu, ale nie mam jeszcze żadnej poważnej oferty.

— Radziłem ci zapomnieć o jednej kobiecie, a nie puścić

z dymem bibliotekę przeszłości. Pożałujesz, że pozbyłeś się domu Liii. Któregoś dnia wrócisz tu, będziesz krążył przy ogrodzeniu i zadzwonisz do drzwi. A kiedy nieznajomi oprowadzą cię po twoim własnym domu, a potem zamkną za tobą drzwi twojego dzieciństwa, poczujesz się samotny, przerażająco samotny.

Arthur przekręcił kluczyk, warknął silnik. Zielona brama posiadłości stała otworem i po chwili wóz wjechał pod daszek, który zastępował garaż.

— Jesteś uparty jak stary osioł! — mruknął Paul, wysiadając.

— Miałeś wśród nich wielu kumpli?

Niebo było bezchmurne. W poświęceni księżycu Arthur odgadywał elementy otaczającego ich pejzażu. Szli po wąskich kamiennych stopniach, biegnących obok ścieżki. W połowie drogi Arthur dostrzegł to, co pozostało z rozarium. Park był zaniedbany, ale bogactwo zapachów na każdym kroku budziło w nim wspomnienia.

Uśpiony dom był taki, jakim go zostawił po ostatnim poranku spędzonym z Lauren. Fasada i zamknięte teraz okiennice jeszcze się postarzały, ale dachówki były w doskonałym stanie.

Paul skierował się do frontowego wejścia, wbiegł po schodach i z werandy zawołał Arthura.

— Masz klucze?

— Zostały w agencji. Zaczekaj tu, drugi komplet leży w domu.

— Zamierzasz przeniknąć przez ścianę, żeby je stamtąd zabrać?

Arthur nie odpowiedział. Podeszedł do okna przy rogu domu i na oślep sięgnął po deszczułkę wsuniętą pod okiennicę, która obróciła się na zawiasach. Potem uniósł ramę okna i lekko ją odchylił, żeby podważyć zamek. Teraz mógł już swobodnie dostać się do środka.

W gabinecie panowały ciemności, ale Arthur nie potrzebował światła, żeby poruszać się po tym pokoju. Wspomnienia z dzieciństwa były tak żywe, że rozpoznawał każdy zakamarek domu.

Obawiał się widoku łóżka, więc starał się nie odwracać, podchodząc do szafy. Otworzył ją i przykleknął. Wystarczyło wyciągnąć rękę, by dotknąć czarnej walizeczki, która wciąż kryła tajemnice Liii. Odchylił metalowe zamki i uniósł wieko. Zapach dwóch rodzajów perfum, które Liii mieszała w żółtym kryształowym flaconie ze srebrnym koreczkiem, nadal był wyczuwalny. Ale teraz nie tylko wspomnienie matki zawładnęło jego sercem.

Arthur wyjął długi klucz. Zostawił go tu, zanim po raz ostatni zamknął za sobą drzwi domu. Stało się to tuż po wyjściu inspektora policji, który zabrał Lauren do szpitala, skąd wprowadzili ją Arthur i Paul, żeby uratować jej życie przed zaplanowaną przez innych śmiercią.

Arthur opuścił gabinet. Zapalił światło w przedpokoju. Podłoga skrzypiała pod jego nogami, kiedy wsuwał klucz do zamka i przekręcał go w odwrotną stronę. Paul mógł wreszcie wejść do domu.

— Tylko pomyśl: Magnum i Mac Gyver pod jednym dachem!

Kiedy znaleźli się w kuchni, Arthur odkręcił zawór butli gazowej pod zlewem i usiadł przy dużym drewnianym stole. Pochylony nad kuchenką Paul zajął się parzeniem kawy we włoskim ekspresie. Smakowity zapach już wypełniał pomieszczenie. Paul sięgnął po dwie filiżanki stojące na półce z ciemnego drewna i usiadł obok przyjaciela.

— Zatrzymaj dom, a wyrzuć z pamięci tę kobietę, która już narobiła wystarczających szkód.

— Znowu zaczynasz?!

— To nie ja zachowywałem się podczas kolacji z dwiema cudownymi dziewczynami jak na stypie — zaprotestował Paul, nalewając sobie gorącej kawy.

— Ty uważasz je za cudowne, nie ja!

Paul aż podskoczył.

— Już czas, żebyś uporządkował swoje życie. Masz nowe mieszkanie, ciekawą pracę, genialnego współnika, a dziew-

czynny, które ja podrywam, biegną, marząc, żebyś to ty zechciał skinać na nie palcem.

— Mówisz o tej, która pożerała cię wzrokiem?

— Nie myślałem o Onedze, ale o tej drugiej! Już czas, żebyś się trochę zabawił.

— Przecież się bawię, może nie tak jak ty, Paul, ale naprawdę się bawię. Lauren zniknęła z mego życia, ale pozostała częścią mnie. Poza tym już ci mówiłem, że nie wyrzekam się życia. Po moim powrocie spędziliśmy razem pierwszy wieczór i, jeśli mnie pamięć nie myli, kolację jedliśmy w towarzystwie kobiet.

Paul zapamiętałe mieszał kawę.

— Przecież nie postłodziłeś kawy... — szepnął Arthur, kładąc rękę na jego dłoni.

Późną, księżycową nocą, w zacisznej atmosferze kuchni starego domu nad oceanem dwaj przyjaciele patrzyli na siebie w milczeniu.

— Kiedy myślę o tej absurdalnej historii, którą przeżyliśmy, ogarnia mnie ochota, żeby ci przyłożyć i wreszcie wyrwać z tego snu — powiedział Paul. — A gdyby strzeliło ci do głowy znowu się z nią spotkać, co byś jej powiedział? Kiedy pierwszy raz opowiedziałeś mi o tej dziewczynie, zaprowadziłem cię do lekarza... a przecież jestem twoim najlepszym przyjacielem! Zresztą ona też jest lekarzem i jeżeli powiedziałbyś jej prawdę, to pewnie wpakowałyby cię w kaftan bezpieczeństwa, z maską Hannibala Lectera albo bez! Postąpiłeś, jak należało, i za to cię podziwiam. Miałeś odwagę chronić ją aż do końca.

— Chyba powinienem się już położyć, jestem zmęczony — powiedział Arthur, wstając.

Był już w korytarzu, kiedy Paul go zawołał. Cofnął się i zajrzał do kuchni.

— Wiesz, że jestem twoim przyjacielem, prawda? — zapytał Paul.

— Tak!



Arthur wyszedł tylnymi drzwiami i okrążył dom. Musnął palcami rdzewiejące wsporniki bujanej ławki i rozejrzał się wokół. Deski podłogi na werandzie rozstępowały się, farba odpadała z fasady po letnich upałach i słonych mgłach zimy, na zaniedbany ogród przykro było patrzeć. Zadrżał pod podmuchem zrywającego się wiatru. Wyjął z kieszeni list, który zaczął pisać w Paryżu, siedząc na ławce przy placu Furstenberga, dopisał ostatnią stronę i schował kopertę do kieszeni.

W nocy mgła znad Pacyfiku zasnuwała nawet miasto. Siedząc w opustoszałej Parisian Coffee, na wprost wejścia do izby przyjąć, Lauren przeglądała menu.

— Co też pani robi sama w środku nocy w tym barze? — zapytał barman, podając jej wodę mineralną.

— Może po prostu spędzam tu krótką przerwę?

— Sądząc po ilości karetek, noc była ciężka! — podjął, wycierając szklanki. — Fajnie by było ocalić cały świat, ale czy myśli pani czasami o swoim życiu prywatnym?

Lauren przechyliła się nad barem, jakby chciała się zwierzyć.

— Niech pan powie, tylko szczerze — ciągle o mnie gadają, czy może Fernstein jadł tu dziś kolację?

— Siedzi tam — wyznał barman, wskazując stolik w rogu sali.

Lauren zsunęła się z wysokiego taboretu i podeszła do profesora.

— Jeżeli będzie pan robił takie miny, wróć do baru i zjem kolację zupełnie sama — oświadczyła Lauren, stawiając szklankę na stole.

— Niech pani siada i przestanie pleść głupstwa.

— Wczoraj wieczorem nie musiał mnie pan besztać w obecności pacjenta. Czasami traktuje mnie pan jak swoją małą córeczkę.

— Jest pani dla mnie kimś więcej, czuję się, jakbym panią stworzył! Po tamtym wypadku wszystko poskładałem...

— Dziękuję, że powyciągał mi pan śrubki z głowy, profesorze.

— Udało mi się lepiej niż Frankensteinowi, może z wyjątkiem charakteru. Zechce pani zjeść naleśniki w towarzystwie starego konowala i dużej butelki syropu klonowego?

— Jeżeli z syropem klonowym, to chętnie.

— Ilu pacjentów mieliśmy tej nocy? — zapytał Fernstein, podsuwając jej talerz.

— Koło setki — odpowiedziała, sięgając po sporą porcję naleśników. — A co pan tu jeszcze robi, chyba nie musi pan dyżurować co noc, żeby związać koniec z końcem?

— Uroczy dowcip na sobotę — pokiwał głową Fernstein, gryząc naleśnik.

Za szybą mrocznego baru stary profesor i jego uczennica w przyjaźni jedli spóźnioną kolację, rozkoszując się chwilą wytchnienia u schyłku nocy.

Po przeciwnej stronie ulicy, w izbie przyjęć, jeszcze przez kilka godzin nie zwracano uwagi na ich nieobecność. Kołysząca się nad ulicą latarnia zgasła. Bielejące niebo zapowiadało zbliżający się świt.

Arthur przysnął na ławce. Brzask łagodnie budził ogród do życia. Mężczyzna otworzył oczy i spojrzał na dom, który zdawał się spokojnie spać. W dole ocean lizał ozorami wody piasek, kończąc całonocną pracę. Plaża znów była gładka i czysta. Arthur wstał i głęboko odetchnął, delektując się zapachem rzeńskiego poranku. Potem szybko wszedł do domu, minął korytarz i wbiegł po schodach. Na piętrze, jeszcze zadyszany, zapukał do drzwi Paula i nie czekając na odpowiedź, wszedł.

— Śpisz?

Paul drgnął i poderwał się z łóżka. Rozejrzał się, ale dopiero po chwili zauważył stojącego w drzwiach Arthura.

— Połóż się i śpij! Zapomnij o mnie! Dopiero kiedy mała wskazówka tego budzika wskaże sensowną godzinę, powiedzmy jedenastą pozwalam ci zadać mi znowu to idiotyczne pytanie.

Paul odwrócił się, chowając głowę pod poduszkę. Arthur wyszedł z pokoju, ale po chwili zawrócił.

— Chcesz, żebym przyniósł świeże bułki na śniadanie?

— Wynocha! — wrzasnął Paul.

Lauren pilotem otworzyła bramę garażu i natychmiast po zaparkowaniu wyłączyła silnik. Kali pałała nienawiścią do triumpha i na dźwięk motoru zaczynała potwornie ujadać. Lekarka szybko wbiegła po schodach wiodących na górę i weszła do mieszkania.

Zegar stojący nad kominkiem wskazywał wpół do szóstej rano. Kali zeskoczyła z kanapy, żeby przywitać się z panią, a ta wzięła suczkę na ręce. Po serii pieszczot zwierzę ułożyło się do snu na dywaniku z juty na środku salonu, a Lauren poszła do kuchni zaparzyć herbatę. Na drzwiach lodówki znalazła przymocowany żabką magnesem liścik od matki: Kali dostała kolację i była na spacerze. Dziewczyna przebrała się w o wiele za dużą bluzę od piżamy i wskoczyła pod kołdrę. Zasnęła, ledwie przyłożywszy głowę do poduszki.

# 4

Paul zszedł po schodach z torbą w ręku. Zabrał z przedpokoju bagaż Arthura i powiedział mu, że czeka przed domem. Zajął miejsce pasażera w fordzie, rozejrzał się wokół i zaczął pogwizdywać. Ostrożnie przełożył nogę nad przekładnią biegów i wśliznął się za kierownicę.

Arthur zamknął drzwi wejściowe od wewnątrz. Wszedł do gabinetu Liii, otworzył szafę i spojrzął na leżącą na półce czarną skórzaną walizkę. Musnął palcami miedziane okucia i włożył do środka kopertę, którą nosił w kieszeni, a potem klucz od domu.

Wyszedł przez okno. Wsuwając deszczułkę przytrzymującą okiennicę, usłyszał głos matki, która złościła się zawsze, kiedy jechali razem do miasta na zakupy, bo Antoine nie naprawił jeszcze tego piekielnego okna. I zobaczył Liii w ogrodzie, jak wzrusza ramionami, mówiąc, że w końcu nawet dom ma prawo do starczych chorób. Ten kawałek drewna, zaklinowany między framugą a kamieniem, był świadkiem czasów, które nigdy do końca nie przemina.

— Posuń się! — powiedział do Paula, otwierając drzwiczki. Wsiadł do wozu i zmarszczył nos.

— Jakoś dziwnie tu pachnie.

Arthur ruszył. Kiedy oddalili się od domu, Paul otworzył okno i wysunął przez nie torebkę ze sklepu mięsnego. Trzymał ją czubkami palców i cisnął do śmietnika przy bramie posiadłości. Wyjechali na długo przed porą obiadową, żeby uniknąć korków, w których tradycyjnie tkwili powracający z weekendu poza miastem. Wczesnym popołudniem powinni dotrzeć do San Francisco.

Lauren uniosła ręce i przeciągnęła się. Z żalem wstała z łóżka i opuściła sypialnię. Jak zwykle zaczęła od przygotowania jedzenia dla psa w ciężkiej glinianej misce, a potem zajęła się własnym śniadaniem. Zabrała tacę do alkowy w salonie, bo tam już od rana słońce zaglądało przez okno, a Lauren mogła spoglądać na Golden Gate, symbol więzi obu brzegów zatoki, na małe domy uczipione zboczy Sausalito, a nawet Tiburon z małym portem rybackim. Tylko syreny ostrzegawcze potężnych okrętów towarowych, które wypływały w rejs, i krzyki mew przerywały ciszę niedzielnego poranku.

Kiedy pochłonęła już sporą część obfitego śniadania, odstawiła tacę do zlewu i poszła do łazienki. Silny strumień wody pod prysznicem, choć nie zdołałby zmyć blizn na jej ciele, rozbudził ją na dobre.

— Kali, przestań się kręcić za własnym ogonem, zaraz pójdziemy na spacer.

Lauren owinęła się ręcznikiem w pasie, nie osłaniając piersi. Nie zaprzatając sobie głowy robieniem makijażu, otworzyła szafę, sięgnęła po dzinsy i polo, po chwili odłożyła polo i wybrała bluzkę, włożyła ją, zdjęła i przebrała się w polo. Spojrzała na zegarek — miała się spotkać z matką w Marinie dopiero za godzinę, a Kali znowu spała na kremowej kanapie. Korzystając z tego, Lauren usiadła obok suczki, otworzyła gruby podręcznik neurochirurgii, który leżał między stertą

papierów na niskim stoliku, i obgryzając ołówek, pograżyła się w lekturze.

Ford zaparkował przed numerem dwudziestym siódmym przy Cervantes Boulevard. Paul zabrał torbę z tylnego siedzenia i wysiadł z wozu.

— Poszedłbyś dziś wieczorem do kina? — zapytał Arthura.

— Nie mogę, obiecałem komuś ten wieczór.

— Jemu czy jej? — zapytał Paul z promiennym uśmiechem.

— Telewizyjna kolacyjka we dwoje!

— Ależ to cudowna wiadomość! Nie chcę być wścibski, ale kto to taki?

— Jesteś wścibski!

— Żartujesz!

— I natrętny.

I samochód odjechał Fillmore Street. Przed Union Street Arthur przyhamował, żeby przepuścić ciężarówkę, która chyba dość długo stała pod „stopem”. Ukryty za przyczepą triumph skorzystał z okazji, żeby prześliznąć się przez skrzyżowanie bez zatrzymywania. Zielony samochód jechał w stronę Mariny. Pies przypięty pasami do miejsca pasażera ujadł jak szalony. Ciężarówka minęła skrzyżowanie, a ford spokojnie ruszył po zboczu Pacific Heights.

Rytmiczne machanie ogonem dowodziło, że Kali jest zadowolona. Z wielką powagą obwąchiwała trawnik, próbując dociec, jakie zwierzę mogło myszkować tu przed nią. Od czasu do czasu unosiła łeb i dołączała do rodziny. Po kilku okrążeniach nóg Lauren i pani Kline wybierała nową ścieżkę, żeby spenetrować inny rejon parku. Kiedy okazywała przesadną wylewność spacerującym tu parom albo dzieciom, matka Lauren przywoływała ją do porządku.

— Bola ją stawy — powiedziała Lauren, obserwując oddalającą się Kali.

— Starzeje się! Może nie zauważyłaś, ale nas też to dotyczy.

— Jesteś w cudownym nastroju, czyżbyś przegrała w brydża?

— Chyba żartujesz, rozprawiłam się z całą bandą starych panien! Po prostu martwię się o ciebie.

— Nie ma powodu. Miewam się dobrze, pracuję w zawodzie, który lubię, praktycznie uwolniłam się już od migren i jestem szczęśliwa.

— Tak, masz rację, powinnam dostrzegać pozytywne strony życia, ten tydzień był wyjątkowo udany, bo znalazłaś dla siebie całe dwie godziny, to sukces!

Lauren wskazała skinieniem brody mężczyznę i kobietę, którzy szli po nabrzeżu portu.

— Wyglądał mniej więcej tak? — zapytała, nie patrząc na matkę.

— Kto?

— Nie mam pojęcia dlaczego, ale od wczoraj znów o nim myślę. I przestań uciekać przed tym tematem, kiedy go poruszam.

Pani Kline westchnęła.

— Kochanie, nie mam ci nic do powiedzenia. Nie wiem, kim był mężczyzna, który odwiedzał cię w szpitalu. Był uprzejmy, bardzo miły. Podejrzewam, że to jakiś pacjent, któremu się nudziło i który był zadowolony, że może przy tobie posiedzieć.

— Pacjenci nie spacerują po szpitalnych korytarzach w tweedowych marynarkach. Poza tym przejrzałam listy pacjentów przebywających w tym okresie w moim skrzydle budynku i żaden nie pasuje do opisu.

— Zawracałaś sobie tym głowę? Jaka ty potrafisz być uparta! Czego właściwie chcesz?

— Żebyś powiedziała to, co przede mną ukrywasz, biorąc mnie za idiotkę. Chcę wiedzieć, kim on jest i dlaczego przychodził do mnie dzień w dzień.

— Ale po co?! Przecież to już przeszłość!

Lauren przywołała Kali, która za bardzo się oddaliła. Suczka zawróciła i przystanąła, patrząc na swą panią, a potem pomknęła jak strzała w jej stronę.

— Kiedy obudziłam się ze śpiączki, był przy mnie. Kiedy po raz pierwszy mogłam poruszyć ręką, trzymał ją w swojej, żeby dodać mi otuchy. Wystarczyło, że drgnęłam w środku nocy, a okazywało się, że on wciąż tkwi w szpitalnym pokoju. A pewnego ranka obiecał, że opowie mi niewiarygodną historię, i zniknął.

— Ten mężczyzna jest tylko pretekstem, który pozwala ci ignorować twoje życie kobiety i myśleć wyłącznie o pracy. Zrobiłaś z niego księcia z bajki. Łatwo kochać kogoś, kto jest nieosiągalny, bo nie ponosi się żadnego ryzyka.

— A jednak ty przez dwadzieścia lat żyłaś w ten sposób u boku taty.

— Gdybyś nie była moją córką, uderzyłabym cię w twarz, bo naprawdę sobie na to zasłużyłaś.

— Jesteś dziwna, mamó. Ani na chwilę nie zwątpiłaś, że znajdę dość sił, by wyjść ze śpiączki, dlaczego więc nie potrafisz mi zaufać teraz, kiedy jestem żywa i zdrowa? A gdybym raz przestała kierować się zdrowym rozsądkiem i logiką, a wsłuchiwała się w ten nieśmiały wewnętrzny głos, który mówi do mnie z głębi świadomości? Dlaczego moje serce uderza mocniej za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że go rozpoznałam? Uważasz, że nie warto się nad tym zastanawiać? Przykro mi, że tata zniknął, że cię zdradził, ale to nie jest choroba dziedziczna. Nie każdy mężczyzna jest taki jak mój ojciec!

Pani Kline wybuchnęła śmiechem. Położyła rękę na ramieniu córki.

— Czyżbyś zamierzała mnie pouczać? Ty, która zawsze wiązałaś się tylko z porządnymi chłopcami wpatrzonymi w ciebie jak w obraz. Miło jest wiedzieć, że spotkałaś kogoś, kto by cię nie porzucił, bez względu na to, co zrobisz, prawda? Aleja przynajmniej kochałam twój ojca!



— Gdybyś nie była moją matką, to teraz ty dostałabyś ode mnie w twarz.

Pani Kline, idąc dalej, otworzyła torebkę i sięgnęła po paczkę cukierków. Poczęstowała nimi córkę, ale ta odmówiła.

— W tym, co mówisz, wzrusza mnie tylko, że nawet żyjąc w taki sposób, nie zdusiłaś w sobie tej maleńkiej iskierki romantyzmu. Przykro mi jednak, że marnujesz go z taką naiwnością. Na co czekasz? Gdyby ten człowiek był naprawdę mężczyzną twojego życia, przyszedłby do ciebie, głupia dziewczyno! Przecież nikt go nie wyganiał, zniknął, bo sam tego chciał. Przestań mieć pretensję do całego świata, a zwłaszcza do matki, jakbym to ja była wszystkiemu winna.

— Może miał jakiś powód?

— Na przykład żonę albo dzieci? — rzuciła ponuro pani Kline.

Można by pomyśleć, że Kali miała już dość napięcia, jakie wytworzyło się między matką i córką. Chwyliła patyk i położyła go pod nogami Lauren, głośno szcękając. Lauren pochyliła się i rzuciła patyk daleko.

— Wciąż po mistrzowsku oddajesz cios za cios. Nie mogę dłużej spacerować, muszę do jutra przeczytać dokumentację — powiedziała Lauren.

— W tym wieku musisz jeszcze odrabiać lekcje w niedzielę? Zastanawiam się, kiedy zmęczy cię ten pościg za sukcesem! Może śmiertelnie nudzisz się ze swoim chłopakiem? Nie, przecież to bzdura, nie masz nawet okazji, żeby się przy nim nudzić, bo w niedzielę śpisz albo odrabiasz zadania domowe!

Lauren stanęła przed matką, ogarnięta przemożną chęcią uduszenia jej.

— Mężczyzna mojego życia byłby dumny, że kocham swoją pracę, i nie wyliczałby mnie z godzin!

Gniew sprawił, że żyłki na jej skroniach pulsowały, wyraźnie widoczne pod skórą.

— Jutro rano podejmiemy próbę usunięcia guza mózgu u małej dziewczynki — podjęła. — Może sądzisz, że to zwykłe głupstwo, ale wyobraź sobie, że ten guz spowodował u dziecka ślepotę. I myślisz, że w przededniu operacji będę zastanawiać się, czy iść na dobry film, objadać się prażoną kukurydzą i obściskać z Robertem, czy przejrzeć historię choroby i przygotować się do tak poważnego zabiegu!

Lauren zagwizdała na psa. Szybkim krokiem ruszyła po promenadzie biegnącej wzdłuż portu i skręciła na parking.

Kali wskoczyła na miejsce obok swojej pani. Lauren przypięła ją pasem bezpieczeństwa i triumph, pokaszując, opuścił Marina Boulevard. Potem skręcił w Cervantes, by dotrzeć do Fillmore Street. Na skrzyżowaniu z Greenwich Lauren zwolniła, zastanawiając się, czy nie wypożyczyć filmu. Miała ogromną ochotę zobaczyć Cary'ego Granta i Deborah Kerr w *An Affair to Remember*\*, kiedy jednak pomyślała o jutrzejszym poranku, wrzuciła dwójkę i przyspieszyła, mijając starego forda rocznik sześćdziesiąt jeden, który parkował przed klubem wideo.

Arthur przeglądał kolejno tytuły z działu „Sztuki walki”.

— Chciałbym zrobić dziś niespodziankę przyjaciółce. Mógłby mi pan coś doradzić? — zwrócił się do obsługującego.

Mężczyzna wszedł za ladę i po chwili triumfalnie położył na niej pudełko. Otworzył je, przecinając taśmę, i pokazał Arthurowi kasetę.

*Wejście smoka* w edycji klubowej! Z trzema scenami walki, których nie wykorzystano w filmie. Dostaliśmy to dopiero wczoraj, więc na pewno sprawi pan przyjaciółce przyjemność!

— Tak pan sądzi?

— Bruce Lee to pewniak, przypuszczam, że jest jego fanką. Arthur uśmiechnął się.

— Biorę to!

— A może pańska przyjaciółka ma siostrę?

Arthur wyszedł z klubu wideo w doskonałym nastroju. Zapowiadał się miły wieczór. Po drodze zatrzymał się w garmażerii, gdzie przez dłuższą chwilę wybierał dania spośród wielu wyglądających bardzo apetycznie. Z lekkim sercem wracał do domu. Zaparkował przed niewielką kamienicą przy rogu Pacific i Fillmore.

Zamknął za sobą drzwi mieszkania, położył zakupy na ladzie w kuchni, włączył wieżę stereo, wsunął płytę Franka Sinatry i wesoło zatarł ręce.

Pokój był skąpany w czerwonym świetle letniego wieczoru. Podśpiewując z zapalem *Strangers in the Night*, Arthur bardzo starannie nakrywał dla dwóch osób niski stół w salonie. Otworzył butelkę merlota z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego, podgrzał lasagne i ułożył na dwóch talerzach z białej porcelany włoskie przystawki. Gdy wszystko było już gotowe, wyszedł na korytarz, zostawiając uchylone drzwi. Załomotał do sąsiadki i po chwili usłyszał jej lekkie kroki.

— Jestem głucha, ale nie do tego stopnia! — starsza pani powitała go szerokim uśmiechem.

— Nie zapomniała pani o naszym wieczorze? — zapytał.

— Chyba żartujesz!

— Nie zabierze pani psa?

— Pablo śpi jak zabity, widzisz, to taki sam staruch jak ja.

— Wcale nie jest pani taka stara, miss Morrison.

— Jestem, słowo daję! — powiedziała, biorąc go pod rękę.

Arthur wygodnie usadowił miss Morrison i podał jej kieliszek wina.

— Mam dla pani niespodziankę! — powiedział, pokazując jej kasetę. Miła buzia miss Morrison rozbłysła.

— Scena walki w porcie stanowi fragment antologii!

— Oglądała go już pani?

- Parę razy!
- I jeszcze się pani nie znudził?
- A widziałaś kiedyś nagi tors Bruce'a Lee?

Kali poderwała się z miejsca, chwyciła smycz w zęby i machając ogonem, zaczęła kręcić się w kółko po salonie.

Lauren w szlafroku i grubych wełnianych skarpetach siedziała skulona na kanapie. Oderwała się od lektury i z rozbawieniem patrzyła na taniec suczki. Potem zamknęła podręcznik neurochirurgii i czule całując psi łebek, szepnęła: „Zaraz się ubiorę i wyjdziemy”.

Po kilku minutach Kali biegała po Green Street. Nieco dalej, na chodniku Fillmore Street, zobaczyła buk, którego zapach najwyraźniej ją kusił, bo pociągnęła panią w jego stronę. Lauren była zamyślona, a wieczorny wiatr przejął ją dreszczem.

Denerwowała się przed jutrzejszą operacją, czuła, że Fernstein powierzy jej ważną rolę. Odkąd postanowił, że z końcem roku przejdzie na emeryturę, okazywał jej coraz większe zaufanie, jakby pragnął przyspieszyć rytm jej szkolenia. Tuż po powrocie, przy świetle nocnej lampki, przeczytała notatki, potem może zrobi to po raz kolejny...

Miss Morrison była zachwycona tym wieczorem. Teraz wycierała w kuchni naczynia, które zmywał Arthur.

- Mogę ci zadać pytanie?
- Choćby kilka.
- Nie lubisz karate i nie mów mi, że taki młody mężczyzna nie mógłby znaleźć sobie na niedzielny wieczór ciekawszego towarzystwa niż osiemdziesięcioletnia kobieta.
- To, co pani powiedziała, nie jest pytaniem, miss Morrison.

Starsza pani położyła dłoń na rękę Arthura i wydeła usta.

— Owszem, i dobrze wiesz, jak ono brzmi! Doskonale rozumiesz, co kryje się za tym stwierdzeniem. I przestań wreszcie nazywać mnie miss Morrison! Mów do mnie Rose.

— Na kryjące się w pani słowach pytanie odpowiem, że miło spędziłem wieczór razem z sąsiadką.

— Chłopcze, wyglądasz mi na takiego, który ukrywa się w mroku samotności.

Arthur spojrział miss Morrison w oczy.

— Może wyprowadzę pani psa na spacer?

— To pogrożka czy propozycja? — uśmiechnęła się Rose.

— Jedno i drugie.

Miss Morrison poszła obudzić Pabla i założyła mu obrozę.

— Skąd wzięło się jego imię? — zapytał Arthur, stojąc w progu.

Starsza pani zbliżyła usta do jego ucha, by wyznać, że to imię jej kochanka, o którym nie może zapomnieć.

— ...Miałam trzydzieści osiem lat, on był młodszy o pięć, a może dziesięć lat... W moim wieku pamięć czasami zwodzi człowieka, zwłaszcza kiedy jemu samemu to na rękę. Facet był czarującym Kubańczykiem. Tańczył jak bóg i słowo daję, że był znacznie zwawszy od mojego jacka russella!

— W to akurat nie wątpię — rzucił Arthur, ciągnąc smycz psiaka, który zaparł się czterema łapami, bo wcale nie miał ochoty na przechadzkę.

— Och, Hawana! — westchnęła miss Morrison, zamykając drzwi mieszkania.

Arthur i Pablo szli Fillmore Street. Pies zatrzymał się pod bukiem. Z niepojętych dla Arthura przyczyn drzewo wzbudziło jego żywe zainteresowanie. Arthur wsunął rękę do kieszeni i oparł się o murek, pozwalając Pablowi nacieszyć się tą rzadką chwilą podniecenia. Poczuł, że telefon komórkowy, który miał w kieszeni, zaczął drgać. Odebrał.

— Jak ci mija wieczór? — zapytał Paul.

— Wspaniale.

— A co teraz robisz?

— Paul, jak długo pies może twoim zdaniem obwąchiwać pień drzewa?

— Rozłączam się i idę spać, zanim wytrącisz mnie z równowagi kolejnym zwariowanym pytaniem — mruknął zbity z tropu Paul.

Dwie ulice dalej, na drugim piętrze wiktoriańskiej kamienicy przy Green Street, zgasło światło w sypialni młodej lekarki.

## 5

Budzik na nocnym stoliku wyrwał Lauren z tak głębokiego snu, że czuła niemal fizyczny ból, otwierając oczy. Całoroczne zmęczenie sprawiało, że w niektóre poranki budziła się w fatalnym nastroju, który nie opuszczał jej przez wiele godzin. Nie było jeszcze siódmej, kiedy zaparkowała triumpha na szpitalnym parkingu. Po dziesięciu minutach, już w fartuchu, przeszła ze znajdującej się na parterze izby przyjęć do pokoju trzysta siedem. Mała małpka siedziała wtulona w szyję opiekuńczej żyrafy. Z pewnej odległości czuwał nad nimi biały niedźwiedź. Zwierzaki Marcii spały jeszcze na parapecie. Lauren spojrzała na rozwieszane na ścianach rysunki, bardzo dobre jak na dziecko, które od kilku miesięcy mogło opierać się wyłącznie na pamięci.

Lauren przysiadła na łóżku i pogłaskała po głowie dziewczynkę, która zaczynała się budzić.

— A kuku! Nadszedł twój wielki dzień.

— Jeszcze nie — odparła Marcia, unosząc powieki. — Na razie jest jeszcze noc.

— Już niedługo, kochanie, już niedługo. Wkrótce przyjdą tu pielęgniarki, żeby cię przygotować.

— Zostaniesz ze mną? — zapytała z niepokojem Marcia.

— Muszę iść, żeby też się przygotować, ale spotkamy się przed wejściem na blok operacyjny.

- Ty będziesz mnie operowała?
- Asystuję profesorowi Fernsteinowi, temu, który ma, jak mówiłaś, bardzo niski głos.
- Boisz się? — zapytała dziewczynka.
- Ubiegłaś mnie! Właśnie chciałam zapytać cię o to samo. Mała pacjentka odpowiedziała, że się nie boi, bo ma do niej zaufanie.
- Idę, ale pamiętaj, że wkrótce się spotkamy.
- Dziś wieczorem wygram zakład.
- A o co się założyłaś?
- Zgadłam, jakiego koloru są twoje oczy, zapisałam to na kartce i schowałam ją w szufladzie szafki nocnej. Przeczytamy to razem, ale dopiero po operacji.
- Obiecuję ci, że tak właśnie będzie — szepnęła Lauren, idąc w stronę drzwi.

Marcia pochyliła się, nie wiedząc, że zamiast wyjść, lekarka obserwuje ją w milczeniu z progu pokoju. Dziecko weszło pod łóżko.

— Wiem, że gdzieś tu się ukryłaś, ale nie masz czego się bać — zapewniała łagodnym głosem.

Macała ręką podłogę, szukając pluszaka. Kiedy jej paluszki natknęły się na futerko sowy, ułożyła się na wprost maskotki.

— Musisz stąd wyjść, nie bój się światła, to nic strasznego — mówiła. — Zaufaj mi, a pokażę ci kolory. Prawda, że mi wierzysz? Po prostu teraz przyszła kolej na ciebie. Myślisz, że ja nie bałam się ciemności? Bardzo trudno opisać dzień, jest naprawdę piękny. Mój ulubiony kolor to zieleń, ale lubię też czerwień. Kolory mają swój zapach, tak można je rozpoznać, czekaj, nie ruszaj się, zaraz ci to pokażę.

Dziewczynka wysunęła się z kryjówki i zaskakująco sprawnie podeszła do szafki nocnej. Wyjęła z niej spodeczek i kubek, a kiedy znowu przycupnęła na dywaniku, z dumą pokazała swojej sówce truskawkę, mówiąc z przekonaniem: „to czerwony”, „a tu widzisz zielony”, dodała, biorąc do ręki liść mięty. „Widzisz, jak ładnie pachną kolory! Jeżeli masz ochotę, spróbuj,



jak smakują, mnie nie wolno z powodu operacji, muszę mieć pusty brzuch".

Lauren podeszła do łóżka.

— Z kim rozmawiasz? — zapytała Marcie.

— Wiedziałam, że tu jesteś. Mówię do przyjaciółki, ale nie mogę ci jej przedstawić, wciąż się chowa, bo boi się światła, no i ludzi.

— A jak się nazywa?

— Emilia! Ale ty jej nie usłyszysz.

— Dlaczego?

— Nie mogłabyś jej zrozumieć.

Lauren przyklękła.

— A czy mogę wejść z tobą pod łóżko?

— Jeżeli nie boisz się ciemności.

Dziewczynka odsunęła się i pozwoliła Lauren wśliznąć się pod łóżko.

— Mogę ją ze sobą zabrać?

— Nie, to stary i głupi regulamin, zwierząt nie wpuszcza się do sali operacyjnej. Ale nie martw się, kiedyś to się zmieni.

Zapowiadał się piękny dzień. Arthur postanowił iść piechotą do biura projektów przy Jackson Street. Paul czekał na niego na górze.

— I jak? — zapytał wesoło Paul, wsuwając twarz przez uchylone drzwi.

— Co masz na myśli? — Arthur spojrział na przyjaciela, nalewając sobie kawy.

— Ile czasu potrzebował ten pies?

— Dwudziestu minut!

— Zazdroszczę ci takich wieczorów, stary! Rozmawiałem przez telefon z naszymi przyjaciółkami z Carmelu, już wróciły i chętnie wybrałyby się z nami na kolację. Jeżeli boisz się nudy, to zabierz ze sobą tego psiaka.

Paul puknął palcem w szkiełko zegarka. Musieli już iść. Obaj byli umówieni na spotkanie z poważnym klientem.

Lauren weszła do śluzy operacyjnej. Wyciągnęła ręce, wsuwając je w rękawy fartucha, który podała jej pielęgniarka. Potem zawiązała troczki na plecach i podeszła do stalowej umywalki. Strach ścisnął jej żołądek, kiedy starannie myła ręce. Osuszyła je i podsunęła pielęgniarce, która posypała je talkiem, a potem otworzyła opakowanie sterylnych rękawiczek. Lauren wsunęła w nie dłonie. Już w jasnyniebieskim czepku na głowie i masce głęboko odetchnęła i weszła do sali operacyjnej.

Adam Peterson, specjalista z zakresu obrazowania mózgu, siedział przy pulpicie, sprawdzając prawidłowość działania sprzętu ultrasonograficznego. Obrazy rezonansu magnetycznego mózgu Marcii znalazły się już w maszynie. Porównując je z obrazami uzyskanymi podczas operacji metodą ultrasonografii czasu rzeczywistego, komputer miał precyzyjnie ustalić, jaką część guza udało się usunąć.

Podczas operacji aparatura obsługiwana przez Adama miała dostarczać wciąż nowych obrazów mózgu małej pacjentki i korygować je na bieżąco. Jako ostatni wszedł do sali profesor Fernstein w towarzystwie innego znakomitego neurochirurga, doktora Richarda Lalonde'a, który przybył specjalnie z Montrealu.

Doktor Lalonde przywitał się z zespołem i usiadł przy aparaturze, chwytając dwa drążki sterownicze. Wprawnie nimi manipulując, mógł za pomocą mechanicznego ramienia połączonego z komputerem z dokładnością liczoną w mikronach wycinać tkankę guza. Każdy ruch musiał być niezwykle precyzyjny. Najmniejsze odchylenie od wytyczonych linii cięcia

mogłoby spowodować, że Marcia przestanie mówić lub chodzić, natomiast nazbyt oszczędne usuwanie tkanki pozbawiłoby zabieg sensu. Milcząca i skoncentrowana Lauren powtarzała w myśli każdy szczegół procedury operacji, którą lada chwila mieli przeprowadzić, a do której przygotowywała się tak starannie od kilku tygodni.

Wreszcie do sali przywieziono Marcie, która wcześniej została przygotowana w sąsiedniej sali. Dziewczynka leżała na łożku. Pielęgniarki delikatnie przeniosły ją na stół operacyjny i zawiesiły na stojaku worek z płynem do kroplówki.

Norma, przełożona pielęgniarek, powiedziała Marcii, że niedawno wzięła pod opiekę małą pandę.

— Jak ją pani przywiozła? Pozwolili pani? — wypytywała Marcia.

— Nie — śmiejąc się, odparła Norma. — Zostanie u siebie, w Chinach, ale to my dajemy wszystko, czego trzeba, żeby zapewnić jej opiekę, dopóki nie nauczy się samodzielnie odżywiać.

I Norma dodała, że nie wie, jakie imię wybrać dla zwierzątka — może Marcia wymyśli coś odpowiedniego dla małej pandy?

Kiedy dziewczynka zastanawiała się nad problemem, Norma zamocowała płytki elektrokardiografu na jej klatce piersiowej, a anestezjolog wbił cieniutką igłę w jej palec wskazujący. Ta sonda miała umożliwić ciągłą kontrolę wysycenia krwi pacjentki tlenem. Potem lekarz wstrzyknął do kroplówki jakiś płyn, równocześnie zapewniając Marcie, że nad imieniem dla pandy lepiej zastanowić się po operacji, bo teraz muszą razem policzyć do dziesięciu. Środek znieczulający spłynął drenem do żyły dziecka. Marcia zasnęła między dwa a trzy. Anestezjolog spoglądał na monitory, sprawdzając, czy wszystkie parametry są prawidłowe. Norma zapięła obręcz na czole Marcii, aby zapobiec ewentualnym drgnieniom głowy.

Profesor Fernstein, niczym wytrawny dyrygent orkiestry, ogarnął spojrzeniem cały zespół. Każdy z uczestników zabiegu odpowiadał ze swego stanowiska, że jest gotów. Fernstein dał

znak doktorowi Lalonde'owi, a ten uruchomił aparaturę, której ruchy bacznie obserwowała Lauren.

Pierwszego nacięcia dokonano o dziewiątej dwadzieścia siedem. Rozpoczęła się dwunastogodzinna podróż w najgłębsze zakamarki mózgu dziecka.

Projekt przedstawiony przez Paula i Arthura zdawał się podobać klientom. Szefowie konsorcjum, które zamierzało powierzyć im budowę nowej siedziby, zebrali się wokół ogromnego mahoniowego stołu w sali narad. Przez całe przedpołudnie Arthur przedstawiał szczegóły urządzenia holu wejściowego, a także organizację sal zebrań i części wspólnych, potem pałeczkę przejął Paul. Omawiał szkice i projekty, które pojawiały się na ekranie. Kiedy zegar zawieszony na ścianie wskazał szesnastą, przewodniczący zebraniu dyrektor podziękował obu architektom za przedstawienie projektu. Członkowie zarządu mieli spotkać się przed końcem tygodnia, by wybrać jedną z dwóch ofert, które przeszły poprzednie etapy konkursu.

Arthur i Paul wstali z miejsc i pożegnali gospodarzy. W windzie Paul zaczął ziewać.

- Chyba nieźle wypadliśmy?
- Też tak sadzę — odpowiedział półgłosem Arthur.
- Masz jakiś problem? — zapytał Paul.
- Myślisz, że w Macy's mają automatyczne smycze?

Paul wzniosł oczy i ręce do nieba. Dzwonek zasygnalizował, że dotarli na trzeci poziom podziemnego parkingu, i po chwili rozsunęły się drzwi windy.

Paul przeciągnął się i zrobił kilka skłonów, zanim zajął miejsce za kierownicą.-

— Jestem wypompowany — stwierdził. — Takie dni zupełnie mnie wykańczają.

Arthur wsiadł do samochodu, nie komentując słów przyjaciela.

Serce Marcii biło równo. Fernstein polecił stopniowo zwiększyć dawkę środka znieczulającego. Druga seria ultrasonografii potwierdziła, że usuwanie guza przebiegało prawidłowo. Posługując się elektronicznym ramieniem, Lalonde milimetr po milimetrze wycinał patologiczną tkankę usytuowaną w płacie potylicznym mózgu Marcii. Ramię unosiło się, wydobywając skrawki na zewnątrz. Po czterech godzinach Lalonde spojrzął na zespół.

— Zmiana! — powiedział chirurg, czując, że jego oczy są już zbyt zmęczone.

Fernstein skinął na Lauren, polecając jej zająć miejsce Lalonde. Zawahała się, ale spokojne spojrzenie profesora dodało jej wiary we własne siły. Podczas symulacji tysiące razy powtarzała każdy ruch, jednak dziś od jej sprawności zależało życie dziecka.

Gdy dotknęła maszyny, strach uleciał bez śladu. Rozpromieniła się, bo przecież teraz spełniały się jej marzenia.

Doskonale radziła sobie ze sprzętem, całkowicie nad nim panując. Cały zespół obserwował jej pracę, a z oczu profesora Norma wyczytała dumę z tak zdolnej uczennicy.

Lauren operowała bez przerwy do siódmej godziny zabiegu. Kiedy poprosiła o zmianę, komputer wskazywał, iż guz został usunięty w sześćdziesięciu sześciu procentach. Lalonde ponownie zajął miejsce, zmrużeniem oka gratulując młodej koleżance umiejętności.

Podrzucę cię do biura i pędzę do domu — powiedział Paul.

— Wysądź mnie przy Union Square, muszę coś jeszcze kupić.

— Możesz mi wyjaśnić, po co ci smycz, skoro nie masz psa?  
— Dla przyjaciółki!  
— Uspokoję się trochę, jeżeli dodasz, że ona ma psa?  
— Jeżeli coś cię niepokoi, to wyjaśnię, że ta kobieta ma siedemdziesiąt dziewięć lat.

— Nie widzę w tym nic pocieszającego — westchnął Paul, zatrzymując się przed budynkiem sklepu Macy's.

— Dokąd idziemy na kolację? — zapytał jeszcze Arthur, wysiadając z wozu.

— Do Cliff House, o ósmej. Wysił się trochę, bo ostatnio nie byłeś zbyt uprzejmy. Po raz drugi masz szansę zrobić dobre pierwsze wrażenie, postaraj się jej nie zmarnować!

Arthur przez chwilę patrzył na oddalający się kabriolet, potem zerknął na wystawę i przez obrotowe drzwi wszedł do sklepu.

Anestezjolog zauważył na monitorze załamanie wykresu. Natychmiast sprawdził saturację krwi. Cały zespół dostrzegł zmianę wyrazu twarzy lekarza, któremu instynkt podpowiedział, że teraz konieczna jest niezwykła czujność.

— Czy doszło do krwawienia? — zapytał.

— Dotąd nic na to nie wskazuje — odparł Fernstein, pochylając się nad monitorem doktora Petersona.

— Coś jest nie tak! — powtórzył z naciskiem anestezjolog.

— Powtórzę echo — zdecydował lekarz.

Nagle prysnął spokój panujący do tej chwili w sali operacyjnej.

— Tracimy tę małą! — rzucił ostro doktor Cobler, zwiększając przepływ tlenu.

Lauren czuła się bezradna. Wpatrując się w oczy Fernsteina, zrozumiała, że sytuacja staje się naprawdę krytyczna.

— Proszę wziąć ją za rękę — szepnął profesor.

— Co robimy? — Lalonde zwrócił się do Fernsteina.

- Kontynuujemy! Adam, badanie coś wykazało?
- Na razie nic szczególnego — odparł lekarz.
- Zaczyna się arytmia — poinformowała Norma, patrząc na migający elektrokardiograf.

Richard Lalonde z wściekłością uderzył dłonią w konsolę.

- Uszkodzenie tętnicy tylnej mózgu! — oznajmił krótko.

Wszyscy członkowie zespołu spojrzeli na siebie. Lauren wstrzymała oddech i przymknęła oczy.

Była siedemnasta dwadzieścia dwie. W ciągu minuty uszkodzona ścianka naczyń, z którego krew przedostała się do czaszki Marcii, rozdarła się na długości dwóch centymetrów. Pod naporem krwi, która gwałtownie trysnęła, pęknięcie jeszcze się powiększyło. Fala wylewająca się z rany wypełniała jamę czaszki. Mimo podjętej przez Fernsteina próby opanowania sytuacji i błyskawicznego założenia drenu, krwotok nie ustawał, a krew w przerażającym tempie zalewała mózg.

O siedemnastej dwadzieścia siedem, na oczach czwórki bezradnych lekarzy i pielęgniarek, Marcia wydała ostatnie tchnienie. Ręka dziewczynki, którą Lauren wciąż trzymała, otworzyła się, jakby chcąc uwolnić tę resztkę życia przyczajoną w zaciśniętej dłoni.

Zespół w milczeniu opuszczał blok operacyjny. Każdy szedł w swoją stronę. Lekarze i pielęgniarki byli świadomi swej bezsilności. Podstępny guz ukrył przed najdoskonalszą aparaturą, jaką dysponuje współczesna medycyna, tętniaka na niewielkiej tętnicy w mózgu Marcii.

Lauren została sama i jeszcze przez chwilę trzymała bezwładne palce dziewczynki. Podeszła do niej Norma. Ujęła ją za rękę i uwolniła dłoń dziecka.

- Chodźmy stąd.
- Obiecałam jej — szepnęła Lauren.
- Ale to jedyny błąd, jaki pani dziś popełniła.
- Gdzie Fernstein? — zapytała lekarka.
- Prawdopodobnie rozmawia teraz z rodzicami małej.
- Ja chciałam to zrobić.

— Wydaje mi się, że jak na jeden dzień dość już pani przeżyła. I jeżeli mogę coś poradzić, to przed powrotem do domu powinna pani powłóczyć się po jakimś dużym sklepie.

— Ale po co?

— Żeby napatrzeć się na życie, na tętniące życie!

Lauren pogładziła Marcie po głowie i zakryła jej buzię zielonym prześcieradłem. Wyszła z sali.

Norma obserwowała, jak oddala się korytarzem. Pokiwała głową i wyłączyła lampy nad stołem operacyjnym. Sala pograżyła się w półmroku.

Arthur znalazł to, czego szukał, na trzecim piętrze sklepu. Smycz, której długość można regulować, uszczęśliwi miss Morrison. W deszczowe dni będzie mogła stać pod daszkiem, tuż przy domu, pozwalając Pablowi swobodnie obwąchiwać krzaki.

Zapłacił i odszedł od kasy. Po drodze jakaś kobieta, która oglądała męskie piżamy, uśmiechnęła się do niego. Arthur odwzajemnił uśmiech i skierował się w stronę ruchomych schodów.

Gdy zjeżdżał na dół, poczuł na ramieniu dotknięcie delikatnej dłoni. Odwrócił się, a kobieta zeszała o stopień niżej, zbliżając się do niego.

Pośród wielu był tylko jeden związek, w który nie powinien się angażować...

— Nie mów, że mnie nie poznajesz — rzuciła Carol-Ann.

— Przepraszam, myślałem byłem daleko stąd.

— Wiem, słyszałam, że mieszkałeś we Francji. Miewasz się już lepiej? — zapytała, przybierając współczujący wyraz twarzy.

— Tak, dlaczego pytasz?

— Bo słyszałam też, że ta dziewczyna, dla której mnie zostawiłeś... że w pewnym sensie owdowiałeś, to takie smutne...



- O czym ty mówisz? — Arthur spojrział na nią zmieszany.
- Miesiąc temu widziałam się na koktajlu z Pauliem. Naprawdę bardzo mi przykro.
- Cieszę się, że cię spotkałem, ale trochę się spieszę, jestem już spóźniony — powiedział Arthur.
- Chciał zejść kilka stopni niżej, ale Carol-Ann chwyciła go za rękę i z dumą pokazała pierścionek, który błyszczał na jej palcu.
- W przyszłym tygodniu obchodzimy pierwszą rocznicę ślubu. Pamiętasz Martina?
- Nie bardzo — odpowiedział Arthur, przechodząc na schody na pierwsze piętro.
- Nie zapomniałeś chyba Martina! Tego kapitana drużyny hokejowej! — skarciła go Carol-Ann, z dumą unosząc głowę.
- A tak, to ten wysoki blondyn!
- Bardzo ciemny brunet.
- Brunet, ale wysoki?
- Nawet bardzo.
- No właśnie — skinął głową, przypatrując się czubkom swoich pantofli.
- Ale tobie nie udało się jeszcze ułożyć życia? — zapytała Carol-Ann tonem współczucia.
- Przeciwnie! Układam je i burzę, jak to zwykle bywa! — mruknął, coraz bardziej zniecierpliwiony.
- Chyba mi nie powiesz, że taki facet jak ty jest ciągle kawalerem?
- Nie, nie powiem, bo i tak za dziesięć minut o tym zapomnisz, a poza tym to nie ma większego znaczenia — burknął.
- Kolejne piętro, a wraz z nim nadzieja, że Carol-Ann zechce tu coś kupić. Ale nic z tego — zjechała z nim na parter.
- Mam mnóstwo samotnych koleżanek! Jeśli przyjedziesz do nas na przyjęcie z okazji rocznicy ślubu, przedstawię ci kobietę twojego życia. Jestem wspaniałą swatką, potrafię wy-czuć, kto do kogo pasuje. Chyba wciąż lubisz kobiety?

— Nawet kocham, ale jedną! Dziękuję ci, miło było cię spotkać, pozdrów ode mnie Martina.

Arthur pożegnał się z Carol-Ann i szybko odszedł. Kiedy mijał stoisko z kosmetykami jednej ze znanych francuskich firm, obudziło się w nim wspomnienie słodkie jak zapach perfum, które ekspedientka prezentowała klientce. Przymknął oczy, przywołując dzień, kiedy szedł tą alejką, silny miłością niewidzialną i pewną. Był wtedy szczęśliwy jak nigdy wcześniej. Przeszedł przez obrotowe drzwi i znalazł się na chodniku Union Square.

Manekin na wystawie ubrany był w elegancką suknię wieczorową z szerokim paskiem w talii. Delikatna drewniana dłoń nonszalancko wskazywała przechodnia z ulicy. W złocistym blasku słońca człowiek czuje się lekko. Arthur stał w bezruchu, głęboko zamyślony. Nie słyszał warkotu motocykla z przyczepą za swymi plecami. Kierujący nim stracił panowanie nad pojazdem na zakręcie z Polk Street, jednej z czterech ulic wiodących na plac. Usiłował ominąć przechodzącą kobietę, i teraz jechał zygzakiem, z warkotem silnika. Jakiś mężczyzna w garniturze rzucił się na ziemię, żeby uniknąć wypadku, inny odskoczył i upadł w tył, jakaś kobieta z krzykiem schowała się za budką telefoniczną, a motocykl wciąż jechał. Przyczepa zahaczyła o reklamę, zerwała ją, a potem uderzyła w parkometr, ten jednak był mocno osadzony w ziemi i oderwał przyczepę od motocykla. Teraz nic jej już nie zatrzymuje i leci niemal z prędkością pocisku prosto przed siebie. Uderza w nogi Artura, unosi go i wyrzuca w górę. Czas zdaje się płynąć leniwie, przeciąga się jak długa chwila ciszy. Rozpędzona przyczepa rozbija szybę. Ogromna witryna rozpada się na miliony odłamków. Arthur toczy się po ziemi, aż do wyciągniętych rąk manekina, który leży teraz na szklanym dywanie. Zastona spada mu na oczy, światło staje się mleczone, w ustach Arthur czuje metaliczny smak krwi. W oszołomieniu chciałby powiedzieć ludziom, że to tylko głupi wypadek, ale słowa grzęzną mu w gardle.

Chce wstać, ale na to jest jeszcze za wcześnie — uginają się pod nim kolana, ktoś potwornie głośno krzyczy, żeby się nie ruszał. Zaraz przybędzie pomoc.

Jeżeli się spóźni, Paul będzie wściekły. A przecież trzeba jeszcze wyprowadzić psa miss Morrison... Dziś niedziela? Nie, chyba poniedziałek. Powinien wpaść do biura i podpisać plany. Gdzie kwit z parkingu? Kieszeń na pewno się podarła, bo trzymał w niej rękę, którą teraz ma pod plecami. Ta ręka trochę go boli. Tylko nie pocieraj głowy, bo odłamki szkła są ostre. Światło oślepia, ale dźwięki normalnieją. Oślepienie mija. Otwórz oczy. Twarz Carol-Ann. Czy nigdy nie da mi spokoju, nie chcę, żeby przedstawiała mnie kobiecie mojego życia, już ją znalazłem, do diabła! Muszę nosić obrączkę, żeby mieć wreszcie spokój. Zaraz wrócę do sklepu i kupię sobie byle jaką. Paula to rozdrażni, ale ja będę się nieźle bawił.

W dali słyhać syrenę, musi koniecznie wstać, zanim przyjedzie ambulans, nie ma sensu niepokoić ludzi, nic go nie boli, no może w ustach, bo przygryzł policzek. Policzek to drobiazg, chociaż takie rany są nieprzyjemne, ale to naprawdę głupstwo. Idiotyczna historia, marynarka pewnie nadaje się do śmieci, a tak lubił tę tweedową marynarkę. Sarah uważała, że tweed postarza, ale on nic sobie nie robił z tego, co myśli Sarah, a zresztą ona nosiła najpaskudniejsze na świecie czółenka, z potwornie ostrymi noskami. Dobrze, że powiedział Sarah, że ta noc, którą spędzili razem, to tylko przygoda, bo nie są dla siebie stworzeni. To niczyja wina. Ciekawe, jak się czuje motocyklista? Na pewno to ten facet w kasku. Chyba wyszedł z tego obronną ręką, teraz ma za to głupią minę.

Wyciągnę rękę do Carol-Ann, a ona będzie opowiadała kumpelkom, że uratowała mi życie, bo pomogła mi wstać.

— Arthurze?

— Carol-Ann...

— Byłam pewna, że wpadłeś w sam środek tej przerażającej katastrofy — jęknęła, wystraszona.

Spokojnie otrzepał marynarkę, oderwał smętnie zwisającą kieszeń, potrząsnął głową, żeby zrzucić odłamki szkła.

— Najadłam się strachu! Miałeś dużo szczęścia! — piszczała mu nad uchem Carol-Ann.

Arthur spojrział na nią z powagą.

— Wszystko jest względne, Carol-Ann. Moja marynarka zamieniła się w szmatę, cały jestem pokaleczony i wciąż narażam się na fatalne spotkania, nawet kiedy chcę tylko kupić smycz dla psa sąsiadki.

— Smycz dla psa... Miałeś mnóstwo szczęścia, bo wyszedłeś z tego wypadku praktycznie cały i zdrowy! — obruszyła się Carol-Ann.

Arthur patrzył na nią, starając się przybrać refleksyjny wyraz twarzy, a nade wszystko zachować się kulturalnie. Drażnił go nie tylko głos Carol-Ann, wszystko u niej stało się nieznośne. Próbował zachować chociaż pozory spokoju, mówił tonem pewnym, ale i powściągliwym.

— Masz rację, pomyliłem się w ocenie sytuacji. Miałem szczęście, bo od ciebie odszedłem, a potem spotkałem kobietę mojego życia, ale ona była w śpiączce! Własna matka chciała już poddać ją eutanazji, jednak szczęście dopisało mi, jak może dopisać tylko szaleńcowi: mój najlepszy przyjaciel zgodził się pomóc mi w porwaniu dziewczyny ze szpitala.

Zaniepokojona Carol-Ann cofnęła się o krok, Arthur zrobił krok do przodu.

— Co masz na myśli, mówiąc „porwanie”? — zapytała cichutko, tuląc torebkę do piersi.

— Wykradliśmy jej ciało! Paul ukradł ambulans, dlatego teraz uważa, że musi powtarzać wszystkim, że jestem wdowcem, ale w rzeczywistości jestem nim tylko w połowie! To bardzo osobliwa kategoria, Carol-Ann.

Arthur czuł, że uginają się pod nim nogi, z lekka się zatoczył. Carol-Ann chciała ująć go pod ramię, ale sam się wyprostował.

— A prawdziwe szczęście polegało na tym, że Lauren mogła mi mówić, jak mam się nią opiekować i utrzymywać ją przy

życiu. Okazuje się, że warto być lekarzem, kiedy twoje ciało i duch się rozdzielają. Możesz sama o siebie zadbać!

Carol-Ann rozchyliła usta, chcąc zaczerpnąć tchu. Arthur nie musiał chwytać powietrza, a tylko uchwycić równowagę. Uczępił się rękawa Carol-Ann, która aż podskoczyła i krzyknęła.

— A potem ona się obudziła, i to też było niesamowite szczęście! Tak, Carol-Ann, widzisz, prawdziwym szczęściem nie było nasze zerwanie ani to muzeum w Paryżu, nie ten motocykl, ale ona! Ona jest prawdziwym szczęściem mojego życia! — powiedział wyczerpany i usiadł na szczątkach przyczepy.

Lśniący nowością ambulans zaparkował przy krawężniku. Szef zespołu podbiegł do Arthura, w którego wpatrywała się osłupiała Carol-Ann.

Ratownik wziął rannego pod ramię i chciał odprowadzić do karetki.

— Zapewniam pana, że wszystko jest w porządku — powiedział Arthur, odsuwając się od niego.

— Trzeba zszyć ranę na czole — tłumaczył ratownik, a Carol-Ann wymownymi gestami dawała mu do zrozumienia, że powinien jak najszybciej zabrać stąd poszkodowanego.

— Poza tym tyle tu odłamków szkła, że może pan mieć jego okruszyny w oczach. Muszę zabrać pana do szpitala.

Zmęczony Arthur w końcu się poddał. Ratownik ułożył go na noszach. Przykrył mu oczy sterylnymi gazikami, aby chronić je do chwili przemycia, bo każde poruszenie gałek mogło doprowadzić do uszkodzenia rogówki. Opatrunek skazał Arthura na nieprzyjemną ciemność.

Ambulans ruszył w Suter Street z głośnym wyciem syren, potem skręcił w Van Ness Avenue i skierował się ku San Francisco Memoriał Hospital.

## 6

Rozbrzmiał dźwięk dzwonka. Drzwi windy otworzyły się na trzecim piętrze. Napis na tabliczce umieszczonej na ścianie informował, że mieści się tu klinika neurologii. Lauren wysiadła z windy, nie witając nawet kolegów, którzy zjeżdżali na niższe piętra szpitala. Neony wiszące pod sufitem wzdłuż całego korytarza odbijały się w kolorowej, lśniącej jak tafla lodu podłodze. Buty lekarki skrzypiały przy każdym kroku po linoleum. Uniosła rękę, by delikatnie zapukać do sali trzysta siedem, ale zaraz opuściła ją bezwładnie. Weszła.

Z łóżka zabrano już pościel, zniknęła poduszka. Metalowy stojak do kroplówki pozostał na straży, nagi, wyprężony jak szkielet, zepchnięty w kąt przy nieruchomej zasłonie łazienki. Radio na nocnej szafce milczało, pluszaki, które jeszcze rano uśmiechały się z parapetu, zaczęły już pełnić służbę w innych salach. Po rysunkach, które wisiały na ścianie, pozostało tylko parę kawałków taśmy klejącej.

Mała Marcia odeszła dziś po południu, jak mógłby ktoś powiedzieć, ale ktoś inny mógłby po prostu stwierdzić, że umarła. Jednak dla wszystkich pracowników tego piętra pokój trzysta siedem jeszcze przez kilka godzin miał być jej pokojem. Lauren usiadła na materacu, pogładziła oparcie łóżka. Drżącą ręką sięgnęła do szafki nocnej i wysunęła szufladkę. Wyjęła

złożoną kartkę i zbierała siły, by poznać zapisany na niej sekret. Dziewczynka, która odeszła w ciemnościach, doskonale ją widziała. Kolor oczu Lauren zatarły łzy. Skuliła się, chcąc powstrzymać spazm.

Uchyliły się drzwi, ale Lauren nie usłyszała oddechu mężczyzny o posiwiałych skroniach, który patrzył na jej łzy.

Pełen godności i elegancki, w czarnym garniturze, o twarzy okolonej starannie przyciętą brodą, Santiago po cichu podszedł do łóżka i usiadł obok lekarki. Położył rękę na jej ramieniu.

— To nie pani wina — szepnął głosem, w którym słyszało się argentyński akcent. — Jesteście tylko lekarzami, nie bogami.

— A kim pan jest? — wyszeptała Lauren, szlochając.

— Jej ojcem, przyszedłem zabrać resztę rzeczy małej, matka nie była w stanie tego zrobić. Musi się pani wziąć w garść. Są tu inne dzieci, jest im pani potrzebna.

— Powinno być odwrotnie — powiedziała Lauren, zalewając się łzami.

— Odwrotnie? — zdziwił się mężczyzna.

— To ja powinnam pana pocieszać — rozplakała się na dobre.

Mężczyzna, więzień dobrych manier i wstydu, wahał się przez moment, a potem wziął Lauren w ramiona i przytulił. Jego zmęczone oczy o lazurowych tęczęwkach zasnuły się łzami. I oto, jakby chcąc towarzyszyć Lauren, jakby przez grzeczność, pozwolił sobie w końcu na okazanie bólu i rozpacz.

Ambulans zatrzymał się na podjeździe izby przyjęć. Kierowca i ratownik prowadzili Arthura do przeszklonej rejestracji.

— Jest pan na miejscu — powiedział kierowca.

— Mógłby pan zdjąć mi ten bandaż? Zapewniam, że nic mi się nie stało, chciałbym tylko wrócić do domu.

— Świetnie się składa! — podchwyciła władczy tonem Betty, przeglądając kartę, którą podał jej ratownik. — Ja też chciałabym, żeby pan wrócił do domu — ciągnęła — i żeby wszyscy oczekujący w tym holu poszli do siebie, a przede wszystkim sama chętnie wróciłabym do domu. Ale czekając na zmiłowanie boże, musimy zbadać pana i ich wszystkich. Pielęgniarka przyjdzie po pana.

— Jak długo to potrwa? — zapytał niemal nieśmiało.

Betty wywróciła oczy, wzniosła ręce ku niebu i rzuciła:

— On jeden wie! Proszę zaprowadzić pacjenta do poczekalni — zwróciła się do ratownika i odeszła.

Ojciec Marcii wstał, otworzył szafę i wyjął z niej pudełko z rzeczami córeczki.

— Bardzo panią lubiła — powiedział, nie odwracając głowy. Lauren spuściła oczy.

— Właściwie nie to chciałem powiedzieć — podjął mężczyzna.

A ponieważ Lauren milczała, zadał jej pytanie.

— Cokolwiek bym teraz powiedział, panią obowiązuje tajemnica lekarska, prawda?

Lauren odparła, że daje mu na to słowo, a Santiago podszedł do łóżka i znów usiadł obok niej, szepcząc:

— Chciałem pani podziękować, że pozwoliła mi się pani wypłakać.

I oboje siedzieli nadal bez ruchu.

— Czy czasami opowiadał pan Marcii historyjki? — zapytała półgłosem Lauren.

— Mieszkałem daleko, przyjechałem z powodu tej operacji. Ale co wieczór dzwoniłem z Buenos Aires. Marcia kładła



słuchawkę na poduszce, a ja opowiadałem jej o małej krainie zwierząt i roślin, które żyły w głębokim lesie, na polanie, gdzie nigdy nie pojawił się człowiek. Snułem tę historię przez z górą trzy lata. Zdarzało mi się pogubić, bo był tam zając o magicznej mocy, jelenie, drzewa, z których każde miało swe imię, orzeł, który latał w kółko, bo jedno z jego skrzydeł było krótsze, ale Marcia wyłapywała każdą pomyłkę. Mogłem spotkać uzonego pomidora czy wijącego się ze śmiechu ogórka tylko tam, gdzie pozostawiliśmy je poprzednim razem.

— Czy na polanie była sowa?

Santiago uśmiechnął się.

— To był niezły numerek! Emilio pełnił rolę nocnego stróża. Kiedy inne zwierzęta spały, on czuwał nad ich bezpieczeństwem. Ale ta praca była tylko pretekstem dla piekielnie tchórzliwej sowy. O świcie ptak uciekał, ile sił w skrzydłach, do groty. Ukrywał się w niej, bo bardzo bał się światła. A zając był porządnym gościem. Wiedział o wszystkim, ale nie zdradził tajemnicy Emilia. Marcia często zasypiała, zanim skończyłem opowieść, a ja przez kilka minut wsłuchiwałem się w jej oddech, dopóki jej mama nie odłożyła słuchawki. Ten oddech brzmiał w mych uszach jak piękna muzyka, przywoływałem go w pamięci, kładąc się spać.

Ojciec dziewczynki zamilkł. Wstał i podszedł do drzwi.

— Widzi pani, buduję w Argentynie zapory. To wielkie przedsięwzięcie, jednak tylko Marcia była moją dumą!

— Proszę zaczekać! — szepnęła Lauren.

Pochyliła się, zaglądając pod łóżko. Mała biała sówka czekała w cieniu materaca, krzyżując skrzydła. Lekarka wyjęła maskotkę i podała ją Santiago. Mężczyzna zawrócił, wziął sówkę i pogładził jej futerko.

— Proszę — powiedział do Lauren, zwracając jej białą sowę. — Niech pani naprawi jej oczy, jest pani lekarzem, powinno się to pani udać. Proszę zwrócić jej wolność, sprawić, żeby już nigdy się nie bała.

Skinął jej głową i wyszedł. W korytarzu, kiedy został sam, przytulił do siebie małe pudełko.

Pager Lauren wibrował, wzywano ją do izby przyjęć. Przeszła do dyżurki pielęgniarek i odebrała telefon. Betty dziękowała Bogu, że zastała ją jeszcze w szpitalu, wciąż przybywało pacjentów, potrzebne były posiłki.

— Już idę — powiedziała Lauren, odkładając słuchawkę.

Przed wyjściem z pokoju schowała do kieszeni fartucha sówkę dziwaczkę. Zwierzątko potrzebowało człowieczego ciepła, bo tego dnia utraciło najbliższą przyjaciółkę.

Arthur miał dość czekania, sięgnął do prawej kieszeni marynarki po telefon komórkowy. Ale nie miał już prawej kieszeni marynarki.

Miał zasłonięte oczy i próbował zgadnąć, która może być godzina. Paul dostanie szału, pomyślał, przypominając sobie, że dziś obawiał się tego, ale nie pamiętał, z jakiego powodu. Wstał i ruszył po omacku do okienka rejestracji. Betty wybiegła mu naprzeciw.

— Jest pan nieznośny!

— Po prostu nie znoszę szpitali.

— Dobrze, skoro już pan podszedł do okienka, wykorzystajmy okazję, żeby wypełnić kwestionariusz. Był pan już u nas?

— Dlaczego pani pyta? — zapytał zaniepokojony Arthur, opierając się o blat.

— Bo wtedy pańskie dane byłyby w komputerze i poszłoby nam szybciej.

Arthur odpowiedział, że nigdy się tu nie leczył. Betty miała dar zapamiętywania twarzy i choć mężczyzna miał przesłonięte oczy, jego rysy nie były jej obce. Może spotkała go gdzieś

indziej? Zresztą to było bez znaczenia, miała za dużo pracy, żeby się teraz nad tym zastanawiać.

Arthur chciał wrócić do domu, za długo już czekał, chciał pozbyć się bandaża.

— Macie ręce pełne roboty, a ja czuję się doskonale — powiedział. — Chcę stąd wyjść.

Betty bezpardonowo chwyciła go za rękę.

— Niech pan spróbuje!

— Czym ryzykuję? — zapytał niemal rozbawiony Arthur.

— Jeżeli w ciągu sześciu do dwunastu miesięcy od wypadku pojawi się najłżejszy ból, może pan zapomnieć o ubezpieczeniu! Jeżeli wyjdzie pan teraz za próg szpitala, choćby po to, żeby zapalić papierosa, odeślę pańskie papiery z adnotacją, że odmówił pan poddania się badaniu lekarskiemu. Nawet przy bólu zęba pański ubezpieczyciel odprawi pana z kwitkiem.

— Nie palę! — powiedział, opierając ręce o blat.

— Wiem, że nic pan nie widzi i to pana przeraża, ale proszę o odrobinę cierpliwości, pani doktor już tu jest, właśnie wysiadła z windy.

Lauren zbliżyła się do okienka. Po wyjściu z pokoju Marcii trudno jej było wydusić choć słowo, więc wzięła tylko z rąk pielęgniarki kartę pacjenta i skupiła się na raporcie ekipy pogotowia ratunkowego, równocześnie prowadząc Arthura pod rękę do sali numer cztery. Odsunęła zasłonę i pomogła mu usiąść na łóżku. Kiedy już leżał, zaczęła zdejmować bandaż.

— Proszę jeszcze nie otwierać oczu — powiedziała.

Tych kilka słów, które wypowiedziała uspokajającym tonem, wystarczyło, by wywołać drgnienie serca Arthura. Usunęła oba gaziki i uniosła powieki, aby przemyć oczy solą fizjologiczną.

— Czy to boli?

— Nie.

— Miał pan wrażenie, że jakiś odłamek pana skaleczył?

— Nie, ten opatrunek to pomysł ratownika, naprawdę nic mi nie jest.

— Postąpił słusznie. Teraz może pan już otworzyć oczy.

Minęło kilka sekund, zanim sól fizjologiczna spłynęła z oczu, a Arthur odzyskał ostrość widzenia. Wtedy jego serce zaczęło bić jeszcze szybciej. Życzenie wypowiedziane na grobie Liii właśnie się spełniło.

— Wszystko w porządku? — zaniepokoiła się Lauren, dostrzegając bladość pacjenta.

— Tak — powiedział ze ściśniętym gardłem.

— Niech pan się odpręży!

Lauren pochyliła się nad nim, żeby przez lupę obejrzyć obie gałki oczne. Kiedy przeprowadzała badanie, ich twarze znalazły się tak blisko, że niemal dotykali się wargami.

— Miał pan dużo szczęścia, pańskie oczy nie ucierpiały!

A Arthur nie komentował tych słów...

— Nie stracił pan przytomności?

— Jeszcze nie!

— To był żart?

— Marna próba...

— Zawroty albo bóle głowy?

— Nie.

Lauren wsunęła rękę pod plecy Arthura i dotknęła jego kręgosłupa.

— Nie czuje pan bólu?

— Ani trochę.

— Ale wargę imponująco panu obrzękła. Proszę otworzyć usta!

— Czy to konieczne?

— Inaczej bym nie prosiła.

Arthur wykonał polecenie, Lauren sięgnęła po latarkę.

— U! Trzeba będzie założyć przynajmniej pięć szwów.

— Aż tyle?

— To też był żart! Zupełnie wystarczy płukanie ust przez cztery dni.

Zdezynfekowała ranę na czole i żelem spoiła jej brzegi. Potem otworzyła szufladę i rozdarła opakowanie opatrunku, który nakleiła na ranę.

— Nie udało mi się całkowicie ominąć brwi, przy zdejmowaniu plastra to może zboleć. Inne zranienia są drobne, zagoją się same. Przez kilka dni będzie pan przyjmował antybiotyk o szerokim spektrum działania, ale tylko zapobiegawczo.

Arthur zapiął mankiety koszuli, podniósł się i podziękował Lauren.

— Nie tak szybko — powiedziała, popychając go na leżankę. — Muszę zmierzyć panu ciśnienie.

Wyjęła aparat do mierzenia ciśnienia z zaczepu na ścianie i umocowała go na ramieniu Arthura. Ciśnieniomierz był automatyczny. Napełnił się powietrzem, potem je wypuszczał w regularnych odstępach. Już po kilku sekundach na ekranie nad leżanką wyświetliły się cyfry.

— Cierpi pan na częstoskurcz? — zapytała Lauren.

— Nie — odparł bardzo zakłopotany Arthur.

— Jednak teraz ma pan wszystkie objawy, pańskie serce uderza sto dwadzieścia razy na minutę, ciśnienie sięga stu osiemdziesięciu, a to stanowczo za dużo jak na człowieka w pańskim wieku.

Arthur patrzył na Lauren, szukając wymówki dla swojego serca.

— Jestem hipochondrykiem, szpitale mnie przerażają.

— Mój były mdał na widok mojego fartucha.

— Pani były?

— Nic poważnego.

— A obecny dobrze znosi stetoskop?

— Mimo wszystko wolałabym, żeby zbadał pana kardiolog, jeśli pan zechce, mogę tu kogoś wezwać.

— Nie trzeba — odparł z przekonaniem Arthur. — Nie po raz pierwszy zdarza mi się coś takiego. Co prawda w szpitalu to pierwszy raz, ale kiedy prezentuję projekt podczas konkursu, serce wali mi jak szalone i mam tremę.

— W jakim zawodzie staje się ciągle do konkursów? — zapytała Lauren, z uśmiechem wypisując receptę.

Arthur zawahał się. Wykorzystywał tę chwilę, kiedy siedziała pochylona nad biurkiem, by napatrzeć się na nią w ciszy

i skupieniu. Lauren wcale się nie zmieniła, była tylko trochę inaczej uczesana. Blizna na czole, którą tak polubił, niemal zniknęła. A spojrzenie wciąż było to samo — dumne, nieprzeniknione. Rozpoznawał każde drgnienie jej twarzy, choćby to wygięcie łuku Kupidyna pod nosem, kiedy mówiła. Czar jej uśmiechu przywołał wspomnienie szczęścia. Czy to możliwe, żeby aż tak nam kogoś brakowało? Opaska na ramieniu Arthura znów się napięła, na ekranie rozbłysły nowe cyfry. Lauren uniosła głowę, by na nie spojrzeć.

— Jestem architektem.

— I pracuje pan także w weekendy?

— Czasami nawet w nocy, dla nas nie ma godzin.

— Rozumiem, co to oznacza!

Arthur wyprostował się.

— Znała pani jakiegoś architekta? — zapytał drżącym głosem.

— O ile pamiętam, nie, miałam na myśli mój zawód. To nas łączy — pracujemy, nie licząc godzin.

— A co robi pani przyjaciel?

— Już po raz drugi pyta mnie pan o przyjaciela. Pańskie serce bije o wiele za szybko, wolałabym, żeby zbadał pana któryś z moich kolegów.

Arthur zdjął opaskę ciśnieniomierza z ramienia i wstał.

— Teraz to pani jest przerażona!

Chciał iść do domu i odpocząć. Jutro wszystko będzie dobrze. Obiecał, że w najbliższych dniach skontroluje swoje ciśnienie, a gdyby cokolwiek było nie tak, pójdzie do lekarza.

— Mogę to uważać za obietnicę? — nalegała Lauren.

Arthur prosił niebo, żeby przestała tak na niego patrzeć, bo jeżeli lada chwila nie pęknie mu serce, to chwyci ją w ramiona i wyzna, że za nią szalał, że nie mógł dłużej mieszkać w mieście, w którym mieszkała, nawet z nianie rozmawiając. Opowie jej o wszystkim, zakładając, że starczy mu na to czasu, zanim ona wezwie ochronę i każe go zabrać na psychiatrię. Sięgnął po marynarkę, a raczej to, co z niej zostało, zdecydował, że nie

włoży jej przy Lauren, i podziękował. Wyszedł z gabinetu i wtedy usłyszał jej głos.

— Arthurze...

Tym razem bicie serca czuł nawet w głowie. Odwrócił się.

— Chyba tak ma pan na imię?

— Tak — powiedział, z trudem rozchylając zaschnięte usta.

— Pańska recepta! — uśmiechnęła się, podając mu różową kartkę.

— Dziękuję — odpowiedział Arthur, biorąc receptę.

— Już mi pan dziękował. I proszę włożyć marynarkę, bo o tej porze robi się chłodno, a pański organizm doznał dziś silnego wstrząsu.

Arthur niezdarnie wsunął rękę w rękaw, a potem, zanim wyszedł, zatrzymał się i długo patrzył na Lauren.

— Coś się stało? — zapytała.

— Ma pani sowę w kieszeni — powiedział, uśmiechając się smutno.

I wyszedł.

Kiedy mijał recepcję, zawołała go Berty. Zawrócił, zdziwiony.

— Proszę tu podpisać i będzie pan wolny — powiedziała, podsuwając mu duży czarny zeszyt.

Arthur postawił parafkę w rejestrze izby przyjęć.

— Na pewno dobrze się pan czuje? — zaniepokoiła się przełożona pielęgniarek. — Wygląda pan na oszołomionego.

— Bardzo możliwe — przyznał, odchodząc.

Arthur polował na taksówkę przed wyjściem ze szpitala, a z okna, za którym Betty segregowała karty przyjęć, obserwowała go Lauren, on jednak już tego nie widział.

— Nie sądzisz, że jest do niego trochę podobny?

— Nie wiem, o kim mówisz — odpowiedziała pielęgniarka, pochylając głowę nad papierami. — Czasem zastanawiam się, czy pracujemy w szpitalu, czy w jakimś urzędzie.

— Pewnie jedno i drugie. Spójrz na niego i powiedz, co o nim myślisz. Facet jest chyba całkiem przystojny?

Betty uniosła okulary, szybko zerknęła na mężczyznę i zwróciła oczy na dokumenty. Kiedy nadjechał samochód Yellow Cab Company, Arthur wszedł i taksówka ruszyła.

— Wcale go nie przypomina! — fuknęła Betty.

— Patrzyłaś na niego przez dwie sekundy!

— Tak, ale pytasz mnie o to po raz setny, więc nabrałam wprawy, a poza tym już ci mówiłam, że nie zapominam twarzy. Gdyby to był ten twój facet, od razu bym go poznała, w końcu ja nie byłam w śpiączce.

Lauren wzięła stos papierów i pomogła pielęgniarce w ich układaniu.

— Przed chwilą, kiedy go badałam, ogarnęło mnie dziwne przeczucie.

— Dlaczego go o to nie zapytałaś?

— Wyobrażasz sobie, że mogłabym powiedzieć do pacjenta: „Czy dziwnym zbiegiem okoliczności, kiedy budziłam się ze śpiączki, nie przesiedział pan dwóch tygodni przy moim łóżku?”.

Betty roześmiała się z całego serca.

— Dziś w nocy chyba znowu mi się śnił. Ale po przebudzeniu nigdy nie mogę sobie przypomnieć rysów jego twarzy.

— Gdyby to był on, rozpoznałby cię. Masz tam dwudziestu „klientów”, czekają na ciebie, powinnaś wybić sobie z głowy te bzdury i iść spać. Zamknij w końcu ten rozdział, przecież w twoim życiu chyba jest jakiś mężczyzna?

— Jesteś pewna, że to nie on?

— Całkowicie!

— Opowiedz mi jeszcze o nim.

Betty odsunęła plik dokumentów i obróciła się razem z krzesłem.

— Cóż miałabym ci powiedzieć!

— To wręcz niewiarygodne! — oburzyła się Lauren. — Cały personel widywał tego chłopaka przez dwa tygodnie, a nie mogę znaleźć nikogo, kto coś o nim wie.



— To dowodzi, że facet jest z natury bardzo dyskretny — burknęła Berty, spinając plik różowych kart.

— I nikt nie zapytał, co tu robi?

— Ponieważ twoja matka tolerowała jego obecność, nie mogliśmy się wtrącać. Wszyscy myśleli, że to jeden z twoich przyjaciół, może nawet chłopak! Na piętrze zazdrościły ci go wszystkie dziewczyny, kilka chętnie by ci go odbiło.

— Mama przypuszcza, że był pacjentem. Fernstein, że to jakiś krewny, a ty, że to mój chłopak. Zdania są naprawdę podzielone!

Berty odkaszlnęła i wstała, żeby odnieść na miejsce część dokumentacji. Zsunęła okulary z nosa i z powagą spojrzała na Lauren.

— Ty także tu byłaś!

— Co wy wszyscy chcecie przede mną ukryć?

Żeby nie zdradzić zmieszania, pielęgniarka pochyliła głowę nad papierami.

— Absolutnie nic! Wiem, że to może się wydawać dziwne, ale jedyną naprawdę niewiarygodną rzeczą jest to, że wyszłaś z tego obronną ręką, bez śladu choroby, i powinnaś teraz dziękować za to Bogu, a nie z uporem maniaka mnożyć niewiadome.

Berty trąciła dzwonek, który stał przed nią, i wywołała sto dwudziesty piąty numerek. Wcisnęła Lauren pod pachę teczkę z kartami pacjentów i skinieniem ręki nakazała wrócić do pracy.

— Do diabła, przecież to ja jestem tu lekarzem i szefem — burknęła Lauren, wchodząc do sali numer cztery.

# 7

Taksówka zatrzymała się przed wejściem do kamienicy Arthura. Przez chwilę na próżno szukał kluczy, a w końcu zaczął się zastanawiać, czy nie nacisnąć guzika domofonu miss Morrison, pomyślał jednak, że ona i tak go nie usłyszy, więc uniósł głowę, by zerknąć w okno. Z balkonu ciekła strużka wody — sąsiadka właśnie podlewała kwiaty. Skinął jej ręką. Miss Morrison zaniepokoiła się, widząc, w jak opłakanym jest stanie. Zniknęła w mieszkaniu, a po chwili zabręczały drzwi wejściowe.

Miss Morrison czekała na niego w progu. Trzymając ręce na biodrach, obserwowała go badawczo.

— Flirtujesz z jakąś bokserką?

— Nie, ale pewna przyczepa motocyklowa zakochała się we mnie do szaleństwa — uśmiechnął się blado.

— Miałeś wypadek na motorze?

— Zostałem potrącony! A na dokładkę nie przechodziłem nawet przez jezdnię i dałem się najechać przed wystawą Macy's.

— Coś ty tam robił?

Ponieważ automatyczna smycz poniewierała się teraz pod warstwą rozbitego szkła, Arthur wolał nie wspominać o tym zakupie. Miss Morrison spojrzała na podartą marynarkę.

— Obawiam się, że trudno będzie to zebrać do kupy! Zabrałeś przynajmniej kieszeń?

— Nie — odpowiedział Arthur, siłąc się na uśmiech, ale obolała warga dokuczała mu coraz bardziej.

— Kiedy znowu najdzie cię ochota na pieszczoty z tą ślicznotką, załóż jej grube rękawice albo przytnij pazurki, bo to piekielnie ostra bestyjka.

— Rose, proszę mnie nie rozśmieszać, piekielnie bołą mnie usta!

— Gdybym wiedziała, że wystarczy potrącić cię motorem, żebyś wreszcie zwrócił się do mnie po imieniu, poprosiłabym o drobną przysługę któregoś ze starych kumpli z Hell's Angel. A skoro sobie gawędzimy, to muszę ci powiedzieć, że Pablo potwornie ujął dziś po południu i już myślałam, że umiera, ale okazało się, że po prostu szczeka.

— Pójdę już, Rose, chcę się położyć.

— Przyniosę panu ziółka, powinnam gdzieś mieć arnikę.

Arthur podziękował, ale ledwie przeszedł kilka kroków, usłyszał jej głos. Potrząsała trzymanym w ręku kompletem kluczy.

— Podejrzewam, że nie udało ci się znaleźć kluczy? Pamiętasz, zostawiłeś u mnie zapasowe, przydadzą ci się teraz, jeśli chcesz wejść do siebie.

Otworzył drzwi i oddał klucze sąsiadce. Miał jeszcze jeden komplet w biurze i wolał, żeby ten został u niej. Wszedł do mieszkania, włączył halogenowe oświetlenie w salonie i natychmiast je wyłączył, bo poczuł niezwykle silny ból głowy. Poszedł do łazienki i sięgnął do apteczki po dwie tabletki aspiryny. Uznał, że tylko podwójna dawka zdoła uciszyć burzę, która rozpętała się pod jego czaszką. Wsunął tabletki pod język, żeby jak najszybciej się rozpuściły i przedostały do krwi, przynosząc ulgę. Dzięki czterem miesiącom życia ze stażystką kończącą studia medyczne nauczył się kilku sztuczek. Drgnął, czując w ustach gorycz. Pochylił się nad kranem, żeby napić się wody. Wtedy cały świat zawirował i Arthur musiał oprzeć

się o umywalkę. Zrobiło mu się słabo. Trudno było się dziwić, od rana nie miał nic w ustach. Mimo ogarniających go mdłości musiał coś zjeść. Wiedział, że pusty żołądek sprzyja zasłabnięciom. Rzucił marynarkę na kanapę i poszedł do kuchni. Kiedy otwierał drzwi lodówki, wstrząsnęły nim gwałtowne dreszcze. Wyjął talerzyk z serem i paczkę tostów. Przygotował namiastkę kanapki, ale już po pierwszym kęsie poczuł, że nie zdoła nic przełknąć.

Ta walka z własnym organizmem nie miała sensu, został dziś znokautowany. Poszedł do sypialni, zbliżył się do szafki nocnej, chwycił sznur lampki i wiódł po nim palcami, aż natrafił na włącznik. Przycisnął go. Odwrócił głowę w stronę drzwi i pomyślał, że wyskoczył jeden z korków, bo w salonie też panowały ciemności.

Nie rozumiał, co się dzieje — lampka nocna po jego lewej ręce ledwie się tliła, światło, które dawała, było rozedrgane i blade, niemal pomarańczowe, kiedy jednak patrzył na nie na wprost, stawało się normalne. Mdłości wyraźnie się nasilały, chciał pobiec do łazienki, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Osunął się na podłogę.

Leżał przy łóżku, nie mając siły wstać, i próbował dopełznąć do telefonu. Serce tłukło mu się w piersi jak ptak uwięziony w ciasnej klatce, każde uderzenie tętniło w głowie i przyprowadzało o niewyraźalny ból. Chciał zaczerpnąć powietrza, którego mu brakowało, ale usłyszał już tylko dzwonek do drzwi i stracił przytomność.

Rozwścieczony Paul spojrzął na zegarek. Skinał na kelnera i poprosił o rachunek. Parę minut później szedł przez parking restauracji, raz jeszcze przepaszając dziewczęta. To naprawdę nie jego wina, że współnik zachowuje się jak osioł.

Onega stanęła w obronie Arthura — w czasach, gdy prawdziwa miłość wydaje się przeżytkiem, ktoś, kto po czterech

miesiącach znajomości chciał poślubić dziewczynę, na pewno nie jest człowiekiem z gruntu złym.

— Tak naprawdę nie byli jeszcze małżeństwem — mruknął Paul, otwierając drzwiczki samochodu przed stojącą obok Onegą.

Miss Morrison wróciła do siebie myśląc, że Arthur już się położył. Mimo to niepokoiła się, bo wyglądał dziś fatalnie. Słuch miała przytępiony, ale wzrok wciąż ostry i zauważyła, że Arthur był potwornie błądy. Zamknęła drzwi, postawiła pudełko arniki na stole w kuchni i przeszła do salonu. Pablo spokojnie spał w koszyczku. Wzięła go na ręce i wtuliła się w wygodny fotel przed telewizorem.

— Masz nocny dyżur? — zapytała Betty.

— Kończę o drugiej nad ranem — odparła Lauren.

— Jest poniedziałek, nie pada, do pełni księżyca jeszcze daleko — przekonasz się, że ta noc będzie wyjątkowo spokojna.

— Miejmy nadzieję — powiedziała Lauren, spinając włosy.

Betty chciała wykorzystać wolne chwile na porządkowanie szafek z lekami. Lauren zaproponowała jej pomoc, ale pager rozdzwonił się w kieszeni jej fartucha. Spojrzała na numer, który się wyświetlił — wzywano ją na drugie piętro.

Paul i Onega odprowadzili Mathilde, a potem wybrali się na nocną przechadzkę po Pier 39. To Onega wybrała miejsce, ku wielkiemu zdziwieniu Paula. Sklepiki dla turystów, pełne zgiełku restauracje, zbyt jaskrawe światła ciągnęły się wzdłuż ogromnego drewnianego moła nad oceanem. Z obmywanego

falami tarasu na krańcu tej esplanady można było za dwadzieścia pięć centów spojrzeć przez lunetę na więzienie Alcatraz, wznoszące się na wysepce pośrodku zatoki. Obok lunety umieszczono na balustradzie kilka mosiężnych tabliczek przypominających turystom, że prądy morskie i rekiny, które krążyły po zatoce, uniemożliwiały więźniom ucieczkę wpław, „z wyjątkiem Clinta Eastwooda”, jak zaznaczono w nawiasie.

Paul objął Onegę. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

— Dlaczego chciałaś tu przyjść? — zapytał.

— Lubię to miejsce. Emigranci z mojej ojczyzny często opowiadają o podróży statkiem do Nowego Jorku i szczęściu jakie ich ogarnęło, kiedy stłoczeni na pokładzie zobaczyli wreszcie wyłaniający się z mgły Manhattan. Ja dotarłam tu przez Azję samolotem. I najpierw, kiedy samolot przebił się przez warstwę chmur, zobaczyłam z wysoka więzienie Alcatraz. Uznałam, że to znak, który dało mi życie. Ci, którzy w Nowym Jorku ujrzeli wolność, często ją marnowali, ja musiałam ją zdobyć i utrzymać!

— Przyjechałaś z Rosji? — zapytał wzruszony Paul.

— Z Ukrainy, głuptasie! — powiedziała, zmysłowo wymawiając „r”. — Nigdy nie mów żadnemu z moich rodaków, że jest Rosjaninem! Za taką ignorancję należy ci się kara, nie powinnam na przykład całować się z tobą przez kilka najbliższych godzin — dodała już żartobliwym tonem.

— Ile miałaś lat, kiedy się tu przenieśliście? — zapytał zauroczony Paul.

Onega zbliżyła się do balustrady. Śmiała się do łez.

— Urodziłam się w Sausalito, głuptasie! Studiowałam w Berkeley i jestem prawnikiem w urzędzie miasta przy burmistrzu. Gdybyś zadawał więcej pytań, zamiast bez przerwy paplać, już byś to wiedział.

Paulowi zrobiło się głupio. Oparł się o balustradę i zapatrzył w dal. Onega przysunęła się i mocno przytuliła.

— Przepraszam, ale byłeś taki zabawny, że nie potrafiłam zrezygnować z tej małej gry. A poza tym skłamałam tylko

trochę, bo to wszystko prawda, ale o pokolenie wcześniej. Opowiedziałam ci o podróży mojej matki. Odwieszysz mnie? Jutro wcześniej zaczynam pracę — powiedziała i zamknęła mu usta, przywierając do nich wargami.

Telewizor był wyłączony. Miss Morrison zamierzała obejrzeć film, ale tego wieczoru jej myśli zaprzętało zupełnie co innego. Zdjęła Pabla z kolan i wzięła klucze Arthura.

Zastała go nieprzytomnego, leżącego tuż przy kanapie. Pochyliła się nad nim i poklepała po policzkach. Otworzył oczy. Spokojna twarz miss Morrison powinna była dodać mu otuchy, stało się jednak inaczej. Słyszał głos jak zza ściany i wcale jej nie widział. Próbował coś powiedzieć, ale na próżno — słowa nie chciały wydobyć się z gardła. Czuł suchość w ustach. Miss Morrison przyniosła szklankę wody i zwilżyła mu wargi.

— Leż spokojnie, zaraz wezwę pogotowie — powiedziała, gładząc go po głowie.

Poszła do salonu, szukając aparatu telefonicznego. Arthur zdołał uchwycić prawą ręką szklankę, ale lewa odmawiała mu posłuszeństwa. Zimna woda dostała się do gardła, dławiąc. Próbował się unieść, ale nie mógł poruszyć nogą. Starsza pani odwróciła się i zerknęła na niego — nie był już taki blady. Sięgnęła po słuchawkę, kiedy telefon się rozdzwonił.

— Robisz ze mnie idiotę! — wrzasnął Paul.

— A któż to tak uprzejmie mnie beszta, jeśli wolno zapytać? — usłyszał damski głos.

— Czy to mieszkanie Arthura?

Spokój nie trwał długo. Berty wpadła jak bomba do gabinetu, w którym drzemała Lauren.

— Pospiesz się, dyspozytor uprzedził mnie, że zaraz przyjedzie dziesięć karettek. Bójka w barze.

— Gabinety są wolne? — zapytała Lauren, podrywając się na równe nogi.

— Czeka jeden pacjent, nic poważnego.

— W takim razie zabierz go stamtąd i ściągnij pomoc, dziesięć karettek może przywieźć dwudziestu rannych.

Paul z daleka usłyszał syrenę i zerknął w lusterko wsteczne. Chwilami widział już migające światło zbliżającej się karetki. Dodał gazu, nerwowo bębniąc w kierownicę. Wreszcie zaparkował pod domem Arthura. Drzwi wejściowe były otwarte, więc pobiegł do schodów i po chwili zadyszany wpadł do mieszkania przyjaciela.

Arthur leżał obok kanapy, miss Morrison trzymała go za rękę.

— Napędził nam strachu — powiedziała do Paula — ale chyba czuje się już lepiej. Wezwałam pogotowie.

— Już jadą — szepnął Paul, podchodząc do Arthura. — Co z tobą? — zapytał, na próżno usiłując ukryć zaniepokojenie.

Arthur zwrócił ku niemu głowę i Paul od razu wiedział, że coś jest nie tak.

— Nie widzę cię — szepnął Arthur.



## 8

Ratownik sprawdził, czy nosze są dobrze zamocowane, i zapiął pas bezpieczeństwa. Puknął w szybę dzielącą go od kierowcy i ambulans ruszył w drogę. Miss Morrison z balkonu mieszkania Arthura spoglądała za karetką, która skręciła na skrzyżowaniu, a potem, przy wyciu syren, zniknęła w oddali. Kobieta zamknęła okno, zgasiła światła i wróciła do siebie. Paul obiecał, że do niej zadzwoni, kiedy tylko dowie się czegoś więcej. Staruszka usiadła w fotelu i w ciszy czekała na telefon.

Paul zajął miejsce obok ratownika, który mierzył Arthurowi ciśnienie. Przyjaciel skinął na niego, chcąc coś powiedzieć.

— Nie mogą zawieźć mnie do Memoriału — szepnął mu do ucha. — Byłem tam dzisiaj.

— To dodatkowy powód, żeby tam wrócić i urządzić awanturę. Jak mogli wypuścić cię w tym stanie! To poważny błąd lekarski.

Paul przerwał i podejrzliwie zerknął na Arthura.

— Widziałeś się z nią?

— To ona mnie badała.

— Nie wierzę!

Arthur odwrócił głowę. Milczał.

— Teraz rozumiem, dlaczego zasłabłeś, stary! Cierpisz na syndrom złamanego serca, ale to trwa już zbyt długo.

Paul otworzył okienko i zapytał kierowcę, do którego szpitala jadą.

— Do Misji San Pedro — odparł mężczyzna.

— Świetnie — mruknął Paul, zasuwając szybę.

— Wiesz, po południu spotkałem Carol-Ann — szepnął Arthur.

Paul spojrział na niego, ale tym razem współczująco.

— To nic, odpreż się, troszeczkę bredzisz i wydaje ci się, że na każdym rogu czeka na ciebie któraś z byłych dziewczyn. To minie.

Po dziesięciu minutach ambulans dotarł na miejsce. Kiedy ratownicy weszli do opustoszałego holu Misji San Pedro, Paul uświadomił sobie, jakie popełnił głupstwo, pozwalając im zabrać tu Arthura. Pielęgniarka Cybile odłożyła książkę i wyszła z pokoju rejestracji, żeby wskazać im drogę do gabinetu. Ułożyli Arthura na łóżku i odeszli.

Tymczasem Paul wypełniał przy okienku kwestionariusz dotyczący wypadku. Było już po północy, kiedy Cybile wróciła. Zawiadomiła lekarza dyżurnego i obiecywała, że wkrótce się tu pojawi. Doktor Brisson kończył obchód na piętrze. Leżący w gabinecie Arthur już nie cierpiał, bo łagodnie zapadał w bezkresny sen. Ból głowy wreszcie ustąpił, jakby za sprawą cudu. A wtedy Arthur z radością stwierdził, że znowu widzi...

*Rozarium było wspaniałe, olśniewało tysiącem barw kwiatów. Biała róża gatunku kardynał, większa od wszystkich, jakie dotąd widział, otworzyła się na jego oczach. Miss Morrison szła, podśpiewując. Delikatnie ścięła kwiat powyżej tworzącego się na gałązce zawiązku i zabrała go na werandę. Usadowiła się wygodnie na bujanej ławce, a Pabło zasnął u jej stóp. Wrywała płatek po płatku i z zadziwiającą delikatnością przyszywała je do tweedowej marynarki. Wpadła na wspaniały pomysł, by zastąpić nimi oderwaną kieszeń. Otworzyły się drzwi domu, matka zeszła po schodach. Na wiklinowej tacy niosła*

filiżanką kawy i ciasteczka dla psa. Pochyliła się nad zwierzakiem, by mu je dać.

— To dla ciebie, Kali — powiedziała.

Dlaczego miss Morrison nie powiedziała Liii prawdy? Przecież ten mały piesek wabi się Pablo, cóż to za pomysł, żeby nazywać go Kali!

Ale Liii powtarzała coraz głośniej: Kali, Kali, Kali, a miss Morrison kołysała się coraz mocniej, coraz wyżej i ze śmiechem mówiła: Kali, Kali, Kali. Obie kobiety zwróciły się do Arthura i władczym gestem, kładąc palec na ustach, nakazały mu milczenie. Arthur był wściekły. To nieoczekiwane przymierze ogromnie go irytowało. Poderwał się z miejsca — on i wiatr.

Burza nadciągała znad oceanu z niewiarygodną prędkością. Nabrzmiąte wodą chmury rozciągały się już nad Carmelem, a pierwszy szturm ciężkich strug skierowały na rozarium. Pod uderzeniami wody dziesiątki małych kraterów otwierały się w ziemi wokół nóg Arthura. Miss Morrison zostawiła jego marynarkę na ławce i weszła do domu, by schronić się przed ulewą. Pablo dreptał za nią z podwiniętym ogonem, ale już w progu gwałtownie zawrócił i zaczął ujadać, jakby chciał uprzedzić ludzi o niebezpieczeństwie. Arthur wolał matkę, krzyczał ile sił, aby jego głos wygrał z wiatrem, który wpychał mu słowa do gardła. Liii odwróciła się, spojrzała na syna, a jej twarz wyrażała wielki smutek. Potem zniknęła, pochłonął ją mrok przedsionka. Okiennica gabinetu z przeraźliwym zgrzytem chłostała fasadę. Pablo stanął na najwyższym stopniu ganku i rozpaczliwie wyl.

W dole widać było rozszalały ocean. Arthur pomyślał, że teraz nie da się dotrzeć do grotty u podnóża falezy. A przecież trudno o lepszą kryjówkę przed burzą. Patrzył w dal, w stronę zatoki, i wtedy ujrzał potężną, spienioną falę. Wstrząsnęty nim gwałtowne mdłości.

Pochylił się, gdy nadeszły torsje.

— Nie wiem, jak długo to wytrzymam — powiedział Paul, podsuwając mu miskę.

Pielegniarka Cybile trzymała Arthura za ramiona, żeby nie spadł z leżanki, tak silne miał drgawki.

— Czy ten cholerny konował w końcu tu przyjdzie, czy może mam po niego iść z kijem baseballowym? — wściekał się Paul.

Na najwyższym piętrze Misji San Pedro Hospital, w sali chorych, siedząc po ciemku na krześle, lekarz nazwiskiem Brisson prowadził przez telefon rozmowę ze swoją dziewczyną. Postanowiła od niego odejść i zadzwoniła, żeby podać mu listę problemów, które skazywały ich związek na klęskę, czyniąc rozstanie jedynym sensownym wyjściem z sytuacji. Młody lekarz, Brisson, nie chciał przyjąć do wiadomości, że jest egoistą i karierowiczem, a Vera Zlicker nie zamierzała się przyznawać, że jej były chłopak już czeka na dole w samochodzie, aż skończy pakowanie swoich rzeczy. Poza tym trudno prowadzić taką rozmowę, kiedy on siedzi w szpitalu, bo nawet ich zerwanie nie odbywa się w atmosferze intymności — dodała. Brisson przysunął komórkę do monitora, żeby Vera usłyszała słabe, regularne pikanie, oddające rytm pracy serca pacjenta. Dorzucił zjadliwie, że gość w tym stanie na pewno im nie przeszkodzi.

Zastanawiając się, czy koszulka, którą wzięła do ręki, należy do niej, Vera zamilkła na chwilę. Nigdy nie potrafiła koncentrować się na dwóch sprawach równocześnie. Brisson miał nadzieję, że zaczęła się wahać, ale wtedy Vera zapytała, czy prowadzenie tej rozmowy jest rozsądne, skoro tyle razy słyszała, że telefony komórkowe zakłócają pracę aparatury medycznej. Odburknął, że w tej chwili kompletnie mu to wisi, i zażądał od byłej już dziewczyny, żeby zechciała zaczekać przynajmniej

do rana, kiedy to on wróci po nocnym dyżurze. Poirytowany, Brisson wyłączył pager, który już po raz trzeci zaczynał piszczeć w jego kieszeni. W tym samym momencie Vera odłożyła słuchawkę.

Niewielkie naczynie krwionośne w tylnej części mózgu uległo uszkodzeniu, gdy Arthur zderzył się z szybą wystawową. Przez trzy pierwsze godziny po wypadku z naczynka wysączały się śladowe ilości krwi, ale wczesnym wieczorem krwawienie było dość silne, by wywołać pierwsze zaburzenia równowagi i widzenia. Tysiąc miligramów aspiryny, która przedostała się do organizmu drogą podjęzykową, w istotny sposób pogorszyło sytuację. Już po dziesięciu minutach cząsteczki kwasu acetylosalicylowego spowolniły proces krzepnięcia. Z uszkodzonego naczynia niczym z wezbranej rzeki, wylewała się krew. Kiedy Arthur był w drodze do szpitala, krwotok trwał dość długo, by zabrakło miejsca pod sklepieniem czaszki. Wtedy płyn zaczął uciskać opony mózgowie.

Pierwsza z trzech opon mózgowych, rozpoznając infekcję, zareagowała natychmiast we właściwy sobie sposób. O dwudziestej drugiej dziesiątej wywołała stan zapalny, będący próbą powstrzymania agresora. Ucisk na mózg, jaki powodował powiększający się krwiak, w ciągu kilku godzin mógł stać się na tyle silny, żeby doprowadzić do ustania funkcji życiowych. Arthur tracił przytomność. Paul wybiegł po pielęgniarkę, ale ta poprosiła go tylko, żeby zechciał usiąść w fotelu i czekać, ponieważ lekarz dyżurny zwraca szczególną uwagę na przestrzeganie regulaminu. Paul nie miał prawa wchodzić do tych pomieszczeń.

Brisson z wściekłością wcisnął guzik parteru.

Niedaleko, w holu izby przyjęć innego szpitala, rozsunęły się drzwi windy. Lauren podeszła do recepcji i wzięła od Betty kolejną kartę pacjenta.

Ugodzony nożem czterdziestopięcioletni mężczyzna trafił do szpitala z głęboką raną brzucha. Tuż po przyjęciu na oddział saturacja spadła poniżej poziomu krytycznego, co oznaczało silny krwotok. Zagrażało też migotanie komór, więc Lauren podjęła decyzję o natychmiastowym przeprowadzeniu zabiegu chirurgicznego. Wykonała spore cięcie, by zacisnąć obficie krwawiącą żyłę. Okazało się jednak, że nóż dokonał innych szkód. Kiedy ciśnienie krwi pacjenta nieco się podniosło, ujawniły się liczne drobniejsze rany. Lauren musiała zanurzyć dłoń w trzewiach mężczyzny. Kciukiem i palcem wskazującym chwyciła jelito cienkie, żeby zahamować poważniejsze krwawienia. Dzięki zręcznemu działaniu lekarki ciśnienie zaczęło wzrastać. Betty mogła odłożyć defibrylator, który trzymała w rękach, i wyregulować kroplówkę. Lauren stała w niewygodnej pozycji, ale nie mogła się poruszyć, ponieważ ucisk na naczynia miał podstawowe znaczenie.

Kiedy po pięciu minutach pojawiła się ekipa z chirurgii, Lauren musiała jeszcze iść z nimi na blok operacyjny, wciąż trzymając rękę w brzuchu pacjenta.

Po kolejnych dwudziestu minutach chirurg powiedział, że może już cofnąć rękę. Pozostało tylko dokończyć zabieg, powstrzymano krwotok. Masując zdrętwiałą dłoń, Lauren wracała do izby przyjęć, gdzie ciągle jeszcze tłoczyli się ranni.

Brisson wszedł do gabinetu. Przejrzał kartę i ocenił, że stan Arthura jest stabilny. A zatem tylko jego senność mogła wzbudzać niepokój. Nie zważając na przestrogi pielęgniarki, Paul zawołał lekarza, gdy tylko ten wyszedł z gabinetu.

Lekarz dyżurny poprosił, by zaczekał w miejscu przeznaczonym dla osób z zewnątrz, a Paul odpowiedział, że w tym

opustoszałym szpitalu ściany nie doznają uszczerbku, jeśli ktoś przekroczy żółtą linię na wytartym i niezbyt czystym linoleum. Brisson wyprężył pierś i dał mu do zrozumienia, że jeśli ta rozmowa w ogóle ma się odbyć, to tylko za wspomnianą już linią. Wahając się, czy udusić go już teraz, czy może najpierw wysłuchać diagnozy, Paul cofnął się o kilka kroków. Usatysfakcjonowany doktorek oświadczył, że na razie nie może wysnuwać żadnych wniosków. Wyśle Arthura na prześwietlenie, kiedy tylko będzie to możliwe. Paul wspomniał o tomografii, ale szpital nie posiadał odpowiedniej aparatury. Brisson uspokajał go, jak mógł — jeśli zdjęcia wykażą najmniejsze nieprawidłowości, jutro Arthur zostanie przewieziony do centrum radiologii.

Paul zapytał, dlaczego nie można zrobić tego już teraz, ale lekarz zdecydowanie się temu sprzeciwił. Odkąd Arthur przekroczył progi Misji San Pedro, całkowitą odpowiedzialność za niego ponosił on, Brisson. Słyszając to, Paul zaczął gorączkowo zastanawiać się, gdzie ukryje zwłoki konowała, którego lada chwila udusi.

Brisson odwrócił się i poszedł na górę po — jak powiedział — przenośny aparat radiologiczny. Kiedy zniknął, Paul wszedł do gabinetu i potrząsnął Arthurem.

— Nie śpij, nie wolno ci się poddać, słyszysz mnie?

Arthur uniósł powieki. Oczy miał szkliste i po omacku szukał ręki przyjaciela.

— Paul, pamiętasz ten dzień, który zakończył nasze szczęśliwe lata?

— Pewnie, że pamiętam, przecież to się stało przed chwilą!... Ale chyba już ci lepiej, więc postaraj się odpocząć.

— Kiedy wróciliśmy z internatu, wszystko było już inaczej. Powiedziałeś: „Pewnego dnia człowiek nie czuje się już u siebie tam, gdzie dorastał”. Ja chciałem się cofnąć, ale ty nie.

— Oszczędzaj siły, później będziemy mieli dużo czasu na takie pogawędki.

Paul spojrział na Arthura, sięgnął po ręcznik, zwilżył go nad

umywalką i położył na czole przyjaciela. Miał wrażenie, że to przyniosło mu ulgę.

— Rozmawiałem z nią dzisiaj. Przez cały ten czas coś mi mówiło, że być może żyję złudzeniami. Że uczyniłem z niej bezpieczny port, że to sposób dodania sobie pewności, bo kiedy chce się osiągnąć nieosiągalne, nie podejmuje się właściwie ryzyka.

— Sam ci to powiedziałem w ostatni weekend, idioto. A teraz zapomnij już o moich filozoficznych bredniach, po prostu byłem wściekły.

— Co cię tak rozjuszyło?

— To, że nie potrafimy już razem cieszyć się szczęściem. Dla mnie to oznaka starzenia się.

— Fajnie jest się starzeć razem, to niesamowite szczęście. Zdradzę ci pewien sekret. Kiedy patrzę na starych ludzi, zazdroszczę im.

— Starości?

— Nie. Tego, że ją osiągnęli, że dożyli tego czasu!

Paul spojrzął na ciśnieniomierz. Ciśnienie krwi znów spadło. Zacisnął pięści, przekonany, że trzeba coś zrobić. Ten konował zabije człowieka, który był w jego życiu najcenniejszy, przyjaciela, który znaczył dla niego tyle, ile znaczy cała rodzina.

— Nawet gdybym z tego nie wyszedł, nie mów o niczym Lauren.

— Jeżeli zamierzasz opowiadać takie bzdury, to lepiej się nie wysilaj.

Arthur znów stracił przytomność. Głowa opadła mu na bok. Była pierwsza pięćdziesiąt dwie, a sekundnik zegara ściennego pośpiesznie tykał. Paul wstał i zmusił Arthura, żeby otworzył oczy.

— Długo jeszcze będziesz się starzał, ty smętny idioto, a kiedy pokręci cię reumatyzm i nie starczy ci sił nawet na to, żeby podnieść laskę i mi nią dołożyć, powiem, że męczysz się tak przeze mnie, bo w najczarniejszą noc mojego życia mog-



łem ci tego wszystkiego oszczędzić. Ale przecież to ty zacząłeś.

— A co ja zacząłem? — wyszeptał Arthur.

— Zacząłeś bawić się inaczej niż ja, śmiać z czego innego, być szczęśliwy w sposób, którego nie potrafię pojąć, no i zmuszać mnie, żebym także się starzał.

Brisson wszedł do gabinetu wraz z pielęgniarką, która pchała przenośny aparat rentgenowski.

— Proszę natychmiast wyjść! — wrzasnął z wściekłością, widząc Paula.

Paul zmierzył go ostrym spojrzeniem, rzucił okiem na aparat, który Cybile ustawiała przy łóżku, i zwrócił się do niej spokojnym, pewnym głosem.

— Ile to może ważyć?

— O wiele za dużo jak na mój nieszczęsny kręgosłup.

Paul odwrócił się gwałtownie i chwycił Brissona za kołnierz fartucha. Wyłuszczył mu w dość ostrych słowach, jakie kary za łamanie regulaminu w Misji San Pedro Hospital spadną na niego, gdy tylko go puści.

— Czy dotarło do pana, co powiedziałem? — dodał ku radości siostry Cybile.

Oswobodzony Brisson zaczął ostentacyjnie kasłać, jakby się dławził, ale przestał natychmiast, widząc zmarszczone brwi Paula.

— Nie widzę tu niczego niepokojącego — powiedział po dziesięciu minutach oglądania zdjęć zawieszonych na negatoskopie.

— Ale czy lekarz z prawdziwego zdarzenia też by niczego takiego nie zobaczył? — zapytał Paul.

— To może poczekać do jutra — odparł Brisson, hamując złość. — Pański przyjaciel jest po prostu oszołomiony.

Brisson polecił pielęgniarce odprowadzić wózek z aparatem do gabinetu radiologicznego, ale Paul ją zatrzymał.

— Być może szpital nie jest ostoją kurtuazji, ale spróbujemy dać drobny dowód dobrego wychowania! — spojrzął wymownie na Brissona.

Ten poddał się z nieskrywanym gniewem i przejął aparat od Cybile. Gdy zniknął w windzie, pielęgniarka puknęła w szybkę rejestracji i skinęła na Paula.

— Grozi mu niebezpieczeństwo, prawda? — zapytał coraz bardziej przerażony Paul.

— Jestem tylko pielęgniarką, czy moja opinia naprawdę coś tu znaczy?

— Więcej niż zdanie niektórych konowatów — zapewnił ją Paul.

— W takim razie niech pan uważnie słucha — szepnęła Cybile. — Nie mogę stracić pracy, więc jeśli zechce pan wytoczyć proces temu durniowi, nie zgodzę się zeznawać. Lekarze trzymają ze sobą jeszcze bardziej niż gliniarze, ci, którzy przyznają się do wpadki, mogą wybić sobie z głowy dalszą pracę w zawodzie. Żaden szpital nie zechce ich już zatrudnić. Tu jest miejsce tylko dla tych, którzy ochraniają się wzajemnie w razie problemów. Ale białe fartuchy zapominają, że u nas każdy problem to istota ludzka. Radzę panu zabrać kolegę i zniknąć stąd, zanim Brisson zdąży go uśmiercić.

— Tylko nie bardzo wiem, jak i dokąd mamy iść?

— Niech pan mi uwierzy, że liczy się wyłącznie skutek. Radzę zdać się na mój instynkt. W przypadku tego pacjenta najważniejszy jest czas.

Paul krążył po korytarzu, zły na siebie. Kiedy tylko tu weszli, zrozumiał, że źle się stało. Próbował się uspokoić, strach mącił mu w głowie, nie pozwalając znaleźć rozwiązania.

— Lauren?

Paul podbiegł do łóżka Arthura, który jęczał. Miał szeroko otwarte oczy, ale zdawał się patrzeć na jakiś inny świat.

— Przykro mi, to tylko ja — szepnął Paul, biorąc go za rękę. Arthurowi rwał się głos.

— Przysięgnij... na moją głowę... że nigdy nie powiesz jej prawdy.

— W tej chwili wolę jednak ręczyć własnym łbem — mruknął Paul.

— Jak wolisz, bylebyś dotrzymał słowa!

To były ostatnie słowa Arthura. Krew zalewała teraz całą tylną część jego mózgu. Aby chronić niezaatakowane dotąd ośrodki życiowe, fantastyczna machina postanowiła odłączyć wszystkie peryferyjne terminale. Ośrodki wzroku, mowy, słuchu, a także ośrodki ruchu przestały funkcjonować. Zegar w gabinecie wskazywał drugą dwadzieścia. Arthur zapadł w śpiączkę.

## 9

Paul krążył po korytarzu. Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, ale Cybile natychmiast przypomniała mu, że nie wolno go używać wewnątrz budynku.

— A pracę jakiej aparatury, nie licząc tego dystrybutora napojów, mógłby zakłócić? — krzyknął.

Cybile potwierdziła zakaz, kręcąc głową, i wskazała mu parking.

— Artykuł drugi nowego regulaminu wewnętrznego — podjął kolejną próbę Paul. — Wolno telefonować z holu!

— Takie sztuczki są dobre dla Brissona. Mnie pański regulamin nic nie obchodzi, więc proszę wyjść na zewnątrz. Gdyby pojawił się tu ktoś z ochrony, wyleciałabym z pracy.

Paul zaklął, ale wyszedł. Przez kilka minut krążył po parkingu karetek, przeglądając spis telefonów w swoim aparacie.

— Cholera! Przecież to siła wyższa!

Wcisnął guzik i połączył się z wybranym numerem.

— Memoriał Hospital, w czym mogę pomóc? — usłyszał głos telefonistki.

Poprosił o połączenie z izbą przyjęć. Czekał kilka minut. W końcu telefon odebrała Betty. Karetka pogotowia, tłumaczył, przywozła dziś przed wieczorem młodego mężczyznę, którego potrafiła przy Union Square przyczepa motocyklowa.

Berty zapytała, czy jest członkiem rodziny rannego, a on odparł bez wahania, że jest jego bratem, i właściwie było to tylko lekkie przekłamanie. Pielęgniarka doskonale pamiętała ten przypadek. Pacjent opuścił szpital około dwudziestej pierwszej. Czuł się dobrze.

— Niezupełnie — westchnął Paul — czy może mnie pani połączyć z lekarzem, który go badał? O ile mi wiadomo, to była kobieta. Sprawa jest pilna — dodał.

Berty domyślała się, że pojawił się jakiś problem, a raczej — że szpital może mieć problem. Dziesięć procent pacjentów, którzy trafiali na ostry dyżur na izbie przyjęć, wracało w ciągu doby z powodu błędnej diagnozy lub przeoczeń. Gdyby proces sądowy kosztował więcej, niż można zaoszczędzić, ograniczając obsadę na dyżurach, kierownictwo szpitala zrozumiałoby wreszcie, że żądania lekarzy i pielęgniarek są słuszne. Tymczasem jednak zajęła się wyszukaniem karty Arthura.

Betty nie dostrzegła w protokole badania żadnych uchybień. Uspokojona tym faktem puknęła w szybę, bo Lauren właśnie przechodziła korytarzem. Skinęła na lekarzkę, unosząc słuchawkę telefonu.

— Jeżeli to moja matka, powiedz, że nie mam czasu. Powinam wyjść pół godziny temu, a mam jeszcze dwóch pacjentów.

— Gdyby matka zatelefonowała do ciebie o wpół do trzeciej w nocy, to połączyłabym ją nawet z blokiem operacyjnym. Odbierz, to chyba ważne.

Zaintrygowana Lauren wzięła od niej słuchawkę.

— Badała pani dziś wieczorem mężczyznę, którego potrąciła przyczepa, pamięta pani? — zapytał głos.

— Tak, doskonale pamiętam — odparła Lauren. — Jest pan z policji?

— Nie, jestem jego najlepszym przyjacielem. Pani pacjent zasnął po powrocie do domu. Jest nieprzytomny.

Lauren poczuła, że serce bije jej szybciej.

— Proszę natychmiast wezwać pogotowie i przywieźć go do nas. Będę czekała.

— Już jest w Misji San Pedro, ale mam zastrzeżenia do tego szpitala.

— Skoro pański przyjaciel trafił do innego szpitala, nie mogę mu pomóc — odparła Lauren. — Moi koledzy na pewno dobrze się nim zajmą. Jeżeli pan sobie życzy, mogę z nimi pomówić, ale nie mam nic szczególnego do powiedzenia, bo poza lekkim częstoskurczem wszystko było w porządku, kiedy od nas wychodził.

Paul opisał warunki, w jakich znalazł się Arthur. Dyżurny lekarz twierdził, że można spokojnie poczekać do rana, ale Paul był zupełnie innego zdania, bo tylko osioł nie zauważyłby, że pacjent jest w fatalnym stanie.

— Trudno mi podważać opinię innego lekarza, skoro nie widziałam nawet wyników badań. Co wynika z tomografii?

— W tym szpitalu nie ma tomografu! — jęknął Paul.

— Jak nazywa się lekarz dyżurny? — zapytała Lauren.

— To niejaki doktor Brisson — odpowiedział Paul.

— Patrick Brisson?

— Na plakietce zauważyłem „Pat”, więc pewnie tak. Zna go pani?

— Byłam z nim na czwartym roku studiów. To faktycznie osioł.

— Co mam zrobić? — pytał błagalnie Paul.

— Nie mam prawa ingerować w pracę innego lekarza, ale mogę spróbować z nim pomówić. Gdyby Brisson się zgodził, załatwilibyśmy przeniesienie i natychmiast wykonalibyśmy tomografię. U nas aparat działa przez całą dobę. Dlaczego od razu tu nie przyjechaliście?

— To długa historia, a czas nagli.

Paul zauważył, że Brisson wszedł do pokoju Cybiłe. Poprosił Lauren, żeby się nie rozłączała, i przebiegł przez hol. Zadyszany dopadł do Brissona i przytknął mu komórkę do ucha.

— Do pana — powiedział.

Lekarz spojrział na niego ze zdziwieniem, ale wziął aparat. Wymiana zdań między dwójką lekarzy była krótka. Brisson

wysłuchał Lauren i podziękował za pomoc, o którą nie prosił. Stan pacjenta określił jako stabilny, ale nie mógł tego powiedzieć o towarzyszącym mu mężczyźnie, który niepokoił ją bez potrzeby. Najwyraźniej ma skłonność do hysterii. Żeby się go pozbyć, Brisson miał już nawet wezwać policję.

Ale skoro uspokoił już obawy Lauren, pożegnał ją. Cieszył się, że po latach mieli okazję porozmawiać, i wyraził nadzieję, że się spotkają, może wyskoczą na kawę albo lepiej — wybiorą się na kolację. Rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

— I co? — zapytał Paul, drepcząc po żółtej linii.

— Oddam panu telefon, jeśli pan stąd wyjdzie! — oświadczył wyniośle Brisson. — Używanie komórek w budynku szpitala jest zabronione. Cybile na pewno pana o tym poinformowała.

Paul stanął przed lekarzem, tarasując mu drogę.

— No dobrze, oddam go panu teraz, ale proszę obiecać, że będzie pan dzwonił tylko z parkingu, zgoda? — podjął bardziej ugodowo.

— Co powiedziała ta lekarka? — zapytał Paul, wrywając mu telefon z ręki.

— Że darzy mnie zaufaniem, ale najwyraźniej nie wszyscy są tu jej zdania.

Brisson wskazał palcem napis informujący, że do tej części szpitala wstęp ma wyłącznie personel medyczny.

— Jeżeli jeszcze raz przekroczy pan tę linię choćby o dziesięć centymetrów, Cybile wezwie policję, a ja każę pana wyrzucić. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

Brisson odwrócił się i odszedł. Dyżurna pielęgniarka, siostra Cybile, wzruszyła ramionami.

Lauren skierowała wreszcie na oddział ostatniego rannego w bójce w barze.

Pielęgniarka stażystka poprosiła ją o zbadanie jej pacjenta.

Wystarczy spojrzeć na rozkład dyżurów, irytowała się Lauren, żeby stwierdzić, że ona pracuje tylko do drugiej. Dochodzi trzecia, więc osobą, do której należy się zwracać, z pewnością nie jest już ona. Emily Smith spojrzała na Lauren w osłupieniu.

— Dobrze, zgoda, w którym pokoju jest ten pacjent? — zapytała, niechętnie idąc za dziewczyną.

Mały chłopczyk miał wysoką gorączkę i uskarżał się na ból ucha. Lauren zbadała go i stwierdziła ostre zapalenie ucha środkowego. Wypisała receptę i poprosiła Betty, aby pomogła stażystce w wykonywaniu koniecznych zabiegów. Kompletnie wyczerpana wyszła wreszcie ze szpitala, nie tracąc czasu nawet na zrzucenie fartucha.

Przechodząc przez opustoszały parking, marzyła o kąpieli, mięciutkiej kołdrze i wielkiej poduszce. Spojrzała na zegarek — następny dyżur miała już za szesnaście godzin, a żeby wytrwać do końca tygodnia, potrzebowałaby podwójnej dawki snu.

Wsiadła do samochodu i zapięła pasy. Wjechała w Potrero Avenue, a potem skręciła w Dwudziestą Trzecią Ulicę.

Lauren lubiła jeździć po San Francisco nocą, kiedy spokojne miasto zdawało się należeć do niej. Asfalt przesuwiał się pod kołami kabrioletu. Włączyła radio i wrzuciła trzeci bieg. Od czasu do czasu z przyjemnością zerkała na cudowne letnie niebo, usiane gwiazdami.

Służby miejskie naprawiały kanalizację na skrzyżowaniu McAllister Street i ruch był tu zamknięty. Szef ekipy pochylił się do drzwiczek triumpha — jego ekipa za kilka minut zakończy pracę. Ulica była jednokierunkowa, Lauren zamierzała wycofać wóz, ale obecność policji, która strzegła rejonu remontu, nakłoniła ją do rezygnacji z tego zamiaru.

W lusterku wstecznym widziała budynek Misji San Pedro Hospital, dzieliło ją od niego kilkaset metrów.

Kierowca opuścił plandekę i wsiadł do kabiny ciężarówki. Na boku wozu widniała reklama nakłaniająca do ostrożności: „Wystarczy chwila nieuwagi...”.



Policjant skinął na Lauren, pozwalając jej wreszcie przejechać. Prześliznęła się pomiędzy maszynami, które usuwano z jezdni i ustawiano na chodniku, ale na skrzyżowaniu postanowiła nagle zawrócić — nie przypomiwała sobie, żeby któryś z kolegów z uczelni był równie nadętym głupkiem jak Brisson.

Wsparłszy czoło o okno, z którego widać było wyludniony parking, Paul myślał. Szpitalny ambulans podjechał cicho na miejsce przeznaczone dla wozów ratownictwa. Kierowca wysiadł, zamknął drzwi i wszedł do holu. Przywitał się z dyżurną pielęgniarką i odwiesił kluczyki na tablicy w dyżurce. Cybile podała mu klucz do jednego z gabinetów, a on podziękował i poszedł się przespać na wolnym łóżku.

Przez oszkloną ścianę Paul wpatrywał się w ambulans. Tuż obok niego zaparkował zielony triumph.

Natychmiast rozpoznał młodą kobietę, która pewnym krokiem szła do drzwi izby przyjęć. W połowie drogi zawróciła, zdjęła fartuch, zwinęła go i wrzuciła do bagażnika. Po chwili była już w holu. Paul stanął przed nią.

— Pani doktor Kline, jak się domyślam?

— Czy to pan do mnie dzwonił?

— Tak, skąd pani wie?

— W holu nie ma nikogo oprócz pana. A skąd pan wiedział, kim jestem?

Skrepowany Paul wpatrywał się w noski pantofli.

— Od dwóch godzin modłę się do wszystkich świętych, żeby ktoś przyszedł mi z pomocą, a pani jest pierwszą iskierką nadziei, jaką dostrzegłem... a poza tym widziałem, jak pani zdejmowała fartuch.

— Brisson wciąż się tu kręci? — zapytała Lauren.

— Jest w pobliżu, gdzieś na górze.

— A pański przyjaciel?

Paul wskazał gabinet za dyżurką pielęgniarki.

— Chodźmy do niego! — powiedziała Lauren, ciągnąc go za sobą.

Ale Paul się wahał — miał sprzeczkę z Brissonem, konował zabronił mu przekraczać żółtą linię w korytarzu i zagroził, że wezwie policję, żeby usunąć go ze szpitala. Trudno było powiedzieć, czy w razie naruszenia tego zakazu Cybile spełni polecenie szefa. Lauren westchnęła — metody głupiego kaprała doskonale pasowały do osobnika, którego poznała na czwartym roku studiów. Poprosiła Paula, żeby nie komplikował i tak trudnej sytuacji. Lekarka pójdzie sama, poda się za narzeczoną pacjenta.

— Na pewno mnie wpuszczą — uspokajała.

— Tylko proszę mówić o nim po imieniu, bo słowo „pacjent” wzbudzi podejrzenie.

Paul obawiał się, że Brisson rozszyfruje ich spisek.

— Nie widzieliśmy się od lat, a biorąc pod uwagę, że ten bufon jest bez reszty zapatrzony w siebie, nie sądzę, żeby rozpoznał twarz własnej matki.

Lauren podeszła do dyżurki Cybile. Pielęgniarka odłożyła książkę i wyszła z pomieszczenia. Dalej wstęp miał tylko personel szpitala, ale w ciągu dwudziestu lat pracy kobieta wyrobiła sobie niezawodny „węch” — nieważne, czy kobieta, którą prowadzi do gabinetu, jest narzeczoną pacjenta, bo przede wszystkim i z całą pewnością jest lekarzem. Brisson nie będzie mógł czynić jej wymówek.

Lauren weszła do pomieszczenia, w którym leżał Arthur. Przez chwilę obserwowała ruch jego klatki piersiowej. Od-dychał wolno i regularnie, zabarwienie jego skóry było normalne. Niby to chcąc tylko potrzymać narzeczonego za rękę, zmierzyła mu tętno. Serce nie biło tak mocno jak podczas poprzedniego badania, jednak puls przyspieszał pod jej palcami. Jeżeli zdoła go stąd wyciągnąć, zrobi mu elektrokardiogram, choćby miała go do tego zmusić.

Podeszła do podświetlonej tablicy, na której wisały zdjęcia czaszki. Zapytała Cybile, czy to „zdjęcie mózgu” Arthura.

Cybile spojrzała na nią z pobłażliwym uśmiechem.

— Zostawię panią samą z „narzeczonym”, chyba potrzebujecie odrobiny intymności.

Lauren serdecznie jej podziękowała.

Pielęgniarka przystanąła na chwilę w progu, odwróciła się i jeszcze raz spojrzała na Lauren.

— Może pani dokładnie obejrzeć te klisze, pani doktor, prosiłabym tylko zrobić to przed powrotem Brissona. Nie chcę mieć kłopotów. A skoro wszystko już jest jasne, to dodam, że mam nadzieję, że lepsza z pani lekarka niż aktorka.

Lauren słyszała jej coraz cichsze kroki w korytarzu. Podeszła do ekranu, żeby obejrzeć zdjęcia. Brisson był głupszy, niż sądziła. Dobry lekarz przynajmniej podejrzewałby wylew krwi do mózgu. Mężczyzna, który tu leżał, powinien jak najszybciej trafić na stół operacyjny, a Lauren obawiała się, czy już teraz jego mózg nie ucierpi z powodu straconego czasu. Żeby potwierdzić diagnozę, należało natychmiast wykonać tomografię.

Brisson wszedł do pokoju Cybile, trzymając ręce w kieszeniach.

— Ten ciągle jeszcze tu? — zdziwił się, wskazując palcem Paula, który siedział na krześle w głębi holu.

— Tak, panie doktorze. A jego przyjaciel nadal leży w boksie.

— Obudził się?

— Nie, ale oddycha regularnie i jego stan jest stabilny, przed chwilą do niego zaglądałam.

— Myśli pani, że istnieje ryzyko krwaka śródczaszkowego? — zapytał niepewnym głosem Brisson.

Cybile przerzuciła papiery, żeby uniknąć spojrzenia lekarza, bojej wiara w ludzi w zetknięciu z nim narażona była na zbyt ciężką próbę.

— Jestem przecież tylko pielęgniarką. Ciągle mi pan o tym przypomina, doktorze.

Brisson natychmiast zmienił ton — teraz był znowu pewnym siebie szefem.

— Proszę nie lekceważyć swej pracy, siostrzo! Mogę kazać panią stąd przenieść, kiedy tylko zechcę! Ten facet jest po prostu zamroczony, dojdzie do siebie. Rano na wszelki wypadek zrobimy tomografię. Proszę przygotować zlecenie na przewóz i poszukać wolnego tomografu w pobliskich klinikach lub w centrum obrazowania. I niech pani zaznaczy, że doktor Brisson życzy sobie, żeby badanie przeprowadzono już rano.

— Nie omieszkam — odburknęła Cybile.

Już w korytarzu usłyszał, jak pielęgniarka woła, że zezwoliła partnerce pacjenta na odwiedzinę w gabinecie.

— Jest tu jego żona? — zapytał Brisson, odwracając się.

— Jego dziewczyna!

— Niech pani tak nie wrzeszczy, przecież to szpital!

— Ale nie ma tu nikogo oprócz nas, doktorze — rzuciła. — Na całe szczęście — dodała ciszej, kiedy Brisson się oddalił.

Pielęgniarka wróciła do rejestracji. Paul spojrzał na nią, a ona wzruszyła ramionami. Usłyszał, jak drzwi gabinetu się zamykają, i po krótkim namyśle wstał, żeby szybko przekroczyć groźną żółtą linię.

Brisson przedstawił się kobiecie siedzącej przy narzeczonym, ale kiedy się odwróciła, powiedział:

— Dzień dobry, Lauren. Kawał czasu!

— Wcale się nie zmieniłeś — odpowiedziała.

— Ty też nie.

— W co ty grasz z tym pacjentem?

— A co cię to obchodzi? Mało ci klientów w Memoriału?

— Jestem tutaj, ponieważ ten mężczyzna wieczorem był moim pacjentem i wiem, że dla ciebie to dziwactwo, ale niektórzy z nas wykonują ten zawód, bo go kochają.

— Powiedz wprost, że boją się kłopotów, bo może niewłaściwie ocenili stan rannego i zezwolili mu na opuszczenie szpitala.

Lauren odpowiedziała nieco podniesionym tonem, i jej głos słychać było teraz w korytarzu.

— Mylisz się, ale to chyba nie będzie najpoważniejszy błąd,

jaki popełnisz tej nocy. Przyjechałam, bo przyjaciel tego mężczyzny wezwał mnie na pomoc, i już z rozmowy telefonicznej jasno wynikało, że nie potrafiłeś postawić trafnej diagnozy.

— Chyba chcesz mnie o coś poprosić, skoro jesteś tak uprzejma?

— Nie zamierzam cię o nic prosić, mogę ci za to coś poradzić! Zadzwoń do Memoriału i poproszę, żeby przysłali karetkę. Przewieziemy tam chorego, który prawdopodobnie musi jak najszybciej trafić na stół operacyjny. Pozwolisz mi na tę ingerencję, a ja w zamian pozwolę, żebyś dokonał zmian w karcie pacjenta. Sam zlecisz przewiezienie go i twój szef pogratuluje ci rozważnej decyzji. Tylko pomyśl: ocalenie pacjenta z pewnością nie zaszkodzi twojej karierze.

Brisson przyjął ten cios. Podeszedł do Lauren i zabrał jej klisze rentgenowskie.

— Tak właśnie bym postąpił, gdybym uważał, że stan pacjenta uzasadnia mnożenie kosztów. Ale jest inaczej. Facet ocknie się jutro rano z paskudnym bólem głowy. A tymczasem pozwalam ci opuścić mój szpital. Wracaj do swojego.

— Nie nazywaj tego ambulatorium szpitalem! — Lauren wydeła usta.

Wyrwała Brissonowi z ręki jedną z klisz i umocowała ją na podświetlanym ekranie. Było to zdjęcie wykonane en face, wyraźnie ukazujące zwapniała szyszynkę. Mały gruczoł powinien znajdować się dokładnie na linii, która rozdziela półkule mózgowie, tu jednak był przesunięty. To zaś wskazywało na istnienie ucisku w tylnej części czaszki.

— Nie rozumiesz, co może oznaczać taka anomalia! — krzyknęła.

— To tylko cień na kliszy, przenośny aparat jest kiepskiej jakości! — odparł Brisson tonem smarkacza, którego przyłapano na wyjadaniu cukierków.

— Szyszynka jest przesunięta w stosunku do linii środkowej, a można to wyjaśnić tylko powstaniem krwiaka okolicy cie-

mieniowo-skroniowej. Swoim uporem zabijesz tego chłopaka, ale przysięgam, że tego pożałujesz.

Brisson nadał się jak paw i zbliżył do Lauren, zmuszając ją, żeby cofnęła się w stronę drzwi.

— Najpierw musiałybyś uzasadnić swoją obecność w tym miejscu i w gabinecie, gdzie nie masz nic do powiedzenia. Za pięć minut zadzwonię na policję. Każę cię stąd usunąć, chyba że wolisz wybrać się ze mną na kawę? To wyjątkowo spokojna noc, mogę na chwilę wyjść.

Lauren rzuciła koledze spojrzenie pełne wzdąry, usta drżały jej z gniewu. Oparty o ścianę, lekceważąco kładąc jej rękę na ramieniu, Brisson pochylił nad nią twarz. Odepchnęła go brutalnie.

— Już na uczelni cuchnęło do ciebie zawiścią i zachłannością. Najbardziej ze wszystkich zawiodłeś samego siebie i postanowiłeś mścić się za to na innych. Jeżeli się nie opamiętasz, ten człowiek przy dużym szczęściu opuści szpital na wózku inwalidzkim.

Brisson brutalnie pchnął ją w stronę drzwi.

— Wynoś się stąd, zanim każę cię aresztować. Spadaj i przekaz moje pozdrowienia Femsteinowi. Powiedz mu, że wbrew jego przewidywaniom i niesprawiedliwym ocenom doskonale sobie radzę. A co do niego — dodał, wskazując na Arthura — zostaje tutaj, to mój pacjent!

Żyły Brissona nabrzmiały — był wściekły. Lauren zdołała się opanować. Gestem wyrażającym współczucie oparła dłoń na ramieniu lekarza.

— Niechaj Bóg ma w opiece twoje otoczenie, Patricku. Błagam cię, jeżeli tli się w tobie choć odrobina człowieczeństwa, nigdy się nie żęń!

Nagle do gabinetu wpadł Paul. Jego oczy pały. Brisson aż podskoczył.

— Czy słuch mnie nie myli? Powiedziała pani, że Arthur może zostać sparaliżowany?!

I gdy patrzył na Brissona, ogarnięty nieodpartą chęcią udu-

szenia go, w drzwiach stanęła siostra Cybile. Przepraszała lekarza, zrobiła, co w jej mocy, żeby powstrzymać intruza, ale nie miała dość siły, by mu przeszkodzić w wejściu do gabinetu.

— Tym razem oboje posunęliście się stanowczo za daleko. Cybile, proszę natychmiast wezwać policję! Wnoszę skargę.

Brisson triumfował. Pielęgniarka podeszła nieco bliżej, wyciągnęła z kieszeni rękę i podała coś Lauren. Lekarka natychmiast rozpoznała ten przedmiot i zrozumiała intencje siostry Cybile. Podziękowała porozumiewawczym zmrużeniem oka i bez chwili wahania wbiła igłę w szyję Brissona.

Konował spojrzął na nią zdumiony, cofnął się, próbował wyciągnąć strzykawkę z szyi, ale było za późno, bo podłoga już usuwała mu się spod stóp. Lauren cofnęła się o krok, żeby go podtrzymać i złagodzić upadek.

— Valium i hypnovel! Odbędzie bardzo długą podróż — oświadczyła Cybile, uśmiechając się skromnie.

Przy pomocy Paula Lauren ułożyła Brissona na podłodze.

*Teraz pod sufitem wisiła nie lampa, ale mały samolot uczepiony karuzeli. Dlaczego ojciec nie pozwalał mu wsiąść do kabiny? A w małej budce pan, który uruchamiał karuzelę, uderzył już w dzwonek, ogłaszając, że zaraz zacznie się kolejne okrążenie. Wszystkie dzieci się bawią, a on musi zostać na miejscu i bawić się piaskiem. Bo góra piasku nic nie kosztuje, a jedna kolejka na karuzeli to cały majątek, aż trzydzieści centów. Ciekawe, ile trzeba zapłacić, żeby dotrzeć do gwiazd?*

Lauren wsunęła Brissonowi pod głowę zwinięty koc, który podała jej Cybile.

*Ładna jest ta kobieta, która stoi przede mną. Ma koński ogon, zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Ledwie na mnie patrzy. Przecież to nie zbrodnia, że jej pragnę. Chciałbym, żeby wsiadła do samolotu razem ze mną.*

*Zostawię rodziców, niech się nurzają w bezpiecznej anonimowości przeciętniaków. Nienawidzę tych wszystkich ludzi, którzy śmieją się z byle czego i bawią przy lada okazji. Jak tu ciemno!*

— Śpi? — zapytał Paul.

— Na to wygląda — odparła Lauren, sprawdzwszy puls Brissona.

— Co robimy?

— Mamy około pół godziny i wołałabym, żebyśmy zdążyli, zanim się ocknie. Będzie naprawdę wściekły. Zabieramy się stąd, póki czas. Przyprowadzę samochód, ułożymy pańskiego przyjaciela na tylnym siedzeniu i pojedziemy do Memoriału. Nie ma minuty do stracenia.

Wybiegła z gabinetu. Pielęgniarka odblokowała koła łóżka, na którym leżał Arthur, a Paul pomógł jej wyprowadzić je na korytarz, uważając, by nie przejechać po palcach śpiącego na podłodze Brissona. Koła piszczały na linoleum w korytarzu. Nagle Paul zostawił siostrę Cybile samą z pacjentem.

Lauren zatrzasnęła bagażnik triumpha i z zaskoczeniem obserwowała biegnącego przez parking Paula. Kiedy się z nią zrównał, krzyknął tylko „zaraz wracam” i pognał dalej. Lauren przebrała się w fartuch, patrząc, jak się oddala.

— Paul, naprawdę nie czas na żarty...

Po paru minutach zatrzymał się przed nią ambulans. Otworzyły się drzwi po stronie pasażera, a siedzący za kierownicą Paul powitał ją uśmiechem.

— Mogę panią podwieźć?

— Potrafi pan prowadzić takie wozy? — zapytała, wsiadając.

— To moja specjalność!



Zatrzymali się na podjeździe. Cybile i Paul przenieśli Arthura na nosze i wsunęli je na tył ambulansu.

— Chętnie pojechałabym z wami — westchnęła Cybile, opierając się o drzwiczki kierowcy.

— Bardzo pani dziękuję — powiedział. — Za wszystko.

— Drobiazg, pewnie wylecę z pracy, ale dawno się tak dobrze nie bawiłam. Jeżeli każdy wieczór z panem jest taki wesoły, to proszę do mnie zadzwonić, zawsze chętnie znajdę wolną chwilę.

Paul wyjął z kieszeni klucze i oddał je pielęgniarce.

— Zamknąłem drzwi gabinetu na wszelki wypadek. Bałem się że ten konował za szybko się ocknie!

Cybile wzięła klucze, uśmiechając się figlarnie. Klepnęła drzwi, jak klepie się koński zadek, aby zachęcić zwierzę do biegu.

Sama na pustym parkingu, z pustym łóżkiem Cybile powiodła wzrokiem za ambulansem, który skręcił na skrzyżowaniu. Przystanąła jeszcze przed automatycznymi drzwiami izby przyjęć. Pod stopami miała metalową kratkę, która odprowadzała wodę w czasie deszczu. Uniosła klucze, które dał jej Paul, i upuściła je.

— Gdybyśmy jechali moim samochodem — powiedziała Lauren — nikt nie zwróciłby na nas uwagi.

— Sama pani powiedziała, że nie mamy minuty do stracenia! — przypomniał jej Paul, włączając syrenę.

Jechali bardzo szybko, więc przy odrobinie szczęścia mogli dotrzeć do Memoriał Hospital w ciągu kwadransa.

— Co za noc! — westchnęła Lauren.

— Sądzi pani, że Arthur będzie coś z tego pamiętał?

— Okruchy świadomości mogą się jakoś ze sobą łączyć, ale nie mamy żadnej pewności, że będzie to spójna całość.

— A czy rozbudzenie wspomnień osoby, która długo pozostawała w stanie śpiączki, może być niebezpieczne?

— Dlaczego miałoby być niebezpieczne? — odpowiedziała pytaniem Lauren. — Śpiączka jest następstwem urazu czaszki.

Albo mózg doznał uszkodzeń, albo nie. Zdarza się, że pacjent trwa w śpiączce z niewyjaśnionych przyczyn. Medycyna ciągle jeszcze niewiele wie o mózgu.

— Mówi pani o mózgu jak o silniku samochodowym.

Rozbawiona Lauren pomyślała o triumfie pozostawionym na parkingu i już modliła się, żeby nie natknąć się na Brissona, kiedy wróci po wóz. Ten facet byłby gotów spać w jej kabrioletcie, czekając na nią.

— A zatem próba stymulacji pamięci osoby, która jakiś czas temu wybudziła się ze śpiączki, nie jest niebezpieczna?

— Obawiam się, że myli pan amnezję ze śpiączką, a te dwa stany nie mają ze sobą nic wspólnego. Często zdarza się, że człowiek nie potrafi przypomnieć sobie wydarzeń poprzedzających szok, który doprowadził do utraty przytomności. Jeżeli jednak utrata pamięci trwa dłużej, to jest przejawem innej choroby, zwanej amnezją. Jej przyczyny są inne.

Paul rozmyślał, a tymczasem Lauren odwróciła się, żeby rzucić okiem na Arthura.

— Pański przyjaciel nie zapadł w śpiączkę, jest tylko nieprzytomny.

— Sądzi pani, że ktoś może pamiętać to, co wydarzyło się, kiedy był w śpiączce?

— Może tylko jakiś dźwięk. Koma jest trochę podobna do snu, ale bardzo głębokiego.

Paul zastanawiał się setki razy, zanim w końcu zadał pytanie, które cisnęło mu się na usta.

— A jeśli ten ktoś jest lunatykiem?

Lauren spojrzała na niego, zaintrygowana. Paul był przesądny i wewnętrzny głos przypomniawszy mu, że przysiągł dotrzymać tajemnicy. Jego najlepszy przyjaciel leżał nieprzytomny w tej karetce, toteż Paul wbrew sobie przerwał serię pytań.

Lauren znowu się odwróciła. Arthur oddychał spokojnie i miarowo. Gdyby nie zdjęcia rentgenowskie, można by sądzić, że po prostu śpi.

— Wygląda całkiem dobrze — powiedziała, prostując się.

— Bo to bardzo dobry facet! Chociaż czasami zdarza mu się zawracać mi głowę od rana do wieczora!

— Mówiłam o stanie jego zdrowia! Kiedy na was patrzę, mam wrażenie, że jesteście starym małżeństwem!

— Jesteśmy jak bracia — odburknął Paul.

— Nie chciałby pan powiadomić jego dziewczyny? Tej prawdziwej?

— Jest samotny, tylko proszę nie pytać dlaczego!

— Dlaczego?

— Ma szczególny dar pakowania się w trudne sytuacje.

— Na przykład?

Paul długo obserwował Lauren i musiał przyznać, że uśmiech, który czaił się w jej oczach, był naprawdę niepowtarzalny.

— Dajmy temu spokój! — powiedział.

— Niech pan skręci w prawo, ta ulica jest w remoncie — odezwała się Lauren. — Dlaczego wypytywał pan o śpiączkę?

— Bez powodu.

— Czym się pan zajmuje?

— Jestem architektem.

— Tak jak on?

— Skąd pani wie?

— Wspomniał o tym dziś wieczorem.

— Razem założyliśmy firmę. Musi pani mieć doskonałą pamięć, skoro zapamiętuje pani takie drobiazgi jak zawód pacjenta.

— Architekt to przyjemny fach — mruknęła Lauren.

— To zależy od klienta.

— Z lekarzami jest podobnie — odparła ze śmiechem.

Ambulans dojeżdżał do szpitala. Paul włączył na chwilę syrenę i zatrzymał się przed wjazdem zarezerwowanym dla karettek pogotowia. Ochroniarz uniósł barierkę.

— Uwielbiam używać syreny — rozpromienił się Paul.

— Niech pan się zatrzyma na podjeździe i znów ją uruchomi, żeby noszowi przyszli po pańskiego przyjaciela.

- Cóż za luksusy!
- To po prostu szpital.

Zaparkował w miejscu wskazanym przez Lauren. Dwaj sanitariusze natychmiast podszli do karetki.

— Pójdę z nimi — powiedziała Lauren. — Niech pan zaparkuje i czeka na mnie w poczekalni.

— Dziękuję za wszystko, co pani dla nas zrobiła — powiedział Paul.

Otworzyła drzwiczki i wysiadła.

— Czy ktoś z pana bliskich zapadł w śpiączkę?

Paul zwrócił na nią oczy.

— Ktoś naprawdę bliski! — odparł.

Lauren wraz z sanitariuszami zniknęła w budynku szpitala.

— Trzeba przyznać, że macie dziwaczny sposób bywania razem. Naprawdę dobraliście się jak w korcu maku! — szepnął, spoglądając za dziewczyną.

# 10

Koła wózka obracały się tak szybko, że drgały na osiach i skrzypiały. Lauren i Betty przebijały się przez zatłoczone korytarze izby przyjęć. O mały włos nie wjechały na szafkę apteczną, a na zakręcie prawie zderzyły się z sanitariuszami, którzy szli z noszami w przeciwnym kierunku. Jarzeniówki pod sufitem zlewały się w mleczną smugę. W dali słychać było dzwonek zapowiadający otwarcie drzwi windy. Lauren niemal wrzasnęła, żeby na nich zaczekano. Biegła teraz jeszcze szybciej, a Betty starała się za nią nadażyć, dbając, by łóżko jechało w miarę prosto. Młody lekarz z laryngologii przytrzymał drzwi windy i pomógł wsunąć łóżko między dwa inne, przewożone na blok operacyjny.

— Tomograf! — rzuciła zadyszana Lauren, kiedy kabina ruszyła.

Jakaś pielęgniarka wcisnęła przycisk piątego piętra. Potem znów zaczął się szaleńczy bieg po korytarzach, skrzydła wahadłowych drzwi trzaskały, obwieszczając ich przejście. W końcu zobaczyły drzwi zakładu radiologii. Lauren i Betty dotarły do nich resztkami sił.

— Doktor Kline — rzuciła Lauren. — Uprzedziłam rejestrację, że jedziemy. Muszę natychmiast wykonać tomografię głowy.

— Czekaliśmy na panią — odpowiedziała Lucia. — Mogę prosić o kartę pacjenta?

— Potem zajmujemy się papierkami — mruknęła Lauren, wpychając łożko do gabinetu.

Siedzący w kabinie za szklaną ścianą doktor Bern pochylił się nad mikrofonem.

— Czego szukamy?

— Podejrzenie wylewu krwi w płacie potylicznym. Potrzebna mi seria zdjęć do wykonania trepanacji.

— Zamierzasz przeprowadzić zabieg jeszcze tej nocy? — zapytał zaskoczony Bern.

— Jeżeli zdołam zebrać zespół, to w ciągu godziny.

— Czy Fernstein już o tym wie?

— Jeszcze nie.

— Ale masz jego zgodę na przeprowadzenie badania *na cito*?

— Oczywiście — skłamała Lauren.

Przy pomocy Betty ułożyła Arthura na stole i unieruchomiła jego głowę. Betty wstrzyknęła mu kontrast, a tymczasem Bern rozpoczął przygotowanie ze swego stanowiska. Z ledwie słyszalnym szmerem stół przesunął się do środka tulei. Elementy aparatury obracały się, detektory krążyły wokół głowy Arthura. Odczyty przekazywane były do sieci informatycznej, która odtwarzała obraz mózgu w przekrojach.

Pierwsze obrazy pojawiły się już na dwóch monitorach. Potwierdzały diagnozę Lauren, przecząc tej, jaką postawił Brisson. Arthura należało niezwłocznie operować. Trzeba było jak najszybciej powstrzymać krwawienie z uszkodzonego naczynia i zmniejszyć ucisk krwi gromadzącej się wewnątrz jamy czaszki.

— Jakie są twoim zdaniem szanse na uniknięcie trwałych uszkodzeń? — Lauren mówiła do mikrofonu, spoglądając na kolegę.

— To ty specjalizujesz się w neurochirurgii! Ale skoro pytasz, to sądzę, że jeśli rzeczywiście zoperujecie go w ciągu godziny, ma spore szanse. Nie stwierdzam poważnych uszkodzeń, pacjent nie ma problemów oddechowych, nie widzę upośledzenia funkcji życiowych. Facet może wyjść z tego bez szwanku.

Radiolog gestem zaprosił Lauren do siebie. Palcem wskazał na ekranie obszar mózgu.

— Chciałbym, żebyś się temu bliżej przyjrzała — powiedział. — Wydaje mi się, że mamy tu dziwne zniekształcenie, uzupełnię badania o rezonans. Prześlę je Dicomem\*, trafią wprost na twój monitor w sali operacyjnej. Będziesz mogła niemal zdać się na robota.

— Dziękuję ci.

— To była spokojna noc, a cieszę się, kiedy do mnie zaglądasz.

Kwadrans później Lauren opuściła zakład radiologii i zabrała Arthura na najwyższe piętro szpitala. Betty zostawiła ją przy windzie, musiała wrócić do swojej dyżurki, żeby jak najszybciej skompletować zespół operacyjny.

Blok operacyjny tonął w mroku. Podświetlony zegar ścienny wskazywał trzecią czterdzieści.

Lauren zastanawiała się, jak przenieść Arthura na stół operacyjny, było jednak aż nazbyt oczywiste, że bez pomocy jest to karkołomne zadanie. Miała już dość takiego życia, tych godzin pracy, ciągłego pozostawiania do dyspozycji innych, podczas gdy ona sama nigdy nie mogła na nikogo liczyć. Dźwięk pagera przywołał ją do porządku — podbiegła do telefonu i połączyła się z Betty.

— Udało mi się znaleźć Normę. Nie chciała mi uwierzyć. Teraz kontaktuje się z Fernsteinem.

— Myślisz, że zajmie jej to dużo czasu?

— Tyle, ile trzeba na przejście z kuchni do sypialni. Jeżeli mieszkanie Fernsteina jest tak duże, jak słyszałam, to może potrwać z pięć minut!

— Chcesz przez to powiedzieć, że Norma i Fernstein?...

— Chciałaś, żebym się z nim skontaktowała w środku nocy, zrobiłam to! Poprosiłam, żeby dzwonił bezpośrednio do ciebie, bo mam wrażliwe uszy. Kończę, muszę jeszcze złapać anestezjologa.

— Myślisz, że Fernstein przyjdzie?

— Pewnie już jest w drodze, przecież jesteś jego pupilką i chyba tylko do ciebie to jeszcze nie dotarło!

Betty odłożyła słuchawkę i zaczęła szukać numeru do najbliższej mieszkającego anestezjologa. Miała zamiar zakłócić mu tę noc. Lauren także odwiesiła słuchawkę. Spojrzała na porażonego w śnie Arthura.

Usłyszała za sobą czyjeś kroki. To Paul zbliżył się do łóżka i wziął Arthura za rękę.

— Sądzi pani, że z tego wyjdzie? — zapytał z lękiem.

— Robię, co w mojej mocy, ale sama niewiele zdziałam. Czekam na wsparcie i jestem potwornie zmęczona.

— Nie wiem, jak pani dziękować — szepnął Paul. — Z tym jednym nigdy nie zdołabym się pogodzić.

Lauren milczała, nie rozumiejąc, więc dodał, że nie potrafiłby się pogodzić z utratą Arthura.

Oczy Lauren zwróciły się na niego.

— Proszę mi pomóc, liczy się każda minuta!

Zaprowadziła Paula do pomieszczenia, w którym przygotowywano się do wejścia na salę operacyjną, otworzyła szafę i wyjęła dwa zielone fartuchy.

— Niech pan wyciągnie ręce — powiedziała.

Związała troczki fartucha na plecach, wsunęła mu na głowę czepek. Potem kazała podejść do umywalki i poinstruowała, jak ma umyć ręce. Wreszcie pomogła założyć sterylne rękawice. Kiedy Lauren się przebierała, Paul przeglądał się w lustrze. Uznał, że wygląda naprawdę nieźle w stroju chirurga. Gdyby



tak bardzo nie bał się widoku krwi, medycyna byłaby dla niego idealnym zajęciem.

— Kiedy już nacieszy pan oczy swym wyglądem, pomoże mi pan? — zapytała Lauren, wyciągając rękę.

Paul zawiązał jej fartuch, a kiedy już oboje byli gotowi, poszedł za nią do sali operacyjnej. On, który szczycił się doskonałym wyposażeniem pracowni architektonicznej, z zachwytem patrzył na zgromadzoną tu aparaturę i sprzęt elektroniczny. Podszedł do neuronawigatora i już zamierzał dotknąć klawiatury.

— Niech pan niczego nie rusza! — krzyknęła Lauren.

— Tylko patrzę.

— Proszę patrzeć oczyma, ale nie palcami! Wystarczy, że wprowadziłam tu pana wbrew wszelkim zasadom. Jeżeli Fernstein nas tu zobaczy...

— ...nasłucham się jego kazań — podjął głos starego profesora, docierający przez głośnik. — Zamierza pani zrujnować sobie karierę, żebym nie mógł przejść na emeryturę, czy po prostu pani oszalała?

Lauren odwróciła się i zobaczyła Fernsteina, który obserwował ich przez szybę, przygotowując się do operacji.

— Powtarzałam za panem słowa przysięgi Hipokratesa i wiernie ich przestrzegam! To wszystko — odparła, pochylając się nad mikrofonem.

Fernstein wcisnął włącznik mikrofonu na konsoli, by zwrócić się do tego „lekarza”, którego nigdy dotąd nie widział.

— Zmusiłem ją, żeby przyrzekła oddać swe zwłoki medycynie, i myślę, że kiedy przyszłe pokolenia zbadają jej mózg, nauka poczyni ogromne postępy, poznając mechanizmy oślego uporu.

— Niech się pan nie przejmuj. Odkąd uratował mi życie w sali operacyjnej, uważa się za mego stwórcę! — rzuciła Lauren, zwracając się do Paula i ignorując Fernsteina.

Wyjęła z szuflady sterylną golarkę i parę nożyczek, pocięła koszulę Arthura i rzuciła jej skrawki do kosza. Paul nie zdołał

powstrzymać się od uśmiechu, patrząc, jak lekarka pozbawia tors Arthura zarostu.

— Kiedy się obudzi, będzie zachwycony tą nową fryzurą! — powiedział.

Lauren założyła pacjentowi elektrody na nadgarstki i kostki w siedmiu punktach. Przyłączyła kable do elektrokardiogramu i sprawdziła funkcjonowanie aparatury. Na ekranie pojawiła się świetlistozielona, regularna linia.

— Zrobił ze mnie swoją żywą maskotkę! Beszta mnie, kiedy pracuję za długo, krzyczy, jeśli nie znajdę się we właściwej chwili na właściwym piętrze, ma pretensję, kiedy nie przyjmujemy w izbie przyjęć wystarczającej liczby pacjentów, obrywa mi się, jeśli za szybko wjeżdżam na parking, a nawet kiedy gorzej wyglądam! W dniu, w którym zbadam jego mózg, medycyna dokona wielkiego postępu, wzbogacając wiedzę na temat postaw macho w świecie konowałów!

Zażenowany Paul odkaslnął. Fernstein poprosił Lauren, by do niego podeszła.

— Jestem w sterylnym środowisku — oponowała. — I tak wiem, co chce mi pan powiedzieć!

— Sądzi pani, że zerwałem się w środku nocy tylko po to, żeby podać pani skalpel? Chciałbym uzgodnić plan operacji, niech się pani pospieszy, to polecenie służbowe!

Lauren klasnęła w dłonie i wyszła z sali, zostawiając Paula z Arthurem.

— Mamy już anestezjologa? — zapytała, zanim jeszcze zamknęły się za nią rozsuwane drzwi.

— Byłem przekonany, że to lekarz, który został z pacjentem!

— Nie, to nie jest anestezjolog — szepnęła Lauren, wpatrując się w czubki własnych butów.

— Norma już się szykuje, dołączy do nas za kilka minut. Dobrze, udało się pani zebrać doborową ekipę w środku nocy, więc chyba nie powie mi pani, że chodzi o wyrostek robaczkowy.

Lauren odetchnęła i położyła dłoń na ramieniu starego profesora.

— Nakłucie jamy czaszki i opróżnienie krwiaka podtwardówkowego.

— Kiedy zaczęło się krwawienie?

— O dziewiętnastej, a nasiliło się prawdopodobnie około dwudziestej pierwszej, po przyjęciu silnej dawki aspiryny.

Fernstein spojrział na zegarek, była czwarta rano.

— Jakie są według pani rokowania?

— Lekarz, który wykonywał tomografię, dawał mu spore szanse.

— Nie pytam o jego opinię, chcę usłyszeć pani zdanie!

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, ale intuicja mi podpowiada, że warto było budzić pana w środku nocy.

— To znaczy, że jeśli go z tego nie wyciągniemy, pani intuicja straci autorytet? Gdzie zdjęcia?

— Już wprowadzone do neuronawigatora, wyznaczone są też pola operacyjne, wszystko przeszło przez Dicom. Echoencefalograf też już działa, zaczęłam przygotowania do operacji.

— W porządku. Musimy zacząć zabieg w ciągu piętnastu minut. Wytrzyma pani? — zapytał, zakładając fartuch.

— Proszę sprecyzować pytanie — odburknęła Lauren, wiążąc mu fartuch na plecach.

— Mam na myśli zmęczenie.

— To zaczyna wyglądać na obsesję! — złościła się, sięgając po nową parę sterylnych rękawiczek.

— Gdybym kierował kompanią lotniczą, dbałbym o sprawność pilotów.

— Proszę się nie martwić, mocno stoję na ziemi.

— Powie mi pani w końcu, kim jest ten chirurg w sali operacyjnej? W masce i czepku trudno mi go poznać — mówił Fernstein, myjąc ręce.

— To długa historia — powiedziała, zakłopotana. — Zaraz sobie pójdzie, przyszedł tylko, żeby mi pomóc.

— W czym się specjalizuje? Nie będzie nas tu zbyt wielu, każda pomoc jest mile widziana.

— To psychiatra!

Fernstein oniemiał. Do pomieszczenia weszła Norma. Pomogła profesorowi wciągnąć rękawiczki i założyć maskę. Pielęgniarka z dumą spoglądała na eleganckiego jak zawsze profesora, a Fernstein szepnął do ucha swej uczennicy:

— Uważa, że z wiekiem coraz bardziej przypominam Seana Connery'ego.

Lauren dostrzegła uśmiech pod maską chirurga.

Doktor Lorenzo Granelli, doskonały anestezjolog, wkroczył na blok operacyjny, ściągając na siebie powszechną uwagę. Choć od dwudziestu lat mieszkał w Kalifornii, gdzie był szefem katedry na jednej z uczelni medycznych, nie wyzbył się czarującego akcentu, który przypominał o jego weneckich korzeniach.

— A zatem — zawołał, szeroko rozpościerając ramiona — cóż to za nagły przypadek, który nie może czekać?

Zespół wszedł do sali operacyjnej. Ku bezgranicznemu zdumieniu Paula przy powitaniu wszyscy mówili do niego „doktorze”. Oczy Lauren rozkazywały mu natychmiast wyjść, kiedy jednak ruszył w stronę drzwi, anestezjolog poprosił go o pomoc w zainstalowaniu kroplówki. Granelli ze zdziwieniem spojrzął na krople potu, które zrosiły czoło Paula.

— Coś mi podpowiada, że strach pana obleciał, drogi kolego.

Paul skinał tylko głową i drżącymi rękami zawiesił worek z osoczem na stojaku. Tymczasem Lauren szybko przedstawiła sytuację zespołowi. Prezentowała na monitorze komputera zdjęcia tomograficzne.

— Poproszę o wykonanie kolejnej echoencefalografii, kiedy uda nam się obniżyć ciśnienie śródczaszkowe.

Fernstein odwrócił się od ekranu i podszedł do pacjenta. Na widok Arthura cofnął się o krok i dziękował Bogu, że maska chirurgiczna osłania w tej chwili jego twarz.

— Nic ci nie jest? — zapytała szeptem Norma, wyczuwając wzburzenie profesora.

Fernstein odszedł od stołu operacyjnego.

— W jaki sposób trafił do nas ten młody człowiek?

— Ta historia wyda się panu niewiarygodna — bąknęła ledwie słyszalnym głosem Lauren.

— Mamy całą masę czasu, żeby jej wysłuchać — odparł, zajmując miejsce u sterów neuronawigatora.

Lauren opowiedziała o krętych ścieżkach, jakimi Arthur trafił po raz drugi do izby przyjęć Memoriał Hospital i jak wyrwał się z niezdarnych rąk Brissona.

— Dlaczego nie przeprowadziła pani dokładniejszych badań neurologicznych, kiedy znalazł się tu po raz pierwszy? — zapytał Fernstein, sprawdzając, czy aparatura działa prawidłowo.

— Nie doszło do urazu czaszki ani utraty przytomności, reakcje motoryczne były prawidłowe. Zalecono nam ograniczać zbędne, a kosztowne badania...

— Nigdy nie przestrzegała pani takich zaleceń, więc proszę mi nie wmawiać, że dziś postanowiła pani po raz pierwszy ulec i trafiła pani tak pechowo!

— Nie miałam powodu do niepokoju.

— A Brisson...

— Ani trochę się nie zmienił — rzuciła Lauren.

— Pozwolił pani zabrać pacjenta?

— Niezupełnie...

Paul symulował koszmary atak kaszlu. Oczy całego zespołu zwróciły się na niego. Granelli odszedł do stołu, żeby poklepać go po plecach.

— Na pewno nic panu nie jest, drogi kolego?

Paul uspokoił obawy anestezjologa skinieniem głowy i Granelli wrócił do pracy.

— Ogromnie się cieszę, że nic panu nie dolega! — zawołał Granelli. — Ale teraz — mówiąc między nami — byłoby miło, gdyby przestał pan rozsiewać po sali swoje bakcyle, a ekipa medyczna, do której mam zaszczyt należeć, byłaby panu za to wielce zobowiązana. Mówię przede wszystkim w imieniu pa-

cjenta, który drży na samą myśl o tym, że mógłby się pan do niego zbliżyć.

Paul, który dałby głowę, że setki mrówek biegają mu po nogach, podszedł do Lauren i szepnął jej do ucha:

— Proszę mnie stąd wyprowadzić, zanim się zaczniesz! Nie znoszę widoku krwi.

— Robię, co w mojej mocy — szepnęła lekarka.

— Moje życie zamienia się w drogę przez mękę, kiedy wy dwoje jesteście razem. Gdybyście kiedyś nauczyli się spotykać troszkę zwyczajniej, jak wszyscy normalni ludzie, byłbym wam szczerze zobowiązany.

— O czym pan mówi? — zapytała zdziwiona Lauren.

— Wiem, o czym mówię! A tymczasem proszę mi powiedzieć, jak mam się stąd wydostać, zanim zemdleję.

Lauren odsunęła się od Paula.

— Jest pan gotów? — zapytała, zwracając się do Granellego.

— Trudno o większą gotowość — odparł anestezjolog. — Czekam tylko na pani skinienie, droga koleżanko.

— Jeszcze kilka minut — oświadczył Fernstein.

Norma zakryła głowę Arthura, pozostawiając odsłonięte tylko pole operacyjne. Jego twarz zniknęła pod zieloną chustą.

Fernstein chciał raz jeszcze sprawdzić coś na zdjęciach, odwrócił się w stronę podświetlonego ekranu, ale ten był pusty. Skarcił spojrzeniem Lauren.

— Zostawiłam je w pokoju obok, bardzo mi przykro.

Lauren wyszła z sali, żeby przynieść wyniki badania rezonansu magnetycznego. Kiedy drzwi sali operacyjnej zasunęły się za nią, Norma rzuciła Fernsteinowi porozumiewawcze spojrzenie, chcąc go uspokoić.

— Takie incydenty są niedopuszczalne — powiedział profesor, siadając przy konsoli. — Budzi nas w środku nocy, nikt nie wie, o jaki zabieg chodzi, mamy ledwie chwilę, żeby się przygotować... W końcu w szpitalu obowiązują jakieś zasady, których należy przestrzegać!

— Ależ, drogi kolego — zawołał Granelli — talent często

przejawia się w spontanicznych, nieprzewidywanych posunięciach.

Wszystkie oczy zwróciły się na anestezjologa. Granelli kaszlnął.

— To właśnie taka sytuacja, zgodzicie się?

Drzwi pokoju, do którego Lauren przeszła po ostatnie badania, otworzyły się z trzaskiem. Za umundurowanym policjantem wpadł do środka inspektor. Lauren natychmiast poznała towarzyszącego im lekarza, który wskazywał ją palcem.

— To ona, aresztujcie ją!

— Jak się tu dostaliście? — zapytała policjanta zdumiona Lauren.

— Podobno sprawa jest nagląca, zabraliśmy go, żeby wskazał nam drogę — odpowiedział inspektor i spojrzał na Brissona.

— Przyszedłem tu, żeby usłyszeć, jak oskarżają cię o usiłowanie zabójstwa, przeszkodzenie lekarzowi w wypełnianiu obowiązków, porwanie pacjenta i kradzież ambulansu!

— Doktorze, jeśli pan pozwoli, sam wykonam pracę, która należy do mnie, a nie do pana — przerwał Brissonowi inspektor Erik Bramę.

Zapytał Lauren, czy potwierdza przebieg zdarzeń, a ona nabrała tchu i przysięgła, że działała dla dobra pacjenta, w obronie własnej oraz chorego...

Inspektor Bramę przyznał z żalem, że nie do niego należy osądzanie faktów i że pozostaje mu jedynie założyć jej kajdanki.

— Czy to naprawdę konieczne? — jęknęła Lauren.

— Takie jest prawo! — triumfował Brisson.

— Mam dwie pary. Jeżeli jeszcze raz ośmieli się pan wtrącić — syknął inspektor — zamknę pana za uzurpowanie sobie uprawnień funkcjonariusza policji!

— Prawo zna takie wykroczenie? — zapytał lekarz.

— Chce się pan przekonać? — odparł Bramę tonem pogroźki.

Brisson cofnął się, pozwalając inspektorowi spokojnie kontynuować przesłuchanie.

— Co pani zrobiła z ambulansem?

— Stoi na parkingu. Zamierzałam odstawić go rano.

Z głośnika rozległ się chrapliwy głos. Lauren i policjant odwrócili się i zobaczyli Fernsteina, który mówił do nich z sali operacyjnej.

— Czy ktoś zechce mi wyjaśnić, co się tam dzieje?!

Młoda lekarka spaşowiała. Ciężkim krokiem podeszła do mikrofonu i wcisnęła guzik.

— Przepraszam, panie profesorze — szepnęła. — Naprawdę, bardzo mi przykro.

— Czy to wtargnięcie policji ma coś wspólnego z pacjentem, który leży na stole operacyjnym?

— W pewnym sensie — przyznała Lauren.

Do oszklonej ściany podszedł Granelli.

— Czyżby był bandytą? — zapytał podekscytowany.

— Nie — odparła Lauren. — To wszystko przeze mnie. Jest mi potwornie głupio.

— Niech się pani tak nie przejmuj — uspokajał Granelli. — Ja także, kiedy byłem w pani wieku, pozwoliłem sobie na parę kawałów i spędziłem kilka nocy w towarzystwie *carabinieri*, tyle że ich mundury są znacznie elegantsze od tych, jakie nosi wasza policja.

Inspektor Bramę przerwał monolog anestezjologa, podchodząc do mikrofonu.

— Ukradła ambulans i porwała pacjenta z innego szpitala.

— Sama?! — wykrzyknął Granelli, patrząc z zachwytem na Lauren. — Ależ ta dziewczyna jest niesamowita!

— Miała współnika — szepnął Brisson. — Jestem pewien, że siedzi w poczekalni, trzeba go aresztować. Koniecznie!

Fernstein i Norma odwrócili się w stronę jedynego lekarza, którego tożsamość wciąż była dla nich zagadką, ale ku ich zaskoczeniu mężczyzna zniknął bez śladu. Skulony pod stołem operacyjnym Paul zastanawiał się, jak to możliwe, że taki miły



wieczór zamienił się w koszmar. Jeszcze kilka godzin temu był szczęśliwym młodym człowiekiem, siedział w restauracji z uroczą kobietą...

Fernstein podszedł do przeszklonej ściany i zapytał Lauren, co skłoniło ją do tego szaleństwa. Uczennica uniosła głowę i spojrzała na niego oczyma, z których wyzierał przejmujący smutek.

— Brisson by go zabił.

— Dobry wieczór, profesorze — wtrącił konował. — Zaraz zabiorę stąd mojego pacjenta. Zabraniam panu przeprowadzania operacji, ten człowiek wraca ze mną.

— Bardzo wątpię — odparł rozgniewany Fernstein.

— Panie profesorze, proszę, aby pozwolił pan doktorowi Brissonowi przejąć pacjenta — wtrącił zakłopotany inspektor.

Granelli cicho cofnął się do stołu operacyjnego. Sprawdził dane na ekranach i ukradkiem odłączył elektrodę od nadgarstka pacjenta. W tej samej chwili rozległ się sygnał alarmowy elektrokardiografu. Granelli rozłożył ręce.

— No, proszę! Panowie nas tu zagadują, a ten chłopaczyna czuje się coraz gorzej. Albo ten pan, który nam przeszkadza, weźmie na siebie odpowiedzialność za nieuniknione pogorszenie stanu pacjenta, albo natychmiast zaczynamy operację. Zresztą narkoza już działa i transport chorego jest wykluczony! — zakończył triumfalnie.

Nawet spod maski widać było uśmiech na twarzy Normy. Rozwścieczony Brisson groźnie wymachiwał palcem wymierzonym w Fernsteina.

— Wszyscy mi za to zapłacicie!

— Młody człowieku, wydaje mi się, że i tak mamy rachunki do wyrównania! Ale teraz proszę opuścić blok operacyjny i nie przeszkadzać nam w pracy! — rozkazał profesor i odwrócił się, nie zwracając najmniejszej uwagi na Lauren.

Inspektor Bramę schował kajdanki i ujął lekarzkę za rękę. Brisson pobiegł za nimi.

— Oględnie mówiąc — odezwał się Granelli, mocując elektrodę na nadgarstku Arthura — mamy dziś niezwykłą noc.

A potem już tylko szmer aparatury zakłócał ciszę, która zapanowała w sali operacyjnej. Podane przez anestezjologa środki sączyły się z kroplówki, przenikając do krwi Arthura. Granelli sprawdził saturację i dał Femsteinowi znak, że w końcu można zacząć zabieg.

Lauren wsiadła do nieoznakowanego samochodu inspektora Erika Brame'a, Brisson pojechał z umundurowanym policjantem. Na skrzyżowaniu z California Street wozy się rozdzieliły, bo Brisson wracał do San Pedro, gdzie wciąż trwał jego nocny dyżur. Miał pojawić się w komisariacie rano i oficjalnie wnieść oskarżenie.

— Naprawdę był w niebezpieczeństwie? — zapytał inspektor.

— Wciąż jest — odparła siedząca z tyłu Lauren.

— A ten Brisson jakoś się do tego przyczynił?

— Co prawda to nie on pchnął go na tę witrynę, powiedzmy jednak, że swą niekompetencją pogorszył sytuację.

— A pani ocaliła mu życie?

— Miałam go operować, kiedy mnie pan aresztował.

— I robi pani takie rzeczy dla wszystkich swoich pacjentów?

— Tak i nie. Każdego staram się ratować, ale nie poryvam chorych ze szpitali.

— Podjęła pani takie ryzyko dla obcego człowieka? — ciągnął inspektor. — Imponuje mi pani.

— A czy pan nie robi tego każdego dnia w swojej pracy? Przecież naraża się pan dla obcych?

— Owszem, ale ja jestem policjantem.

— A ja lekarzem...

Samochód wjechał do Chinatown i Lauren poprosiła oficera o otwarcie okna. Wprawdzie było to niezgodne z regulaminem,

ale zgodził się, bo jak na jeden wieczór miał już dość regulaminów.

— Ten facet zrobił na mnie fatalne wrażenie, ale nie miałem wyboru, rozumie pani?

Lauren milczała, wyglądając przez okno i wdychając morskie powietrze, które docierało w głąb miasta.

— To moja ulubiona dzielnica — powiedziała.

— W innych okolicznościach zabrałbym panią na najlepszą na świecie kaczkę po pekińsku.

— Do braci Tang?

— Zna pani tę restaurację?

— To moja stołówka, to znaczy była nią kiedyś, bo od dwóch lat nie miałam czasu tam zajrzeć.

— Denerwuje się pani?

— Wolałabym być teraz z nimi, w sali operacyjnej, ale Fernstein to najlepszy neurochirurg w mieście, więc nie powinnam się martwić.

— Zdarzyło się pani kiedyś odpowiedzieć na pytanie jednym słowem: tak albo nie?

Uśmiechnęła się.

— Naprawdę wycięła mu pani ten numer sama? — podjął inspektor.

— Tak!

— Samochód zaparkował przed siódmym komisariatem. Inspektor Bramę pomógł Lauren wysiąść z wozu. Kiedy weszli do budynku, przekazał ją oficerowi dyżurnemu.

Natalia nie lubiła spędzać nocy z dala od swego przyjaciela, zawsze jednak czas dłużył jej się najbardziej między północą a szóstą rano. Ale już tylko trzy miesiące dzieliły ją od emerytury. Jej stary, mrukliwy gliniarz, obiecał, że wybiorą się we wspólną podróż, o której marzyła od wielu, wielu lat. Późną jesienią polecą do Europy. Będą się całowali pod wieżą Eiffla, zwiedzą Paryż i wyjadą do Wenecji, żeby wreszcie stanąć przed

ołtarzem i ślubować sobie przed Bogiem. Cierpliwość jest cnotą zakochanych. Nie będzie żadnych ceremonii, po prostu pójdą razem do jednej z kaplic, jakich są w tym mieście dziesiątki.

Natalia weszła do pokoju przesłuchań, żeby spisać dane personalne Lauren Kline, neurochirurga. Ta kobieta była oskarżona o kradzież ambulansu i porwanie pacjenta ze szpitala.

# 11

Natalia położyła notes na stole.

— W tej pracy oswoiłam się już z różnymi dziwactwami, ale pani bije rekordy — powiedziała, sięgając po dzbanek z gorącą kawą.

Długo przyglądała się Lauren. Przez trzydzieści lat pracy uczestniczyła w tylu przesłuchaniach, że nauczyła się rozpoznawać, kiedy podejrzani mówią prawdę, i zajmowało jej to mniej czasu, niż im popełnienie występku. Lekarka była zdecydowana współpracować z policją. Nie zamierzała ukrywać niczego poza udziałem Paula w całym tym szaleństwie. Przyznała się do zarzucanych jej czynów. Nie żałowała tego, co zrobiła, i gdyby znów znalazła się w identycznej sytuacji zachowałaby się tak samo.

Minęło pół godziny. Lauren opowiadała, a Natalia słuchała, od czasu do czasu dolewając kawy.

— Nie zapisała pani nawet słowa z moich zeznań — stwierdziła Lauren.

— Nie po to tu przyszłam, jutro rano przesłucha panią inspektor. Radzę poczekać na adwokata, zanim komukolwiek opowie pani swoją historię. Czy pacjent ma szansę wyjść z tego cało?

— To się okaże dopiero po operacji. Ale dlaczego pani pyta?

Jeśli Lauren naprawdę ocali życie tego człowieka, to zdaniem Natalii zarząd szpitala San Pedro nie zdecyduje się wnieść oskarżenia.

— Czy nie ma żadnej możliwości zwolnienia mnie z aresztu na czas operacji? Przysięgam, że stawię się tu jutro rano.

— Przedtem sędzia musiałby wyznaczyć kaucję, a to w najlepszym wypadku stanie się po południu, chyba że pani kolega po fachu wycofa skargę.

— Na to nie ma co liczyć, nie zdołał mnie dopaść, kiedy byliśmy studentami, więc teraz z pewnością nie zmarnuje okazji, żeby się zemścić.

— Znaliście się?

— Musiałam tolerować jego towarzystwo podczas zajęć na czwartym roku.

— Rozpychał się w ławce?

— Kiedy przyszło mu do głowy, żeby oprzeć łapę na moim udzie, dostał brutalną nauczkę.

— A poza tym?

— Uważa pani, że powinnam o tym mówić pod nieobecność mojego adwokata? — Lauren uśmiechnęła się do Natalii. — Strzeliłam go w pysk na ćwiczeniach z biologii molekularnej, i to tak mocno, że echo odbiło się w całej sali.

— W akademii policyjnej skułam pewnego młodego inspektora, który próbował mnie pocałować, nie pytając o pozwolenie. Spędził upiorną noc, tkwiąc przy drzwiczkach własnego samochodu.

— Nigdy potem nie natknęliście się na siebie?

— Wkrótce bierzemy ślub!

Natalia dodała, że bardzo jej przykro, ale regulamin wymaga, żeby aresztowani przebywali w celi. Lauren zerknęła na zakratowane pomieszczenie za pokojem przesłuchań.

— Ta noc jest wyjątkowo spokojna! — podjęła Natalia. — Zostawię celę otwartą. Jeśli usłyszysz pani kroki, sama się pani zamknie, bo mogłabym mieć kłopoty. W szufladzie jest kawa, filizanki stoją w szafie. Tylko proszę nie robić głupstw.

Lauren podziękowała. Natalia wyszła i wróciła do swego biurka. Sięgnęła po książkę wpisów, żeby zanotować dane zatrzymanej, która o czwartej trzydzieści pięć została doprowadzona na posterunek numer siedem.

— Która godzina? — zapytał Fernstein.

— Jest pan zmęczony? — zaniepokoiła się Norma.

— Niby dlaczego miałbym być zmęczony! Przecież tylko poderwali mnie z łóżka w środku nocy, a teraz operuję sobie od bitej godziny — burknął stary chirurg.

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni, prawda, droga Nor-mo? — wtrącił anestezjolog.

— Co ma znaczyć pańska uwaga, szanowny kolego? — Fernstein spojrzął na niego spod oka.

— Zastanawiałem się, gdzie pańska uczennica ukształtowała sobie tak specyficzne podejście do pracy i swoisty dowcip.

— Czy mam z tego wnosić, że pańscy studenci będą uprawiali medycynę z lekkim akcentem włoskim?

Fernstein wprowadzał dren przez otwór w czaszce Arthura. Krew już teraz wypełniła rurkę. Rozpoczęła się ewaluacja krwiaka. Udało się skoagulować naczynia i pozostało tylko zająć się drobną wadą rozwojową naczyń. Sonda neuronawigatora przesuwiała się milimetr po milimetrze. Na monitorze widać było sieć naczyń krwionośnych, przypominającą podziemne rzeki i strumienie. Niezwykła podróż po ośrodku myśli ludzkiej jak dotąd przebiegała bez przeszkód. Ale przecież neuronawigator przez cały czas wędrował pośród szarej masy tkanki mózgowej, niczym pośród skłębionych chmur, które rozdzierają błyskawice. Minuta po minucie sonda torowała sobie drogę do celu, ale by dostała się do wewnętrznych naczyń mózgowych, miało upłynąć jeszcze dużo czasu.

Natalia rozpoznała po krokach osobę, która szła po schodach. Głowa inspektora Pilguezza wsunęła się przez uchylone drzwi. Rozczochrany, źle ogolony, położył przed nią białe pudełeczko przewiązane brązową wstążką.

— Co to takiego? — zapytała, zaciekawiona.

— Drobiazg od mężczyzny, który nie może zmrużyć oka, kiedy nie leżysz obok niego.

— Tak bardzo ci mnie brakuje?

— Nie ciebie, tylko twojego oddechu, kołyszającego mnie do snu.

— Jestem pewna, że w końcu się na to zdobędziesz.

— Na co?

— Na to, żeby otwarcie wyznać, że nie potrafisz beze mnie żyć.

Stary inspektor usiadł na biurku Natalii. Wyciągnął z kieszeni papierosy i wsunął jednego do ust.

— Ponieważ masz przed sobą jeszcze kilka miesięcy czynnej służby, zrobię wyjątek i podzielę się z tobą doświadczeniami zdobytymi w terenie. Żeby dojść do ostatecznych wniosków, musisz uporządkować wszystkie tropy i dowody. W interesującym cię przypadku masz do czynienia z facetem po sześćdziesiątce, który wyniósł się z Nowego Jorku, żeby być z tobą; ten sam facet wstaje z łóżka, które jest zresztą także twoje, o czwartej nad ranem, jedzie nocą przez całe miasto, chociaż cierpi na kurzą ślepotę, zatrzymuje się, żeby kupić ci paczki, mimo że przy swoim poziomie cholesterolu nie powinien nawet zbliżyć się do cukierni — bo w tej paczuszce masz paczki z cukrem — i przychodzi tu, żeby położyć ci je przed nosem. Czy potrzebujesz dodatkowych zeznań?

— Chciałabym, żebyś w końcu zdobył się na szczere wyznania!

Natalia wyjęła papierosa z ust Pilguezza i nagrodziła tę stratę pocałunkiem.

— Całkiem nieźle, twoje śledztwo doskonale się rozwija! — podjął emerytowany gliniarz. — Oddasz mi papierosa?



— W budynku publicznym palenie zabronione!  
— Nie widzę tu nikogo oprócz nas dwojga.  
— Mylisz się, w celi numer dwa jest pewna kobieta.  
— Ma alergię na dym tytoniowy?  
— To lekarka!  
— Przyskrzyniliście jakąś lekarkę? Co zrobiła?  
— Niewiarygodna historia. W naszym fachu widuje się naprawdę niesamowite rzeczy. Ukradła ambulans i porwała pacjenta w śpiączce...

Natalia nie zdążyła dokończyć zdania, bo Pilguez zeskoczył z biurka i szybkim krokiem przeszedł przez pokój.

— George?! — krzyknęła — przecież jesteś na emeryturze!  
Ale inspektor nawet się nie odwrócił — pobiegł prosto do sali przesłuchań.

— Mam dziwne przeczucie — szepnął, zamykając za sobą drzwi.

— Chyba dobijamy do celu — powiedział Fernstein, manipulując ramieniem robota.

Anestezjolog pochylił się nad monitorem i natychmiast zwiększył dopływ tlenu.

— Jakieś problemy? — zapytał chirurg.

— Spada saturacja, proszę dać mi kilka minut. Za chwilę będziemy mogli kontynuować.

Pielęgniarka podeszła do pacjenta, ustawiła kroplówkę, a potem sprawdziła, czy rurki doprowadzające tlen do nosa Arthura są prawidłowo zamocowane i drożne.

— Wszystko w porządku — oznajmiła.

— Chyba się stabilizuje — dodał spokojniejszym tonem Granelli.

— Mogę kontynuować? — zapytał Fernstein.

— Tak, ale trochę się niepokoję, nie wiem nawet, czy pacjent miał kiedykolwiek problemy kardiologiczne.

— Założę drugi dren, krwiak jest otorbiony.

Ciśnienie krwi pacjenta spadło, dane ukazujące się na ekranie nie były alarmujące, jednak wymagały od anestezjologa wzmożonej czujności. Poziom nasycenia krwi gazami daleki był od ideału.

— Im wcześniej go wybudzimy, tym lepiej; kiepsko reaguje na diprivan — uprzedził Granelli.

Wykres EKG ponownie się załamał. Załomek Q był nieprawidłowy. Norma wstrzymała oddech, patrząc na monitor, ale zielona linia znów zaczęła regularnie falować.

— Mało brakowało — odetchnęła z ulgą, odkładając defibrylator.

— Przydałaby mi się echoencefalografia porównawcza — powiedział Fernstein — ale niestety zabrakło nam tu dziś jednego lekarza. Do diabła, gdzie ona się podziewa! Chyba nie będą jej tam trzymali przez całą noc!

I Fernstein obiecał sobie, że osobiście zajmie się tym idiotą Brissonem.

Lauren usiadła na ławce pod ścianą zakratowanej celi. Niemal w tej samej chwili Pilguez otworzył drzwi i uśmiechnął się, widząc, że cela nie jest zamknięta na klucz. Podeszedł do szafki, sięgnął po dzbanek z kawą i napełnił filiżankę.

— Nie wspomnę o otwartej celi, a pani nie wygada, że piłem mleko. Mam podwyższony poziom cholesterolu, Natalia by się wściekła.

— Miałaby rację. A dokładniej: jaki jest ten poziom cholesterolu?

— Zapomniała pani, gdzie jesteśmy? Nie przyszedłem się tu leczyć.

— Ale przyjmuje pan leki?

— Odbierają mi apetyt, a ja lubię dobrze zjeść.

— Radzę poprosić lekarza, żeby dobrał odpowiednie środki.

Pilguez przejrzał raport policyjny — karta, którą powinna była wypełnić Natalia, pozostała dziewiczo czysta.

— Polubiła panią. No cóż, taka już jest, ma swoje słabostki!

— O kim pan mówi?

— O mojej żonie, to ona zapomniała spisać protokół i ona zapomniała zamknąć celę. Aż trudno uwierzyć, że na starość robi się taka roztargniona. Kim jest ten pacjent, którego pani porwała?

— Jeśli mnie pamięć nie myli, nazywa się Arthur Ashby.

Pilguez wzniosł ręce do nieba. Wyglądał na wstrząśniętego.

— Świetny dowcip! W głowie się nie mieści!

— Mógłby pan wyrażać się jaśniej? — rzuciła Lauren.

— Ten facet zatruł mi ostatnie miesiące pracy przed emeryturą, chyba nie zamierza pani przejmować pałeczki, żeby dręczyć mnie na emeryturze?

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— Tego się właśnie obawiałem! — westchnął inspektor. — Gdzie on teraz jest?

— W Memoriał Hospital na bloku operacyjnym neurochirurgii, gdzie i ja powinnam być w tej chwili, zamiast marnować czas w komisariacie. Prosiłam pańską żonę, żeby pozwoliła mi tam wrócić, i obiecałam, że stawię się tu zaraz po operacji, ale się nie zgodziła.

Inspektor wstał i dolał sobie kawy. Stojąc tyłem do Lauren, wsysał do filiżanki łyżeczkę cukru.

— Tego tylko brakowało! — powiedział, ukradkiem mieszając kawę. — Do emerytury zostały jej jeszcze trzy miesiące pracy, kupiliśmy już bilety do Paryża... Wiem, że dla was dwojga to coś w rodzaju sportu, ale tego nie pozwolę wam zmarnować.

— Nie przypominam sobie, żebyśmy się już kiedyś spotkali, i nie rozumiem pańskich uwag. Mógłby mi pan wyjaśnić, o co tu chodzi?

Pilguez postawił filiżankę kawy na stole i podsunął ją Lauren.

— Ostrożnie, jest gorąca. Niech się pani napije, potem panią odwiozę.

— Dziś w nocy narobiłam już kłopotów wielu ludziom, jest pan pewien, że...

— Od czterech lat jestem emerytem, a skoro pozbawili mnie pracy, to nic mi już nie zrobią!

— I naprawdę mogłabym tam wrócić?

— Nie dość, że uparta, to jeszcze głucha!

— Dlaczego pan to robi?

— Jest pani lekarzem, a praca lekarza polega na leczeniu ludzi, ja jestem gliną i zadawanie pytań należy do mnie. Jedźmy, muszę panią tu przywieźć przed zmianą, mamy cztery godziny.

Lauren szła za policjantem przez korytarz. Natalia spojrzała na Pilguezę.

— Co ty wyprawiasz?

— Zostawiłaś otwarte drzwi klatki i ptaszek wyfrunął, kochanie.

— Chyba żartujesz?

— Ciesz się, bo ciągle narzekasz, że tego nie robię! Przyjadę po ciebie rano, a przy okazji przywiozę dziewczynę.

Pilguez otworzył drzwi, zapraszając Lauren, a potem okrążył samochód i usiadł za kierownicą. Jeździł mercurym grand marquis. Zapach skóry wypełniał kabinę.

— Pachnie nowością, ale moje stare tornado wyzionęło ducha tej zimy. Szkoda, że nie słyszała pani, jak ryczy pod maską trzysta osiemdziesiąt pięć koni! Urządziliśmy sobie ze starszkiem parę fantastycznych pościgów.

— Lubi pan stare samochody?

— Nie, chciałem tylko jakoś zacząć rozmowę.

Nad miastem zaczęło siąpić. Drobne krople wody uderzały o szybę, tworząc lśniącą warstewkę.

— Wiem, że nie do mnie należy zadawanie pytań, ale ciekawa jestem, dlaczego wyciągnął mnie pan z celi?

— Przecież sama pani powiedziała, że bardziej potrzebna

jest w szpitalu niż w komisariacie, gdzie marnuje pani czas, pijąc kiepską kawę.

— A pan przedkłada obowiązek wobec społeczeństwa nad martwą literę prawa i zwalcza absurdy?

— Woli pani, żebyśmy wrócili na posterunek?

Wyludnione ulice lśniły w deszczu.

— A dlaczego pani dopuściła się tych wszystkich szaleństw dzisiejszej nocy? — podchwycił. — Czy to też silne poczucie obowiązku?

Lauren milczała, patrząc w okno.

— Nie mam pojęcia.

Stary inspektor sięgnął po papierosa.

— Niech się pani nie martwi. Nie palę od dwóch lat. Od czasu do czasu lubię tylko trzymać papierosa w ustach.

— To dobrze. Dzięki temu ma pan szansę dłużej pożyć.

— Nie wiem, czy dłużej pożyję, ale i tak emerytura, dieta z powodu cholesterolu i brak papierosów powodują, że czas mi się dłuży.

Wyrzucił papierosa przez okno. Lauren uruchomiła wycieraczki.

— Zdarzyło się już panu czuć dobrze w towarzystwie osoby, której pan nie zna?

— Pewnego dnia w komisariacie na Manhattanie pojawiła się młoda kobieta. Byłem wtedy świeżo upieczonym inspektorem. Podeszła do mnie, bo moje biurko stało przy drzwiach. Przydzielono ją do centrali. Przez wszystkie lata, kiedy przemierzałem ulice Midtown, jej głos dobiegał z radia w samochodzie. Starłem się mieć służbę wtedy, kiedy i ona. Szalałem za nią. Ponieważ widywałem ją rzadko, czasami zatrzymywałem kogoś pod byle pozorem, żeby tylko wrócić do komisariatu i przekazać jej moją „ofiara”. Dość szybko mnie rozgryzła i zaproponowała, żebyśmy wybrali się razem na kawę, zanim zamknę kioskarza z rogu za sprzedaż wilgotnych zapalek. Wybraliśmy się do kafejki obok komisariatu, usiedliśmy przy stoliku, no i już.

- Co: „już”? — zapytała rozbawiona Lauren.
- A nic pani nie powie, jeżeli sobie zapalę?
- Dwa machy, potem pan gasi!
- Zgoda!

Policjant sięgnął po nowego papierosa, włączył zapalniczkę samochodową i podjął opowieść.

— Przy barze siedziało kilku kolegów. Udawali, że nas nie widzą, ale wiedzieliśmy, że jutro się zacznie. Upłynęło sporo czasu, zanim przyznałem się samemu sobie, że czegoś mi brakuje, kiedy nie ma jej w komisariacie. Czy moja odpowiedź panią zadowala?

— A kiedy już pan to zrozumiał? Co pan zrobił?

— Nadal marnowałem czas — odparł inspektor.

Oboje zamilkli. Pilguez wpatrywał się w drogę.

— Ledwie widziałam tego mężczyznę, którego porwałam. Zbadałam go dość pobieżnie, a on odszedł. Zachowywał się dziwnie, był jakby zagubiony. A potem zadzwonił do mnie jego przyjaciel i przekazał mi niezbyt dobre wieści.

Inspektor powoli odwrócił głowę.

— Nie potrafię wyjaśnić dlaczego — dodała — ale kładąc słuchawkę, byłam szczęśliwa, że wiem, gdzie on jest.

Pilguez z uśmiechem na ustach obserwował pasażerkę. Otworzył schowek i wyjął czerwonego koguta, którego zamocował na dachu wozu.

— W takim razie ulegniemy pani zniecierpliwieniu.

Przypalił papierosa. Samochód niknął ciemnymi ulicami, obojętny na sygnalizację, która nie mogła go już powstrzymać.

Norma otarła pot z czoła profesora. Jeszcze kilka minut i sonda dotrze do celu — drobna anomalia była już widoczna. Elektrokardiograf wydał krótki dźwięk. Cały zespół operacyjny wstrzymał oddech. Granelli pochylił się i spojrzał na wykres. Uderzył ręką w monitor i linia odzyskała właściwy kształt.

— Ten aparat jest równie zmęczony jak pan, profesorze — rzucił, wracając na stanowisko.

Ale jego żart nie złagodził panującego w sali napięcia. Norma upewniła się, czy defibrylator jest naładowany. Zmieniła worek, w którym gromadziła się krew ściągana z krwiaka, zdezynfekowała rejon nacięcia i wróciła na swoje miejsce przy stole.

— Nie sądziłem, że aż tak trudno będzie się tam dostać — powiedział Fernstein. — Nigdy nie widziałem takiej anomalii.

— Sądzi pan, że to tętniak? — zapytał anestezjolog, patrząc na ekran neuronawigatora.

— Wykluczone. To wygląda raczej jak mały gruczoł. Przyjrzę mu się ze wszystkich stron, żeby ustalić, jakie ma połączenia. W tej chwili mam wątpliwości, czy należy go usuwać.

Kiedy sonda dotarła do obszaru wytyczonego przez Fernsteina, Norma zerknęła z niepokojem na elektroencefalograf, który badał czynność bioelektryczną mózgu Arthura. Jedna z fal dziwnie drgała, zapis gwałtownie wzniósł się i opadł, amplituda była zmienna. Pielęgniarka zachowała się jak wcześniej anestezjolog — puknęła w monitor. Fala opadła w oszłamającym tempie, potem wzniosła się na w miarę normalny poziom.

— Jakiś problem? — zapytał profesor.

Przy każdej anomalii drukarka aparatu powinna wykonać zapis, ale nie zareagowała. Dziwne linie znikwały już po prawej stronie ekranu. Norma wzruszyła ramionami i pomyślała, że w tej sali aparaty są tak samo zmęczone jak ludzie.

— Mogę chyba wykonać nacięcie, ale nie jestem pewien, czy chcę to usuwać — powiedział profesor. — Możemy jednak przeprowadzić biopsję.

— Nie chciałby pan zrobić przerwy? — zasugerował anestezjolog.

— Wolę jak najszybciej skończyć, nie powinniśmy przeprowadzać tak poważnej operacji w tak wąskim gronie.

Granelli, który lubił pracę w małych zespołach, nie podzielał opinii kolegi. Na tej sali znaleźli się najlepsi lekarze w mieście.

Postanowił jednak zachować ten pogląd dla siebie. Myślał o weekendzie i planował wyprawę jachtem po zatoce San Francisco. Właśnie kupił nowiutki, ogromny żagiel.

Mercury grand marquis zaparkował przed szpitalem. Pilguez pochylił się, żeby otworzyć Lauren drzwi. Wsiadła, ale przez chwilę stała, obserwując go.

— Dziewczyno, już cię tu nie ma — ponaglił ją inspektor. — Pani doktor ma chyba zajęcia ważniejsze od oglądania mojego samochodu. Idę na kawę do baru naprzeciwko. Liczę, że pojawi się tam pani, zanim moja karoca zamieni się w zwykłą dynię.

— Nie patrzyłam na samochód, ale na pana. Szukam słów, żeby panu podziękować!

I Lauren błyskawicznie zniknęła za drzwiami izby przyjęć. Przebiegła przez hol i wsiadła do windy. Im wyżej wznosiła się kabina, tym mocniej biło serce Lauren. Lekarka szybko uporała się z zawiązaniem bez niczyjej pomocy fartucha, potem wciągnęła rękawice.

Zadyszana, łokciem wcisnęła guzik blokujący drzwi bloku operacyjnego. Nikt z obecnych w sali nie zwracał na nią uwagi. Czekwała przez chwilę, potem ostentacyjnie zakasłała.

— A może państwu przeszkadzam?

— Nie, ale jest pani bezużyteczna, a to właściwie jeszcze gorzej — odparł Fernstein. — Mógłbym wiedzieć, gdzie się pani podziewała przez cały ten czas?

— Za kratkami, w komisariacie!

— W końcu panią wypuścili?

— Nie, to, co pan tu widzi, to mój duch! — ucięła ostro.

Tymczasem Fernstein podniósł głowę.

— Proszę mi oszczędzić tych impertynenckich żarcików — skarcił ją.

Lauren podeszła do stołu operacyjnego, zerknęła na monitory i z obawą zapytała Granellego o stan pacjenta. Anestezjolog



uspokoił ją, mówiąc, że przed chwilą mieli tu alarm, ale teraz sytuacja wraca do normy.

— To nie potrwa już długo — dodał Fernstein. — Zrezygnowałem z przeprowadzenia biopsji, bo ryzyko jest za duże. Ten młodzieniec będzie musiał nadal żyć z lekką anomalią, a nauka nie zgłębi jej tajemnicy.

Ledwie zamilkł, a w sali rozbrzmiał ostry dźwięk. Norma chwyciła defibrylator. Anestezjolog spojrzął na ekran — wystąpiły ostre zaburzenia rytmu serca. Lauren wzięła od Normy defibrylator, potarła elektrody i przyłożyła je do piersi Arthura.

— Trzysta! — krzyknęła.

Pod wpływem impulsu ciało wyprężyło się, a potem ciężko opadło na stół. Linia na monitorze pozostała niezmienną.

— Tracimy go! — powiedział Norma.

— Ładuj trzysta pięćdziesiąt! — poleciła Lauren, znów przykładając elektrody.

Krtań Arthura gwałtownie się uniosła. Tym razem zielona lina opadła, by po chwili dramatycznie się spłaszczyć.

— Ładujemy pięćset. Pięć miligramów adrenaliny i dwadzieścia pięć solumedrolu! — wrzasnęła Lauren.

Anestezjolog błyskawicznie wykonał polecenie. W ułamku sekundy, na oczach doświadczonego profesora, któremu nie umykał żaden szczegół, młoda lekarka wykorzystała doświadczenie z izby przyjęć i przejęła dowodzenie w sali operacyjnej.

Kiedy defibrylator był już gotów, Lauren przytknęła elektrody do piersi pacjenta. Ciało Arthura uniosło się jakby siłą woli, chcąc zatrzymać życie, które z niego uciekało.

— Normo, jeszcze jedna ampułka adrenaliny, pięć miligramów, i jednostka lidokainy. Szybko!

Fernstein patrzył na niezmiennie płaski wykres. Podszedł do Lauren i położył jej rękę na ramieniu.

— Zrobiliśmy już chyba wszystko co w naszej mocy.

Ale młoda lekarka wyrwała strzykawkę z rąk Normy i bez wahania wbiła ją w serce pacjenta.

Zrobiła to z niesłychaną precyzją—igła wśliznęła się między żebra, przebiła osierdzie i zagłębiła się na kilka milimetrów w ścianie serca. Roztwór natychmiast przeniknął do włókien mięśnia sercowego.

— Nie pozwolę ci się poddać — szepnęła Lauren ze złością — trzymaj się!

Sięgnęła po defibrylator, ale Fernstein powstrzymał ją.

— Wystarczy, Lauren, pozwólmy mu odejść.

Natychmiast wyrwała ręce z rąk profesora i zaatakowała.

— To się nie nazywa „odejść”, tylko „umrzeć"! Kiedy w końcu odważymy się mówić prawdę? Umrzeć, umrzeć, umrzeć — powtarzała, uderzając pięścią w nieruchomą klatkę piersiową Arthura.

Nagle przeciągły dźwięk, który wydobywał się z elektrokardiografu, ustał, a zamiast niego rozległy się krótkie piśnięcia. Wszyscy zamarli, wpatrując się w zieloną, prawie prostą linię. Na samym końcu ta linia zaczęła drgać, zaokrągliła się, a w końcu utworzyła łuk, którego kształt był niemal prawidłowy.

— A to się nie nazywa „wracać”, tylko „żyć"! — grzmiała Lauren, odbierając Fernsteinowi defibrylator.

Profesor szybko wyszedł z sali, krzycząc, że nie jest jej potrzebny przy zakładaniu szwów. Zostawia ją z pacjentem i wraca do łóżka, z którego wcale nie powinien był wstawać. Potem zapadła nieprzyjemna cisza, którą przerywało tylko miarowe pikanie monitora, powtarzającego jak echo uderzenia serca Arthura.

Doktor Granelli podszedł do swojej aparatury i sprawdził saturację krwi.

— Delikatnie mówiąc, ten młody człowiek wraca z dalekiej podróży. Osobiście zawsze uważałem, że odrobina uporu ma swój urok. Koleżanko, daję pani dziesięć minut na założenie szwów, a potem sprowadzam go na ziemię.

Norma przygotowała już kłamry, gdy do uszu Lauren dobiegły jęki z podłogi.

Pochyliła się i zobaczyła czyjaś rękę.

Przyklekła i wtedy ujrzała Paula o twarzy bladej jak płótno, zwiniętego pod stołem operacyjnym.

— Co pan tu robi? — zapytała zdumiona.

— Wróciła pani? — wyszeptał ledwie słyszalnym głosem i zemdłał.

Lauren mocno ucisnęła stawy jego żuchwy, powodując ból skuteczniejszy od wszelkich soli trzeźwiących. Paul otworzył oczy.

— Chciałbym wyjść — jęknął — ale nogi mam jak z waty i fatalnie się czuję.

Lauren z trudem powstrzymała się od śmiechu i poprosiła anestezjologa, żeby zechciał podać mu tlen.

— To pewnie ten zapach eteru — mówił drżącym głosem Paul. — Bo tu chyba czuć eter, prawda?

Granelli uniósł brwi, podał Lauren maskę i odkręcił dopływ tlenu. Lauren przytknęła maskę do twarzy Paula, który po chwili odzyskał kolory.

— Och, jakie to przyjemne — mruknął. — Doskonale mi to robi, czuję się, jakbym był w górach.

— Zamknij się i głęboko oddychaj.

— To straszne... Te wszystkie dźwięki, które słyszałem, a poza tym worek, tam na górze... wypełnił się krwią...

I Paul znowu zemdłał.

— Może nie powinienem wam przerywać tego uroczego sam na sam, ale najwyższy czas pozszywać pacjenta, tego, który leży na górnej kuszetce!

Norma zastąpiła Lauren „na dole”. Kiedy Paul poczuł się lepiej, osłoniła mu oczy bandażem, pomogła wstać i wyprowadziła ślaniającego się na nogach z sali operacyjnej.

Ułożyła go w jednej z pobliskich sal i uznała, że lepiej zostawić go pod tlenem. Zanim założyła mu maskę na twarz, musiała zaspokoić ciekawość — zapytała, jaka jest jego specjalność. Paul spojrzął na zakrwawiony fartuch pielęgniarki i po raz kolejny zemdłał. Norma poklepała go po twarzy, a kiedy odzyskał zmysły, wróciła do sali operacyjnej.

Wybiła szósta rano, gdy Lorenzo Granelli rozpoczął trudny proces wybudzania pacjenta z narkozy. Po dwudziestu minutach Norma zabrała owiniętego prześcieradłem Arthura na oddział intensywnej opieki.

Lauren opuściła blok operacyjny wraz z anestezyjologiem. Oboje przeszli do przyległej sali. Zdjęli rękawice i fartuchy, umyli ręce. Nie rozmawiali. Dopiero wychodząc, Granelli odwrócił się do Lauren, uważnie na nią spojrzął, a potem powiedział, że gotów jest współpracować z nią, kiedy tylko będzie sobie życzyła, bo bardzo mu się podoba jej styl pracy.

Młoda lekarka przysiadła na brzegu taboretu, kompletnie wyczerpana. Ukryła twarz w dłoniach, a kiedy już została zupełnie sama, wybuchnęła płaczem.

Na oddziałach intensywnej opieki panowała niezmacona cisza wczesnego poranka. Norma wsunęła pacjentowi sondę do nosa i sprawdziła dopływ tlenu. Balon połączony z maską napręzał się i kurczył w rytm oddechu Arthura. Pielęgniarka przykleiła plaster, upewniwszy się, czy dren jest drożny. Sprawdziła kroplówkę, wypełniła kartę pooperacyjną i przekazała pacjenta dyżurnemu pielęgniarzowi, który właśnie zaczynał pracę. W końcu długiego korytarza zobaczyła Fernsteina. Szedł ciężkim krokiem zmęczonego człowieka. Pchnął skrzydło drzwi bloku operacyjnego.

Lauren uniosła głowę i przetarła oczy. Fernstein usiadł obok niej.

— Prawda, że to była ciężka noc?

Lauren patrzyła na sterylne buty, które wciąż jeszcze miała na nogach. Poruszyła nimi jak dwiema śmiesznymi kukiełkami, ale nie odezwała się ani słowem.

Podjęła szaleńcze ryzyko, jednak wynik tej operacji dowodził, że miała rację, ciągnął profesor. Radził, by czerpała z dzisiejszego doświadczenia satysfakcję. Tego wieczoru zebrała wreszcie owoce nauk, których jej udzielał. Zmieszana Lauren patrzyła na profesora, a on wstał i objął ją ramieniem.

— Ocaliła pani życie człowieka, którego ja o mało nie straciłem! Widzi pani, już czas, żebym przeszedł na emeryturę. Przedtem jednak muszę panią jeszcze czegoś nauczyć.

Zmarszczki wokół oczu zdradzały czułość, którą starał się ukryć. Fernstein wstał.

— Naucz się z pogodą ducha przyjmować to, czego nie możesz zmienić, odważnie zmieniać to, co możesz, a przede wszystkim naucz się mądrze odróżniać te dwa stany.

— W jakim wieku osiąga się taką umiejętność? — zapytała starego mistrza.

— Markowi Aureliuszowi udało się u schyłku życia — powiedział, odchodząc z rękami splecionymi na plecach. — A zatem ma pani jeszcze trochę czasu — dodał, zanim zamknęły się za nim wahadłowe drzwi.

Lauren została na chwilę sama. Spojrzała na zegarek i przypomniała sobie o złożonej obietnicy. Pewien inspektor czekał na nią w kafejce na wprost szpitala.

Przechodząc korytarzem, przystanęła przy szklanej ścianie sali intensywnej opieki. Na łóżku, przy zasłoniętym oknie, mężczyzna opłataný przewodami i rurkami wracał do życia, do tak przerażająco kruchego życia. Patrzyła na niego i przy każdym ruchu jego klatki piersiowej czuła niewypowiedzianą radość.

# 12

W rejestracji miejsce Berty zajęła młoda pielęgniarka. Lauren starła swoje nazwisko z tablicy lekarzy dyżurnych. Radiolog, który wykonał dla niej badania, także kończył właśnie pracę. Podeszedł do niej i zapytał, jak przebiegła operacja i czy pacjent ma szanse wyjść z tego bez większego uszczerbku. W drodze do wyjścia Lauren zrelacjonowała mu wydarzenia tej nocy, pominęła jednak potyczkę z Femsteinem. Wspomniała, że profesor nie zdecydował się na usunięcie drobnej anomalii naczyniowej.

Radiolog przyznał, że wcale go to nie dziwi. W jego ocenie zmiana była minimalna i nie uzasadniała podejmowania ryzyka związanego z zabiegiem. „A poza tym z takimi drobnymi defektami doskonale się żyje, czego jesteś najlepszym dowodem”, dodał. Widząc zdziwienie na twarzy Lauren, wyjaśnił, że ona także ma małą, bardzo osobliwą zmianę w płacie ciemieniowo-potylicznym. Fernstein wolał nie zajmować się tą osobliwością, kiedy operował Lauren po wypadku. Radiolog pamiętał to, jakby wydarzyło się wczoraj. Nigdy nie kazano mu wykonać tylu zdjęć tomograficznych i rezonansu magnetycznego dla jednego pacjenta. Było ich naprawdę stanowczo za dużo. Ale nie kwestionuje się poleceń samego szefa kliniki neurologii i neurochirurgii.

- Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedział?
- Nie mam pojęcia, ale wolałbym, żebyś nie wspominała mi o tej rozmowie. W końcu obowiązuje mnie tajemnica lekarska!
- Tym razem przesadziłeś. To moja głowa, a w dodatku też jestem lekarzem!
- Dla mnie byłaś wtedy przede wszystkim pacjentką Fernsteina!

Profesor otworzył okno gabinetu. Zauważył, że jego pupilka przechodzi przez ulicę. Lauren przepuściła jadący ambulans, a potem weszła do baru na wprost szpitala. Jakiś mężczyzna czekał na nią przy tym samym stoliku, przy którym często zdarzało jej się jadać w towarzystwie profesora. Fernstein usiadł w fotelu. Chwilę potem Norma przyniosła mu kartę operowanego nocą pacjenta. Otworzył teczkę i przeczytał znajome nazwisko.

- To on, prawda?
- Obawiam się, że tak — potwierdziła Norma, z której twarzy wycierało napięcie.

— Jest teraz na OIOM-ie?

Norma zabrała kartę chorego.

— Jego stan jest już stabilny, wyniki badania neurologicznego nie wzbudzają żadnych obaw. Lekarz dyżurny zamierza przenieść go na twój oddział już wieczorem, zwłaszcza że brakuje mu łóżek — odparła pielęgniarka.

— Nie możemy dopuścić, żeby zajmowała się nim Lauren, bo chłopak nie zdoła dotrzymać słowa.

— Skoro milczał do tej pory, dlaczego miałyby wygadać się teraz?

— Bo jak dotąd nie musiał ciągle na nią patrzeć, ale jeżeli pozwolimy Lauren go leczyć...

— Co zamierzasz?

Fernstein zamyślił się, wyglądając przez okno.

Lauren właśnie wyszła z baru i wsiadła do mercury'ego grand marquis, zaparkowanego przy krawężniku przed szpita-

lem. Tylko policjant mógł się ośmielić na pozostawienie wozu przed izbą przyjęć. Fernstein uznał, że jego interwencja w sprawie wydarzeń tej nocy jest nieunikniona. Głos Normy wyrwał go z zamyślenia.

— Zmusz ją, żeby wzięła urlop!

— Znasz kogoś, komu się udało zmusić drzewo, żeby usunęło się z drogi lecącym ptakom?

— Nie, ale sama ścięłam takie, które utrudniało mi wjazd do garażu! — odparła Norma, podchodząc do profesora.

— Kiedy wreszcie przestaniesz się o nią zamartwiać, przecież to nie twoja córka! Cóż by się zresztą stało, gdyby poznała prawdę? Gdyby się dowiedziała, że matka wyraziła zgodę na odłączenie aparatury?

— Dowiedziałyby się też, że to ja jestem lekarzem, który przekonał jej matkę do eutanazji! — krzyknął profesor, odpychając Normę.

Pielęgniarka zabrała dokumenty i bez słowa wyszła z gabinetu. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Fernstein podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z administratorem Misji San Pedro Hospital.

Inspektor Pilguez zaparkował na miejscu, które było dla niego zarezerwowane przez wiele lat.

— Proszę powiedzieć Natalii, że czekam tu na nią.

Lauren wysiadła z wozu i weszła do komisariatu. Po kilku minutach do samochodu wsiadła Natalia, Piłguez uruchomił silnik i skierował się na północ.

— Jeszcze parę minut, a miałabym przez was dwoje piekielnych kłopoty.

— Ale przyjechaliśmy w samą porę!

— Możesz mi wytłumaczyć, o co chodzi z tą dziewczyną? Wypuszczasz ją z celi, nawet nie prosząc mnie o zgodę, i znikasz z nią na pół nocy.



— Jesteś zazdrosna? — zapytał stary inspektor, najwyraźniej zachwycony tą myślą.

— Jeżeli któregoś dnia przestanę być zazdrosna, będziesz miał powód do zmartwienia.

— Pamiętasz moją ostatnią sprawę?

— Jakby to było wczoraj! — westchnęła kobieta.

Pilguez wjechał na Geary Expressway. Natalia zauważyła, że dziwnie się uśmiecha.

— To była ona?

— Może.

— Łon?

— Z tego, co przeczytałem w raporcie policyjnym, wynika, że to ten sam mężczyzna. Oględnie mówiąc, ta cholerna para lunatyków ma talent do pakowania się w tarapaty.

Rozpromieniony Pilguez gładził udo przyjaciółki.

— Wiem, że nie przywiązujesz wagi do dyskretnych znaków, jakie daje nam życie, ale przyznaj, że to ekscytujące. A dziewczyna niczego nie kojarzy — ciągnął inspektor. — Jestem zafascynowany. Można by pomyśleć, że nikt nie wspomniał jej słowem o tym, co ten chłopak dla niej zrobił.

— I co ty zrobiłeś dla obojga!

— Ja? Ja przecież nic nie zrobiłem!

— Jeśli pominąć fakt, że odnalazłeś ją w tym domu w Carmelu i przywiozłeś do szpitala, to masz rację — nic nie zrobiłeś. Nie wspomnę nawet, że akta sprawy zniknęły bez śladu.

— Nie mam z tym absolutnie nic wspólnego!

— Prawdopodobnie dlatego znalazłam je na dnie szafy, kiedy robiłam porządk!

Pilguez otworzył okno i zbeształ pieszego, który wtargnął na jezdnię w niedozwolonym miejscu.

— Nie powiedziałaś tej dziewczynie o niczym? — ciągnęła Natalia.

— Miałem to na końcu języka.

— Ale się ugryzłeś?

— Intuicja kazała mi milczeć.

- Mógłbyś od czasu do czasu pożyczyć mi tej intuicji?
- A po co?

Mercury wtoczył się do podziemnego garażu domu, w którym mieszkali inspektor i jego przyjaciółka. Nad zatoką San Francisco wznosiło się słońce barwy słonecznika. Wkrótce jego promienie rozpędzą mgłę spowijającą wczesnym rankiem Golden Gate.

Leżąc na pryczy w celi komisariatu, Lauren zastanawiała się, jak to możliwe, że przez jedną noc przekreśliła szanse na stały etat na neurochirurgii, a zarazem siedem lat ciężkiej pracy?

Kali wstała z wełnianego dywanu. Nie wolno jej było wchodzić do sypialni pani Kline, ale drzwi balkonowe zostały uchylone, więc wymknęła się przez nie i wystawiła pysk przez pręty balustrady. Powiodła ślepiami za mewą, która latała tuż nad wodą, wciągnęła chłodne, poranne powietrze, a potem wróciła do salonu i ułożyła się na dywanie.

Fernstein odłożył słuchawkę. Rozmowa z administratorem szpitala San Pedro potoczyła się tak, jak przewidywał. Kolega obiecał, że poleci Brissonowi wycofać oskarżenia, że przymknie oczy na wypożyczenie ambulansu, natomiast sam zrezygnuje z zamiaru dokonania inspekcji na izbie przyjęć swojego szpitala.

Paul dyskretnie wyprowadził swój samochód z parkingu Misji San Pedro, podjechał pod francuską piekarnię przy Sutter Street, a potem ruszył w stronę Pacific Heights.

Zaparkował przed kamienicą, w której mieszkała pewna staruszka, przeurocza pani. Wczoraj wieczorem ta kobieta uratowała życie jego najlepszemu przyjacielowi. Miss Morrison właśnie wyszła na spacer z Pablem. Paul wysiadł z wozu i poczęstował ją ciepłym rogalikiem, natychmiast przekazując dobre wieści o Arthurze.

Pielęgniarka po cichu weszła do pokoju sto dwa na oddziale intensywnej opieki. Zmieniła worek, w którym gromadził się płyn ściągany z krwiaka, i zanotowała w karcie dane o stanie pacjenta. Z satysfakcją wsunęła różową kartę na miejsce.

Norma zapukała do gabinetu. Fernstein ujął przełożoną pielęgniarkę za rękę i pociągnął za sobą na korytarz. Po raz pierwszy pozwolił sobie wobec niej na poufały gest w szpitalu.

— Mam pomysł — powiedział. — Zjedzmy śniadanie nad oceanem, a potem poleżymy sobie trochę na plaży.

— Nie pracujesz dzisiaj?

— Tej nocy wyczerpałem limit godzin, biorę wolne.

— Muszę uprzedzić w dziale personalnym, że chcę mieć wolny dzień.

— Już to zrobiłem.

Otworzyły się drzwi windy. Dwaj anestezjodzy i chirurg ortopeda, nie przerywając rozmowy, skinęli profesorowi głowami, a on odpowiedział na powitanie, wbrew oczekiwaniom Normy, nie puszczać jej ręki. Oboje wsiedli do windy.

O dziesiątej rano oficer policji wszedł do celi, w której spała Lauren. Doktor Brisson wycofał skargę. Zarząd Misji San Pedro

Hospital nie zamierzał zgłaszać faktu „wypożyczenia” ambulansu. Laweta dostarczyła już triumpha na parking przed komisariatem. Lauren musiała tylko podpisać protokół, a potem mogła wracać do domu.

Przystanąła na chodniku przed posterunkiem, oślepią słońcem. Wokół niej miasto tętniło życiem, a ona czuła się dziwnie samotna. Wsiadła do samochodu i pojechała drogą, z której zjechała ostatniej nocy, by zajrzeć do szpitala San Pedro.

— Czy mogę go zobaczyć? — zapytała miss Morrison, odprowadzając Paula do drzwi.

— Zatelefonuję do pani, kiedy tylko pozwolą na odwiedzinę.

— Lepiej niech pan do mnie wpadnie — powiedziała, wspierając się na jego ramieniu. — Chętnie upiekę ciasteczka, zanieś mu je pan jutro.

Rosę zawróciła, wzięła klucze od mieszkania Arthura i poszła podlać kwiaty. Już teraz brakowało jej młodego sąsiada. Ku jej zdumieniu, Pablo podreptał za nią.

Norma i profesor Fernstein leżeli na białym piasku Baker Beach. On trzymał ją za rękę, obserwując tańczącą na niebie mewę. Ptak rozwinął skrzydła, dając się unieść prądom zstępującym.

— Co cię tak martwi? — zapytała Norma.

— Nic — mruknął Fernstein.

— Kiedy przestaniesz pracować w szpitalu, będziesz mógł robić mnóstwo innych rzeczy: podróżować, wygłaszać odczyty, w końcu zadbać o ogród... jak wszyscy emeryci....

— Kpisz sobie ze mnie?

Fernstein odwrócił się, by uważnie spojrzeć na Normę.

— Liczysz moje zmarszczki? — zapytała.

— Domyślasz się, że nie po to poświęciłem czterdzieści lat życia neurochirurgii, żeby skończyć, przycinając tuje i bugenwille. Ale wzmianka o konferencjach i podróżach nawet mi się podoba, pod warunkiem że będziesz ze mną jeździła.

— Emerytura aż tak cię przeraża, że mi to proponujesz?

— Nie, ani trochę. Pamiętaj, że to ja przyspieszyłem tę chwilę, bo pragnąłem nadrobić stracony czas, chciałem, żeby coś po nas zostało.

Norma uniosła się na łokciu i z rozczuleniem spojrzała na mężczyznę, którego kochała.

— Wallacie Fernsteinie, dlaczego z uporem odmawiasz leczenia? Dlaczego nie chcesz przynajmniej spróbować?

— Normo, błagam, nie wracajmy do tego tematu, podróżujmy sobie, zapomnijmy o konferencjach. A kiedy „krab” ostatecznie mnie pokona, pochowasz mnie tam, gdzie prosiłem. Chcę umrzeć podczas wakacji, a nie przy stole operacyjnym, gdzie spędziłem lwią część życia, a już na pewno nie w amfiteatrze, pośród ludzi.

Norma pocałowała profesora w usta. Oni dwoje na tej pustej plaży byli jak para cudownych, starych kochanków.

Lauren zamknęła za sobą drzwi mieszkania. Tego ranka nie było tu nawet Kali, która radośnie by ją powitała. Światło automatycznej sekretarki pulsowało, więc lekarka włączyła głośnik, ale nie wysłuchała do końca wiadomości nagranej przez matkę. Poszła do alkowy, skąd rozpościerał się widok na zatokę, sięgnęła po telefon komórkowy i wybrała numer. Mewa lecąca znad Baker Beach przysiadła na słupie telegraficznym, tuż za oknem. Ptak przechylił łebek, jakby chciał lepiej ją widzieć, uderzył skrzydłami i odleciał na plażę. Lauren wybrała numer Fernsteina, ale słysząc automatyczną sekretarkę, rozłączyła się. Zatelefonowała do Memoriału, przedstawiła się i poprosiła o połączenie z lekarzem dyżurnym. Chciała dowie-

dzieć się o stan zdrowia pacjenta, którego operowała tej nocy. Neurolog właśnie udał się na obchód, więc podała swój numer, prosząc, aby się z nią skontaktował.

Paul czekał od godziny, siedząc na krześle pod ścianą holu. Odwiedziny zaczynały się dopiero o trzynastej.

Kobieta z zabandażowaną głową tuliła do piersi kopertę z kliszami rentgenowskimi, jakby to był bezcenny skarb.

Tryskające energią dziecko bawiło się samochodzikiem, wykorzystując jako sieć drogową fioletowo-pomarańczowe pasy na dywanie.

Starszy elegancki pan stał ze splecionymi na plecach rękami, uważnie przyglądając się reprodukcjom akwarel. Gdyby nie charakterystyczna szpitalna woń, można by pomyśleć, że to jakaś galeria sztuki.

W korytarzu drzemała na noszach owinięta kocem młoda kobieta, której założono kroplówkę. Czuwali nad nią dwaj stojący obok sanitariusze.

Dziecko chwyciło leżącą na stoliku gazetę i zaczęło drzeć ją na kawałki, robiąc monotony, ale irytujący hałas. Matka nie zwracała uwagi na jego zachowanie, bo zapewne cieszyła ją krótka chwila wytchnienia.

Paul patrzył na wiszący przed nim zegar. Wydawało mu się, że zbliżająca się do niego pielęgniarka ma mu coś do powiedzenia, ona jednak tylko się uśmiechnęła i stanęła przed dystrybutorem z napojami. Ponieważ długo szperała po kieszeniach, szukając drobnych, Paul wstał i podszedł do niej. Wrzucił monetę i pytająco spojrzął na pielęgniarkę, zawieszając palec nad przyciskami.

— Red buli! — rzuciła zaskoczona.

— Jest pani aż tak zmęczona? — zapytał, wybijając szereg cyfr, by wydostać napój z maszyny.

Potem nastąpiła seria zgrzytów, butelka przesunęła się i opadła do pojemnika. Paul wydobył ją i podał pielęgniarce.

— Oto pani napój energetyzujący.  
— Mam na imię Nancy! — powiedziała, dziękując mu uśmiechem.

— Znam już pani imię z identyfikatora — odparł ponuro.

— Czy coś się stało? — spytała.

— Czekam!

— Na lekarza?

— Na oficjalną godzinę odwiedzin.

Pielęgniarka rzuciła okiem na zegarek.

— Do kogo pan przyszedł?

— Do Arthura...

Ale zanim zdążył podać nazwisko, Nancy skinęła ręką i pociągnęła go za sobą w głąb korytarza.

— Wiem, o kim pan mówi, proszę za mną! Zaprowadzę pana, regulamin ma sens, pod warunkiem że od czasu do czasu się go narusza.

Podeszła do drzwi pokoju trzysta siedem.

— Powinni byli zatrzymać go na oddziale intensywnej opieki do wieczora, ale lekarz dyżurny uznał, że jego stan jest zadowalający, więc odesłał pacjenta do nas. Ciągnęliśmy zapalki i ja wygrałam.

Paul patrzył na nią, nie rozumiejąc.

— Co pani wygrała?

— Zajmuję się nim! — oznajmiła, mrugając okiem.

Szafa, wyplatane krzesło i stolik na kółkach stanowiły umeblowanie pokoju. Arthur spał, oddychając przez rurkę, która doprowadzała tlen do jego nosa. Był podłączony do kroplówki. Głowę miał odwróconą na bok i zabandażowaną. Paul zbliżył się do niego bardzo wolno, starając się panować nad emocjami. Przyniósł do łóżka krzesło. Gdy patrzył na pogrążonego we śnie Arthura, pamięć podsuwała mu wiele wspomnień, obrazy wspólnie spędzonych chwil.

— Pewnie wyglądam tragicznie? — wyszeptał Arthur, nie otwierając oczu.

Paul kaszlnął.

— Jak maharadża, który zdrowo sobie popił.  
— Jak się miewasz?  
— Kogo to obchodzi? Powiedz lepiej, co z tobą!  
— Boli mnie głowa i jestem piekielnie zmęczony — odparł bełkotliwym głosem Arthur. — Zepsułem ci wieczór, co?  
— W pewnym sensie, ale przede wszystkim napędziłeś mi strachu.

— Nie rób takiej zbolącej miny, Paul.  
— Przecież masz zamknięte oczy!  
— Widzę cię mimo to. I przestań się zamartwiać, lekarze mi powiedzieli, że kiedy krwiał się wchłonie, szybko wrócę do zdrowia. To najlepszy dowód!

Paul podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na szpitalny ogród. Alejką obsadzoną kwiatami szła wolno jakaś para. Mężczyzna miał na sobie szlafrok, kobieta podtrzymywała go. Usiedli na ławce, pod lipą. Paul nadal wyglądał przez okno.

— Wciąż jeszcze mam za dużo wad, żeby spotkać kobietę mojego życia, ale bardzo chciałbym się zmienić.

— Co chciałbyś zmienić?  
— Na przykład wyzbyć się egoizmu, który każe mi mówić o sobie, kiedy stoję przy twoim łóżku w szpitalu. Chciałbym być taki jak ty.

— Zazdrościsz mi tego turbanu na głowie i piekielnej migreny?

— Chciałbym umieć odprężyć się, wyzbyć tego cholernego strachu, który skręca trzewia, i traktować wady drugiego człowieka jak drobne niedogodności.

— Chyba mówisz o miłości?  
— O czymś w tym rodzaju, tak... To, co zrobiłeś, jest niesamowite!

— Bo dałem się przejechać tej przyczepie?  
— Bo kochałeś, nie otrzymując nic w zamian. Potrafiłeś żyć uczuciem, które tliło się w tobie, uszanowałeś jej wolność, cieszyłeś się, myśląc, że gdzieś jest, ale nawet nie próbowałeś się z nią spotkać. A wszystko wyłącznie po to, żeby ją chronić.



— Wcale nie chciałem jej chronić, Paul. Pragnąłem tylko dać jej czas, by mogła się spełnić. Gdybym powiedział prawdę, gdybyśmy przeżyli całą tę historię, oderwałbym ją od jej życia.

— I wciąż będziesz na nią czekał?

— Tak długo, jak zdołam.

Pielegniarka, która po cichu weszła do pokoju, dała Paulowi znak, że czas wizyty dobiega końca. Arthur potrzebował wypoczynku. Wbrew swym obyczajom Paul nie próbował się z nią targować. W progu zatrzymał się jeszcze, odwrócił i spojrział na Arthura.

— Nigdy więcej nie rób mi takich numerów.

— Paul!

— Słucham?

— Ona tu była tej nocy, prawda?

— Teraz odpocznij, pogadamy o tym później.

Paul szedł korytarzem ze zwieszoną głową. Przy windzie dogoniła go Nancy. Weszła do kabiny i wcisnęła guzik drugiego piętra. Spuściła oczy, wpatrując się w podłogę.

— Jest pan całkiem przystojny — rzuciła.

— A nie widziała mnie pani jeszcze w przebraniu chirurga!

— Nie, ale słyszałam waszą rozmowę.

A ponieważ Paul zdawał się nie rozumieć, co próbowała mu powiedzieć, spojrzała mu prosto w oczy i dodała, że dobrze mieć takiego przyjaciela jak on. Kiedy drzwi kabiny zaczęły się rozsuwać, wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek, a potem uciekła.

Profesor Fernstein zostawił Lauren wiadomość na automatycznej sekretarce. Zależało mu na jak najszybszym spotkaniu. Powiedział, że wpadnie wieczorem. Rozłączył się, nie podając powodów tej nagłej wizyty.

— Nie wiem, czy powinniśmy to robić — powiedziała pani Kline.

Fernstein schował telefon komórkowy.

— Nie sądzi pani, że już za późno na zmianę linii postępowania? Nie może się pani narażać na powtórny utratę córki, zawsze to pani powtarzała, prawda?

— Sama już nie wiem, może wyznając jej wreszcie prawdę, oboje zrzucilibyśmy z siebie ten potworny ciężar.

— Wyznać komuś swój grzech, żeby ulżyć sumieniu, to wspinała idea, przede wszystkim jednak — czysty egoizm. Jako matka może się pani obawiać, że córka pani nie wybaczy. Ja nie mogę znieść myśli, że kiedyś dowie się, że się poddałem, że chciałem ją odłączyć.

— Postępował pan zgodnie ze swą wiedzą i sumieniem, nie ma pan sobie nic do zarzucenia.

— Ale to nie ta prawda jest najważniejsza — ciągnął profesor. — Gdybym znalazł się na jej miejscu, gdyby mój los zależał od jej lekarskiej decyzji, to z pewnością — wiem o tym — nigdy by się nie poddała.

Matka Lauren usiadła na ławce, Fernstein poszedł w jej ślady. Spojrzenie starego profesora błędziło po spokojnych wodach małego portu.

— W najlepszym razie zostało mi jeszcze półtora roku! Kiedy odejdę, sama pani zdecyduje, jak postąpić!

— Wydawało mi się, że przechodzi pan na emeryturę z końcem roku?

— Nie mówię o emeryturze.

Pani Kline położyła dłoń na rękę starego profesora. Jego palce drżały. Sięgnął po chusteczkę i otarł czoło.

— Przez tych czterdzieści lat ocaliłem wielu ludzi, ale sądzę, że nigdy ich nie lubiłem, chciałem tylko leczyć. Odnosiłem zwycięstwo nad śmiercią i chorobą, byłem od nich silniejszy — aż dotąd. Nie zdobyłem się nawet na to, żeby spółdzić dziecko. To przecież porażka dla kogoś, kto twierdzi, że poświęcił się życiu!

— Dlaczego spośród tylu uczniów wybrał pan właśnie moją córkę?

— Ponieważ zawsze pragnąłem być taki jak ona. Jest odważna, podczas gdy ja byłem tylko wytrwały i uparty, potrafi tworzyć, gdy ja tylko powtarzałem, ona przeżyła, a ja umrę i piekielnie boję się śmierci. Budzę się nocą i czuję błąd strach. Chętnie kopałbym te drzewa, które mnie przeżyją. Nie zrobiłem tylu rzeczy!

Pani Kline wzięła profesora za rękę i poprowadziła go alejką.

— Dokąd idziemy?

— Proszę po prostu za mną iść i nic nie mówić.

Prowadziła go wzdłuż nabrzeża Mariny. Przed nimi, w pobliżu wodospadu, rozpościerał się skwer, na którym roilo się od małych dzieci. Trzy huśtawki wzbijały się pod niebo dzięki nadludzkim wysiłkom popychających je rodziców. Zjeżdżalnia nie pustoszała ani na chwilę mimo starań dziadka, który próbował kierować ruchem. Mali robinsonowie szturmowali konstrukcję z drewna i lin, jakiś chłopczyk krzyczał z przerażenia, bo utknął w czerwonej rurze. Nieco dalej matka bezskutecznie namawiała swojego cherubina, żeby wyszedł z piaskownicy i zjadł podwieczorek. Wokół młodej opiekunki wirował piekielny krąg małych dzikusów, którzy wyli jak Indianie zamierzający oskalpować jeńca. Dwaj chłopcy kłócili się o piłkę. Wszystkie te płacze, wrzaski, okrzyki i śmiechy tworzyły niesamowity chór.

Pani Kline oparła się o balustradę i obserwowała to niewielkie piekiełko. Uśmiechając się z rozczuleniem, spojrzała na Fernsteina.

— Widzi pan, nie stracił pan wszystkiego!

Dziewczynka, która galopowała na koniku na resorach, odwróciła głowę. Jej tata otworzył furtkę prowadzącą na plac zabaw. Zeskoczyła z rumaka, wybiegła mu naprzeciw i padła w ramiona. Mężczyzna podniósł ją, a dziecko przytuliło się, wciskając główkę w jego pierś. Ten banalny gest wzruszał szczerością i spontanicznością.

— Kusząca perspektywa — uśmiechnął się profesor.

Spojrzał na zegarek i pożegnał panią Kline — musiał zdążyć na spotkanie z Lauren. Wiedział, że jego decyzja, choć podjęta

dla jej dobra, doprowadzi ją do szafu. Pani Kline obserwowała go, gdy szedł samotnie przez park, a potem skręcił na parking i wszedł do samochodu.

Drzewa przy Green Street ugiwały się pod ciężarem liści. O tej porze roku ulica oszałamiała bogactwem kolorów. Ogrody przed wiktoriańskimi kamienicami pełne były kwiatów. Profesor podszedł do domofonu, przedstawił się, usłyszawszy głos Lauren, i wszedł na górę. Siedząc na kanapie w salonie, z powagą oznajmił Lauren, że została zawieszona. Przez dwa tygodnie nie ma prawa zbliżyć się do Memoriał Hospital. Ale Lauren nie chciała mu wierzyć, bo taka decyzja mogła zostać podjęta jedynie przez komisję dyscyplinarną, przed którą miałyby prawo się bronić. Fernstein poprosił, żeby go wysłuchała. Bez większego trudu nakłonił administratora Misji San Pedro do rezygnacji z oskarżania doktor Kline. Żeby jednak przekonać Brissona, by wycofał oskarżenie, potrzebna była moneta przetargowa. Lekarz zażądał przykładowego ukarania Lauren. Dwa tygodnie bezpłatnego urlopu wydawały się błahostką w porównaniu z tym, na co byłaby narażona, gdyby nie udało się wyciszyć sprawy. Nie wątpił, że bezczelność Brissona doprowadza ją do szafu. Lauren, oburzona targami, które pozwoliły temu łajdakowi uniknąć odpowiedzialności za niesłuchane wprost zaniedbania i brak kompetencji, rozumiała, że profesor pragnie, by cała ta sprawa nie odbiła się na jej karierze.

Pogodziła się z rzeczywistością i przyjęła wyrok. Fernstein kazał jej obiecać, że dotrzyma umowy — w żadnym wypadku nie pojawi się w okolicy szpitala, nie będzie próbowała kontaktować się ze współpracownikami. Nie wolno jej było nawet zaglądać do Parisian Coffee.

Kiedy Lauren zapytała, co wolno jej robić przez te dwa tygodnie spisane na straty, Fernstein uśmiechnął się ironicznie i powiedział, że w końcu będzie mogła wypocząć. Lauren

spojrzała na profesora z wdzięcznością, ale i gniewem — ocalił ją i pognębił. Rozmowa trwała najwyżej kwadrans. Fernstein pochwalił ją za wystrój mieszkania, znacznie bardziej kobiecego, niż się spodziewał. Lauren dość obcesowo wskazała mu drzwi. W progu profesor dodał, że polecił telefonistkom, by nie łączyły jej z nikim z kliniki. Przez te dwa tygodnie nie wolno jej było wykonywać zawodu, nawet przez telefon. Mogła natomiast wykorzystać czas na intensywną naukę i studiowanie tematów, które musiała zaliczyć przed zakończeniem specjalizacji.

W drodze powrotnej Fernstein poczuł gwałtowny ból. „Krab”, który go zżerał, właśnie ukaślił. Profesor wykorzystał przymusowy postój na skrzyżowaniu, by otrzeć pot, który zrosił mu czoło. Jakiś niecierpliwy kierowca użył klaksonu, żeby go ponaglić, kiedy zmieniły się światła, ale Fernstein nie był w stanie wcisnąć pedału gazu. Otworzył okno i głęboko odechnął, wciąż jednak brakowało mu powietrza. Ból był przejmujący, stary lekarz widział jak przez mgłę. Resztkami się zjechał na prawy pas i zatrzymał się na parkingu przed kwaciarnią.

Wyłączył silnik, rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli i oparł głowę o kierownicę. Tej zimy chciał zabrać Normę w Aloy i jeszcze raz zobaczyć śnieg. Potem zawiózłby ją do Normandii. Jego wuj, lekarz, który w dzieciństwie był mu bardzo bliski, spoczywał na tamtejszym cmentarzu, pośród dziesięciu tysięcy poległych. Ból zaczynał ustępować, więc Fernstein uruchomił samochód i pojechał dalej, modląc się, żeby taki atak nie dopadł go podczas operacji.

Szare audi zbliżało się do Mariny w ciepły wieczór. O tej porze alejkami ciągnącymi się wzdłuż portu biegało sporo

uroczych dziewczyn. Pośród biegaczy spacerowała z psem młoda kobieta. Paul zaparkował i podszedł do niej.

Lauren była zamyślona i kiedy się do niej zbliżył, drgnęła.

— Nie chciałem pani przestraszyć — powiedział. — Przepraszam...

— Dziękuję, że tak szybko znalazł pan dla mnie czas. Jak on się czuje?

— Lepiej. Przewieziono go już z OIOM-u, jest przytomny i chyba nie odczuwa bólu.

— Rozmawiał pan z lekarzem dyżurnym?

Paulowi udało się pomówić tylko z pielęgniarką, która zapewniała, że nie ma powodu do niepokoju. Arthur szybko wracał do zdrowia. Jutro miała odłączyć go od kroplówki i podjąć próbę normalnego żywienia.

— To dobry znak — powiedziała Lauren, spuszczać Kali ze smyczy.

Suka pobiegła za mewami, które krążyły tuż nad trawnikiem.

— Wzięła pani wolny dzień?

Lauren wyjaśniła, że ich „akcja” kosztowała ją dwa tygodnie zawieszenia. Paulowi zabrakło słów.

Przez chwilę szli obok siebie, oboje milczący i zamyśleni.

— Zachowałem się jak tchórz — wyznał w końcu. — Nie wiem nawet, jak pani podziękować za wszystko, co pani zrobiła tamtej nocy. To moja wina. Jutro zgłoszę się na policję i powiem, że pani nie ma z tym porwaniem nic wspólnego.

— Spóźnił się pan, bo Brisson wycofał oskarżenie, zażądał tylko kary dyscyplinarnej. Lizus z pierwszej ławki do końca życia przy lada okazji podnosi rękę.

— Bardzo mi przykro — powiedział Paul. — Może jednak mogę jeszcze coś zrobić?

Lauren przystanęła i spojrzała mu prosto w oczy.

— A mnie wcale nie jest przykro! Chyba nigdy nie żyłam tak intensywnie, jak przez te ostatnie godziny!

Zbliźali się właśnie do budki z lodami i napojami. Paul zamówił wodę sodową, Lauren lody truskawkowe. Usiedli

przy drewnianym stole, a tymczasem Kali próbowała nakłonić do wspólnej zabawy wiewiórkę, która przypatrywała się jej z drzewa.

— Łączy was wspaniała przyjaźń.

— Praktycznie nie rozstajemy się od dzieciństwa, nie licząc tych miesięcy, które Arthur spędził we Francji.

— Miłość czy interesy?

— Interesami zajmuję się głównie ja, on woli ucieczki.

— A przed czym uciekał?

Paul spojrział jej w oczy.

— Przed panią!

— Przede mną?! — zapytała zdumiona.

Paul wypił łyk wody sodowej i otarł usta wierzchem dłoni.

— Przed kobietami! — poprawił się i spuścił głowę.

— Przed wszystkimi kobietami? — uśmiechnęła się Lauren.

— Zwłaszcza przed jedną.

— Zerwanie?

— Jest bardzo skryty, zabiłby mnie, gdyby usłyszał, co teraz mówię.

— W takim razie zmieńmy temat.

— A pani? — zapytał Paul. — Czy w pani życiu jest jakiś mężczyzna?

— Czyżby pan mnie podrywał? — odpowiedziała pytaniem, coraz bardziej rozbawiona.

— Wykluczone! Mam alergię na psia sierść.

— Mam kogoś. Nie zajmuje zbyt wiele miejsca w moim życiu — powiedziała Lauren — ale sądzę, że potrafi to sobie wynagrodzić. Godziny pracy nie zostawiają mi praktycznie czasu na sprawy osobiste. Trudno być lekarzem i prowadzić życie prawdziwej kobiety. To prawie niemożliwe.

— A ja z upływem lat dochodzę do wniosku, że to samotność, nawet najlepiej zamaskowana, powoduje, że tracimy mnóstwo czasu. Praca nie może pozostawać celem samym w sobie.

Lauren przywołała Kali, która za bardzo się oddaliła. Potem zwróciła oczy na Paula.

— Z perspektywy ostatniej nocy trudno mi powiedzieć, czy pański przyjaciel podziela te poglądy. Poza tym za słabo się znamy, żeby prowadzić takie rozmowy.

— Przepraszam, nie zamierzałem prawić morałów, ale po prostu...

— Co takiego? — wpadła mu w słowo.

— Nic!

Lauren wstała i podziękowała Paulowi za lody.

— Mogę pana o coś zapytać? — rzuciła.

— O co tylko pani zechce.

— Wiem, że to zabrzmiało dość dziwnie, ale czy mogę zadzwonić do pana od czasu do czasu, żeby dowiedzieć się, jak czuje się mój pacjent? Nie wolno mi telefonować do szpitala...

Twarz Paula rozbrzmiała w uśmiechu.

— Dlaczego pan tak na mnie patrzy? — zapytała Lauren.

— Obawiam się, że znamy się zbyt słabo, żeby móc o tym rozmawiać.

Przez kilka minut szli w milczeniu.

— Proszę dzwonić, kiedy tylko pani zechce... Zna pani mój numer!

— Przepraszam, podała mi go Berty, był w karcie przyjęcia pańskiego przyjaciela w rubryce „powiadomić w razie potrzeby”.

Paul zapisał na odwrocie wyciągu bankowego swój numer domowy i podał kartkę Lauren, powtarzając, że może dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Schowała kartkę do kieszeni dzinśów, podziękowała i odeszła alejka.

— A pani pacjent nazywa się Arthur Asby — rzucił za nią niemal natrętnie Paul.

Lauren pokiwała głową, pożegnała go przyjacielskim gestem ręki i zaczęła rozglądać się za Kali. Kiedy była już dość daleko, Paul zadzwonił do Memoriał Hospital. Poprosił o połączenie z dyżurką pielęgniarek w klinice neurologii. Miał ważną wiadomość dla pacjenta z pokoju trzysta siedem. Należy mu ją przekazać możliwie najszybciej, choćby w nocy, gdyby się właśnie obudził.



— Co to za wiadomość? — zapytała pielęgniarzka.

— Proszę mu powiedzieć, że podryw mu się udał!

I uradowany, rozłączył się. Wtedy zauważył kobietę, która patrzyła na niego, trochę smutna, trochę gniewna. Paul rozpoznał ją, gdy wstała z ławki, by ruszyć w stronę ulicy. Dzieliło ich zaledwie kilka metrów, kiedy Onega zatrzymała taksówkę. Wsiadła, zanim zdążył ją dogonić.

— Cholera! — zaklął, rozglądając się po pustym parkingu przy Marinie.

# 13

W barze panowały pustki. W głębi sali pianista grał melodię Duke'a Ellingtona. Onega odsunęła pusty kieliszek i poprosiła barmana o jeszcze jedno martini.

— Nie za wcześnie na trzecią kolejkę? — zapytał, podając jej kieliszek.

— Czyżbyś znał odpowiednią porę na rozpacz?

— Większość klientów przychodzi tu raczej zapomnieć o troskach mijającego dnia dopiero pod wieczór.

— Ale ja jestem Ukrainką — powiedziała Onega, unosząc kieliszek — a my nostalgię otaczamy kultem, o jakim wam się nawet nie śniło. Do tego trzeba czułej duszy, wy tak nie potraficie!

Onega odeszła od baru i oparła się o pianino. Muzyk grał teraz Nata Kinga Cole'a. Uniosła kieliszek i wychyliła go do dna. Pianista skinął na barmana, żeby podał jej następnego drinka, a potem zaczął śpiewać. Z upływem godzin w barze przybywało gości. Było już ciemno, kiedy pojawił się tu Paul. Podeszedł do Onegi, udając, że nie widzi, jak jest pijana.

— Psisko przychodzi przeprosić z podkulonym ogonem — rzuciła.

— Sądziłem, że wy tam na Wschodzie macie mocne głowy.

— Wciąż jestem dla ciebie zagadką, więc nieważne, co sobie wyobrażałeś.

— Wszędzie cię szukałem — mówił, podtrzymując ją, bo zaczęła się chwiać na taborecie.

— Iw końcu mnie znalazłeś! Masz nosa!

— Chodź, odprowadzę cię do domu.

— Miałeś za mało wrażeń, więc wpadłeś zabawić się ze swoją rosyjską lalką? To bardzo praktyczne: wystarczy otworzyć tę, która jest na wierzchu i wyjąć mniejszą, tak?

— Co ty bredzisz?! Byłem u ciebie, dzwoniłem na komórkę, zaglądałem do wszystkich restauracji, o których wspominałaś, w końcu przypomniałem sobie o tym barze.

Onega wstała, opierając się o blat.

— Ale po co, Paul? Widziałam cię w Marinie, z tą dziewczyną. Błagam, nie mów mi, że to nie to, o czym myślę. Nie znoszę takich banalnych kłamstw.

— Bo to nie to, o czym myślisz! Tę kobietę już od lat kocha Arthur.

Onega przyglądała mu się z uwagą. Z jej oczu wycierała rozpacz.

— A kogo ty kochasz? — zapytała, dumnie unosząc głowę.

Paul położył na ladzie pieniądze i wziął ją pod rękę.

— Chyba zaraz zwymiotuję — jęknęła Onega, pokonując parę metrów chodnika między barem a samochodem.

Paul zauważył na lewo od baru mroczny zaułek. Zabrał tam Onegę. Nierówny bruk lśnił w ciemnościach. Nieco dalej leżały drewniane skrzynie, za którymi mogli się ukryć przed spojrzemieniami nielicznych przechodniów. Paul podtrzymywał Onegę nad kratką ściekową, czekając, aż wyrzuci z siebie nadmiar żalu. Kiedy skończyła, wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa i otarł jej usta. Onega wyprostowała się, dumna i jakby obca.

— Odwieź mnie do domu!

Kabriolet jechał 0'Farell. Wiatr rozwiał włosy Onegi i przywrócił rumieńce na jej twarz. Minęło sporo czasu, zanim Paul zatrzymał się przed niewielką kamienicą, w której mieszkała jego przyjaciółka. Wyłączył silnik i spojrzał jej prosto w oczy.

— Nie okłamałem cię — powiedział, przerywając milczenie.

— Wiem! — szepnęła.  
— Czy naprawdę musiałaś to robić?  
— Może kiedyś zdołasz mnie poznać. Nie zapraszam cię na górę, bo nie czuję się w tej chwili na siłach przyjmować gości.  
Wysiadła i poszła w stronę domu. Przed wejściem odwróciła się i uniosła w górę chusteczkę Paula.  
— Mogę ją zatrzymać?  
— Nie przejmuj się byle głupstwem, po prostu ją wyrzuć.  
— U nas nigdy nie wyrzuca się pierwszego dowodu miłości.  
Onega zniknęła za drzwiami. Paul czekał, aż wejdzie na górę i zapali światło w mieszkaniu. Dopiero potem odjechał opustoszałą ulicą.

Inspektor Pilguez zapiął piżamę i przejrzał się w dużym lustrze w sypialni.

— Do twarzy ci w niej — powiedziała Natalia. — Byłam tego pewna, kiedy zobaczyłam ją w sklepie.

— Dziękuję. — George pocałował ją w czubek nosa.

Natalia sięgnęła do szuflady nocnego stolika i wyjęła z niej szklany słoiczek i łyżeczkę.

— George! — powiedziała rozkazującym tonem.

— O nie! — jęknął.

— Obiecałeś! — nie ustępowała, wpychając mu łyżeczkę do ust.

Ostra musztarda zaatakowała jego kubki smakowe, w oczach inspektora zakręciły się łzy. Gniewnie tupnął, robiąc głęboki wdech nosem.

— Boże drogi, ależ to świństwo jest ostre!

— Przykro mi, kochanie, ale bez tego chrapiesz przez całą noc! — powiedziała Natalia, która zdążyła już ułożyć się w łóżku. — No, czas spać!

Na najwyższym, trzecim piętrze wiktoriańskiej kamienicy na Pacific Heights, młoda lekarka czytała, leżąc w łóżku. Jej suczka Kali spała na dywanie, znużona monotonnym szmerem deszczu, którego krople spływały po szybach. Po raz pierwszy od dawna Lauren odłożyła rozprawy z dziedziny neurologii, potrzebne do jej pracy doktorskiej, i sięgnęła po kupione w księgarni medycznej opracowania na temat śpiączki.

Pablo zwinął się w kłębek pod fotelem, w którym zasnęła miss Morrison. Smok z *Zamku Fu Manchu* na próżno popisywał się swoimi sztuczkami — tego wieczoru walkę wygrał morfeusz.

Onega pochyliła się nad umywalką i nabrała wody w dłoń. Opłukała twarz, wyprostowała się, przejrzała w lustrze. Wygładziła palcami policzki, naciągnęła skórę na skroniach, musnęła drobną zmarszczkę koło oka. Czubkiem palca wiodła po obrysie ust, potem w dół, po szyi, naprężając skórę, żeby zmusić się do uśmiechu. W końcu wyłączyła światło.

Ktoś zapukał do drzwi jej kawalerki. Onega przeszła przez swój jedyny pokój, który pełnił rolę salonu i sypialni, upewniła się, czy drzwi są zamknięte na łańcuch, i uchyliła je. Paul chciał się tylko upewnić, czy wszystko jest w porządku. Dopóki człowiek nie umrze, odparła Onega, ze wszystkim można sobie poradzić. Wpuściła go, a kiedy odwróciła się, zamknąwszy drzwi, na jej ustach pojawił się uśmiech, który nie miał nic wspólnego z żalonymi grymasami, jakie stroiła przed zaporowanym lustrem w łazience.

W Memoriał Hospital pielęgniarka weszła do pokoju trzysta siedem, zmierzyła Arthurowi ciśnienie i wyszła. Przez okno zaglądały pierwsze promyki słońca, które wstawało nad ogrodem.

Lauren przeciągnęła się leniwie. Zaspana, uniosła powieki, chwyciła poduszkę i wtuliła się w nią. Zerknęła na budzik, odrzuciła kołdrę i przewróciła się na bok. Kali wskoczyła do łóżka i ułożyła się tuż obok pani. Robert otworzył oczy, ale natychmiast je zamknął. Lauren wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć jego ramienia, jednak powściągnęła ten gest i odwróciła się do okna. Żłociste światło, które przenikało przez żaluzje, zapowiadało piękny dzień.

Usiadła na brzegu łóżka i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nie ma dziś dyżuru.

Wyszła z sypialni, stanęła przy kuchennym blacie, włączyła czajnik elektryczny i czekała, aż zagotuje się woda.

Wyciągnęła rękę po telefon, ale spojrzała na zegar na piekarniku i powstrzymała się. Nie było jeszcze ósmej, nie zastanie Berty w dyżurce.

Godzinę później biegła spokojnie alejkami Mariny. Kali z wywieszonym językiem starała się dotrzymać jej kroku.

Lauren powiodła wzrokiem za dwiema karetkami, które przejechały na sygnale. Chwyciła telefon komórkowy, który wisiał na smyczy na jej szyi. Słuchawkę podniosła Berty.

Pracownicy izby przyjęć wiedzieli o zastosowanych wobec Lauren sankcjach. Zespół chciał nawet podpisać petycję, domagając się natychmiastowego przywrócenia jej do pracy, ale przełożona pielęgniarek, która dobrze знаła Fernsteina, przekonała pracowników, żeby odstąpili od tego zamiaru. Nie przerywając biegu, Lauren uśmiechnęła się, wzruszona tą postawą, która dowodziła, że nie jest tylko anonimowym członkiem zespołu. Betty opowiadała jej o wszystkim, co się dzieje,

wykorzystała więc okazję, żeby przemycić pytanie o pacjenta z pokoju trzysta siedem. Betty zamilkła.

— Mało miałaś przez niego kłopotów?

— Betty!

— Jak chcesz. Nie byłam jeszcze na górze, ale zadzwonię do ciebie, kiedy się czegoś dowiem. Na razie mamy spokój. A co u ciebie?

— Uczę się robić różne bezsensowne rzeczy.

— Na przykład?

— Dziś rano poświęciłam ponad dziesięć minut na makijaż.

— No i co? — zapytała ciekawa odpowiedzi Betty.

— Natychmiast go zmyłam!

Betty wkładała karty chorych do przegródek lekarzy, podtrzymując słuchawkę ramieniem.

— Przekonasz się, że te dwa tygodnie odpoczynku pomogą ci znowu cieszyć się drobnymi przyjemnościami życia.

Lauren przystanęła przy budce z lodami, żeby kupić wodę mineralną. Opróżniła butelkę niemal duszkiem.

— Obyś miała rację, bo już po jednym poranku bezczynności zaczynam bzikować. Teraz właśnie biegam i modłę się, żeby przynajmniej mieć wokół siebie ludzi.

Betty obiecała, że zadzwoni, kiedy dowie się czegoś nowego, ale teraz musiała kończyć, bo podjechały dwie karetki. Lauren rozłączyła się. Oparła stopę na ławce i wiążąc sznurowadło, zastanawiała się, czy ta troska o zdrowie człowieka, którego jeszcze wczoraj nie znała, naprawdę wynika z poczucia odpowiedzialności.

Paul wziął kluczyki od samochodu i wyszedł z biura. Uprzedził Maureen, że przez całe popołudnie ma spotkania, postara się jednak wpaść pod koniec dnia. Pół godziny później wszedł do holu San Francisco Memorial Hospital i wbiegł na pierwsze piętro, przeskakując po cztery schody, na drugie — po trzy,

a już tylko po jednym — na trzecie. Ogarnięty złością, obiecał sobie, że od najbliższego weekendu będzie regularnie chodził do siłowni. Natknąwszy się na Nancy, która wychodziła właśnie z pokoju chorych, pocałował ją w rękę i oddalił się, zostawiając osłupiałą dziewczynę na korytarzu. Wszedł do pokoju Arthura i zbliżył się do łóżka.

Najpierw udawał, że reguluje kroplówkę, potem ujął Arthura za rękę i patrząc na zegarek, bawił się w mierzenie pulsu.

— Pokaż język — rzucił wesołowato.

— Może mi powiesz, co to za gra? — zapytał Arthur.

— Kradłem ambulanse, porywałem nieprzytomnych ludzi, a teraz zaczynam się specjalizować. Szkoda, że przegapiłeś najlepsze. Nie widziałeś mnie w zielonym fartuchu, masce i tej uroczej czapeczce na głowie. Wyglądałem zabójczo!

Arthur usiadł na łóżku.

— Naprawdę byłeś przy operacji?

— Szczerze mówiąc, wyobrażamy sobie, że medycyna to coś niesamowitego, ale chirurg czy architekt to jedno i to samo — wszystko jest kwestią pracy zespołu! Brakowało im ludzi, a ja byłem pod ręką, nie mogłem beczynnym siedzieć, więc pomagałem.

— A Lauren?

— Jest niezwykła. Zniczula, tnie, zszywa, reanimuje, i to z jakim temperamentem! Praca z nią to ogromna przyjemność.

Arthur spojrzał na niego posępnie.

— Co się stało? — zaniepokoił się Paul.

— Przeze mnie będzie miała kłopoty!

— Owszem, i nareszcie będziecie kwita! Czy nie wydaje ci się fascynujące, że jedyną osobą, o którą się nie martwicie, zarządzając sobie te wieczorki, jestem ja?

— Miałaś jakieś kłopoty?

Paul kaszlnął i uniósł Arthurowi powiekę.

— Dobrze wyglądasz! — oznajmił, przybierając ton lekarza.

— Jak się z tego wymigałeś? — nie ustępował Arthur.

— Jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć, to zachowałem się



jak gówniarz. Kiedy policja pojawiła się przy drzwiach bloku operacyjnego, ukryłem się pod stołem i dlatego musiałem zostać tam do końca zabiegu. Prawdę mówiąc, jeżeli odliczyć wszystkie omdlenia, patrzyłem na to przez dobrych pięć minut. To jej zawdzięczasz życie, ja niewiele zdziałałem.

Do pokoju weszła Nancy. Zmierzyła Arthurowi ciśnienie i zapytała, czy nie zechciałby wstać i na próbę zrobić paru kroków. Paul zaproponował, że mu w tym pomoże.

Doszli do końca korytarza. Arthur czuł się dobrze, odzyskał równowagę i chciał nawet kontynuować spacer. Idąc przez szpitalny park, poprosił Paula, żeby wyświadczył mu dwie przysługi...

Paul wyszedł, kiedy tylko Arthur wrócił do łóżka. Po drodze wstąpił do kwiaciarni przy Union Street. Zamówił bukiet z białych piwonii i wsunął między kwiaty kartkę, którą Arthur wręczył mu w kopercie. Kwiaty miały zostać doręczone przed wieczorem. Potem zawrócił do Mariny i zaparkował przed klubem wideo. Około siódmej wieczorem odwiedził Rosę Morrison i przekazał jej informacje na temat Arthura, a także wręczył ostatnią część przygód w *Zamku Fu Manchu*.

Lauren leżała na dywanie, pracując nad doktoratem. Jej matka siedziała na kanapie w salonie i przeglądała kolorowe czasopisma. Od czasu do czasu zerkała na córkę.

— Co ci strzeliło do głowy? Jak mogłaś zrobić coś takiego? — zapytała, rzucając pismo na stolik.

Lauren milczała, nie przerywając robienia notatek w skoroszycie.

— Przecież mogłaś sobie zrujnować karierę, wszystkie lata pracy poszłyby na marne, i w imię czego? — zżymała się matka.

— A ty straciłaś wiele lat przy mężu. I jeśli się nie mylę, nie uratowałaś tacie życia?

Matka Lauren wstała.

— Wyprowadzę Kali na spacer — rzuciła, sięgając po wiszący w przedpokoju płaszcz. Zaraz potem Lauren usłyszała, jak trzasnęły drzwi.

— Do widzenia — szepnęła, wsłuchując się w cichnący odgłos kroków.

Pani Kline natknęła się na dole na posłańca. Niósł ogromny bukiet białych piwonii i szukał mieszkania Lauren Kline.

— Nazywam się Kline — oświadczyła, odczepiając przypiętą do celofanu kopertę.

Kazała mu zostawić kwiaty w holu, zabierze je, wracając. Dała mu napiwek i chłopak odszedł.

Kiedy znalazła się na ulicy, uchyliła kopertę i odczytała trzy zapisane na kartoniku słowa: „Zobaczyć Cię znowu”. Poniżej widniało imię: „Arthur”.

Pani Kline zgniotła kartkę i wcisnęła ją do kieszeni płaszcza.

W dzielnicy był tylko jeden skwer, gdzie psy miały wstęp. Jeżeli przeznaczenie kieruje się własną logiką i celami, to człowiek pozbawiony wyobraźni z pewnością uznaje za dalekie od doskonałości. Pani Kline usiadła na ławce. Starsza pani, która czytała gazetę, poczuła chęć, by nawiązać znajomość z sąsiadką.

Na ogrodzonym terenie dla psów Kali właśnie wskoczyła na jack russela, który odpoczywał sobie spokojnie w cieniu lipy.

— Mam wrażenie, że coś panią gnębi — zaczęła staruszka.

Pani Kline drgnęła.

— Po prostu się zamyśliłam — odparła matka Lauren. — Nasze psy chyba się zaprzyjaźniły...

— Pabla zawsze pociągały duże suczki, ale widzę, że muszę przypomnieć mu kilka podstawowych zasad, bo robią to nie tak... Coś panią gnębi?

— Nic szczególnego!

— Jeżeli ma pani ochotę na zwierzenia, to nie znajdzie pani lepszej słuchaczki: jestem głucha jak pień!

Pani Kline spojrzała na Rosę, która nie oderwała oczu od gazety.

— Ma pani dzieci? — zapytała niechętnie.

Pani Morrison pokręciła głową.

— W takim razie nie zdoła pani zrozumieć.

— Ale kochałam mężczyzn, którzy je mieli!

— To zupełnie co innego.

— Zawsze mnie to denerwowało! — zaprotestowała Rose. — Ludzie, którzy mają dzieci, patrzą na bezdzietnych jak na istoty z innej planety! Kochać mężczyznę jest równie trudno, jak wychować dziecko.

— Nie podzielam pani opinii.

— I nadal jest pani mężatką?

Pani Kline spojrzała na swoją rękę, na której czas zatarł już ślad po obrączce.

— I jakich to trosk przysparza pani córka?

— Skąd pani wie, że to nie syn?

— Zgadłam, w końcu wybór nie jest wielki.

— Wydaje mi się, że zrobiłam coś złego — szepnęła matka Lauren.

Staruszka odłożyła gazetę i uważnie słuchała.

— Z tymi kwiatami rzeczywiście postąpiła pani paskudnie! I dlaczego tak bardzo się pani boi jej spotkania z tym chłopcem?

— Bo on może ożywić przeszłość i w ten sposób zaszkodzić nam obu.

Starsza pani znów sięgnęła po gazetę, ale po krótkim namyśle odłożyła ją na bok.

— Nie wiem, co się kryje za pani słowami, ale nie da się nikogo chronić kłamstwem.

— Przepraszam panią — szepnęła matka Lauren — opowiadam o czymś, czego nie może pani zrozumieć.

Ale Rose Morrison zdołała wszystko zrozumieć. Matka Lauren zawahała się, czy zwierając się obcej kobiecie, nie podejmie zbędnego ryzyka. Chęć podzielenia się z kimś prawdą i uwolnienia od samotności wzięła górę. Zebrała myśli i opowiedziała historię mężczyzny, który porwał młodą kobietę, żeby ją ocalić, gdy poddała się już nawet jej rodzona matka.

— Czy ten młodzieniec nie ma przypadkiem dziadka wdowca?

— Nie widziałam go od chwili, gdy oddał mi klucze do mieszkania.

— I tak po prostu zniknął?

— Powiedzmy, że trochę mu pomogliśmy.

— My?

— Pewien znany neurochirurg wyjaśnił mi, jak bardzo kruche jest zdrowie mojej córki. Znalazł wiele argumentów, by go przekonać, że powinien zniknąć z jej życia.

— I ten mężczyzna odszedł, wierząc, że tak będzie najlepiej? Matka Lauren westchnęła.

— Tak.

— Sądziłam, że sprawa jest poważniejsza! — podjęła starsza pani. — No cóż, mężczyzna, który oszalał z miłości, traci rozum! A czy ten profesor był z nim szczerzy?

— Wiem, że był szczerzy, ale nie wiem, czy to, co mówił, jest prawdą. Lauren bardzo szybko doszła do siebie, po kilku miesiącach wróciła do dawnego trybu życia.

— Myśli pani, że jest już za późno, żeby jej o wszystkim powiedzieć?

— Nie ma dnia, żebym się nad rym nie zastanawiała, ale nie potrafię sobie wyobrazić jej reakcji.

— Widziałam niejedno życie zmarnowane przez takie rodzinne tajemnice. Nie dane mi było mieć dzieci i wbrew temu, co powiedziałam, żeby dodać sobie otuchy, ubolewam nad tym. Nawet sobie pani nie wyobraża, jak bardzo. Ale zbyt często kochałam, żeby wierzyć, że jestem do tego zdolna. Szczerze mówiąc, to też tylko wymówka, żeby nie przyznawać się przed sobą do egoizmu. Rozumiem pani obawy, choć jestem przekonana, że nie są słuszne. Miłość to tolerancja, i właśnie to stanowi o jej sile.

— Bardzo bym chciała, żeby miała pani rację.

— Czasem odchodzimy od mężczyzny, wierzymy, że już o nim zapomnieliśmy... aż jakieś wspomnienie ożywi pamięć

o nim... Jak więc można by odrzucić miłość, jaką darzymy rodziców? Marnujemy mnóstwo czasu, nie mówiąc im, jak ich kochamy, a gdy umrą, uświadamiamy sobie, że potwornie nam ich brakuje.

Staruszka pochyliła się w stronę pani Kline.

— Jeżeli ten młody człowiek ocalił życie pani córki, jest pani jego dłużniczką. Niech go pani odszuka.

I Rosę znów pograżyła się w lekturze gazety. Pani Kline siedziała na ławce jeszcze przez chwilę, potem pożegnała się, przywołała Kali i odeszła parkową alejką.

Wracając, zabrała bukiet pozostawiony w holu. W mieszkaniu nikogo nie było. Ułożyła piwonie w wazonie, postawiła go na stoliku i zamknęła za sobą drzwi.

Dzień płynął za dniem, a każdy był monotony i podobny do minionego. Co rano Lauren spacerowała długo pośród drzew parku Presidio. Czasami docierała aż na plażę. Siadała na piasku i czytała notatki do doktoratu, nad którym pracowała co wieczór.

Inspektor Pilguez w końcu przystosował się do godzin pracy Natalii. Co dzień w południe jedli razem posiłek i nie przeszkadzało im, że dla niej to pierwsze śniadanie, a dla niego obiad.

W ciągu dnia, w wolnej chwili — między spotkaniem a pracą w biurze i wizytą na placu budowy — Paul spotykał się z Onegą, która czekała na ławce przy fontannie, spoglądając na zatokę.

Miss Morrison chodziła z Pablem do pobliskiego parku, by nacieszył się letnimi popołudniami i swobodą. Czasem spotykała tam panią Kline, a pewnego dnia poznała idącą z suczką

Lauren. Był piękny słoneczny czwartek. Miss Morrison miała ochotę zagadnąć dziewczynę, postanowiła jednak nie odrywać jej od lektury. Kiedy Lauren oddaliła się, starszka powiodła za nią rozbawionymi oczyma.

Wczesnym wieczorem George Pilguez podwoził Natalię do komisariatu.

Tuż przed spotkaniem z Onegą i kolacją Paul odwiedzał przyjaciela. Pokazywał mu szkice i projekty, a Arthur poprawiał je ołówkiem lub opatrywał notatkami dotyczącymi doboru materiałów i koloru.

W piątek Fernstein z zadowoleniem stwierdził, że jego pacjent jest niemal zdrowy. W najbliższym możliwym terminie skieruje go na tomografię i — czego był pewien — jeśli wszystko będzie w porządku, wypisze ze szpitala. Nie było powodu, by Arthur dłużej zajmował szpitalne łóżko. Oczywiście, będzie musiał zachować rozsądek i przez jakiś czas się oszczędzać, ale wkrótce jego życie powróci do normalnego rytmu. Arthur podziękował za troskliwą opiekę.

Paul dawno już wyszedł, korytarze nie rozbrzmiewały odgłosami pospiesznych kroków jak w ciągu dnia — szpital przywdział nocną szatę. Arthur włączył telewizor stojący na stoliku naprzeciwko łóżka. Sięgnął do szafki po telefon komórkowy. Pogrążony w rozmyślaniach, przeglądał nazwiska w spisie numerów. Postanowił nie zakłócać spokoju przyjacielowi. Telefon wolno wysunął mu się z ręki i wylądował na kołdrze, głowa Arthura opadła na poduszkę.

Uchyliły się drzwi i do pokoju weszła lekarka. Szybkim krokiem zbliżyła się do łóżka i zerknęła na kartę pacjenta. Arthur otworzył oczy i przypatrywał jej się w milczeniu. Sprawiała wrażenie bardzo skupionej.

— Dzieje się coś złego? — zapytał.

— Nie — odparła, unosząc głowę.

— Co pani tu robi? — zapytał nieco zaskoczony.

— Nie tak głośno! — syknęła Lauren.

— Dlaczego mamy rozmawiać szeptem?

— Mam swoje powody!

— Ale nie może ich pani ujawnić?

— No właśnie.

— W takim razie wyznam, choćby tylko szeptem, że bardzo się cieszę, że panią widzę.

— Ja też. To znaczy, cieszę się, że czuje się pan lepiej. Tak mi przykro, że nie wykryłam tego krwaka podczas pierwszego badania!

— Nie powinna pani się obwiniać. O ile pamiętam, nie ułatwiałem pani zadania — powiedział Arthur.

— Myślał pan tylko o tym, żeby jak najszybciej wyjść ze szpitala!

— Mania pracy! Kiedyś przypłacę to życiem.

— Jest pan architektem?

— Tak.

— Praca architekta wymaga ogromnej precyzji, sporo matematyki.

— Owszem, ale studia medyczne również. Potem działania matematyczne zostawiamy innym.

— Komu?

— Wszystko robią za nas inżynierowie! Obliczenia wytrzymałości, siły nośnej.

— W takim razie co robią architekci, kiedy pracę wykonują za nich inżynierowie?

— Snują marzenia.

— O czym pan marzy?

Arthur przez chwilę przyglądał się Lauren, potem uśmiechnął się i wskazał palcem róg pokoju.

- Proszę podejść do okna.
- Po co? — zdziwiła się Lauren.
- Żeby odbyć króciutką podróż.
- Podróż do okna?
- Nie, podróż z okna!

Usłuchała, uśmiechając się niemal drwiąco.

- Co dalej?
- Proszę otworzyć!
- Ale co?
- Okno.

Lauren zrobiła to, o co prosił Arthur.

- Co pani tam widzi? — zapytał szeptem.
- Drzewo — odparła.
- Proszę mi je opisać.
- Jak to?
- Czy jest wysokie?
- Ma około dwóch pięter i duże zielone liście.
- Proszę teraz zamknąć oczy.

Lauren dała się wciągnąć w tę grę i po chwili usłyszała głos Arthura.

— Gałęzie są nieruchome, bo o tej porze wiatr od morza jeszcze się nie zerwał. Proszę zbliżyć się do pnia — często w szczelinach kory ukrywają się cykady. U stóp drzew leży dywan z sosnowych igieł. Zrudziały w słońcu. Niech się pani teraz rozejrzy. Znajduje się pani w dużym ogrodzie, na szerokich pasach żółtobrazowej ziemi rosną pinie. Jeśli spojrzy pani w lewo, zobaczy pani sosny srebrzyste, po prawej stronie sekwoje, przed nimi granatowce, a nieco dalej drzewa chleba świętojańskiego, które zdają się porastać cały stok aż do oceanu. Proszę iść kamiennymi schodami, które odchodzą od ścieżki. Są nierówne, ale nie ma obawy — to łagodny stok. Widzi pani zaniedbany ogród różany po prawej? Proszę się zatrzymać i spojrzeć przed siebie.



I Arthur zaczął tworzyć świat ze słów. Lauren zobaczyła dom z zamkniętymi okiennicami. Podeszła bliżej, wbiegła po schodach, zatrzymała się na werandzie. W dole ocean szalał, jakby pragnął skruszyć skały, fale wyrzucały algi i muszle. Wiatr tak mocno rozwiewał jej włosy, że chciała już odgarnąć je do tyłu.

Okrażyła dom, posłuszna wskazówkom Arthura, który prowadził ją po tej krainie wyobraźni. Dotknęła dłonią fasady, szukając deszczułki pod okiennicą. Wypełniła jego polecenie i wyciągnęła deszczułkę palcami. Okiennica odchyliła się, a Lauren miała nawet wrażenie, że słyszy zgrzyt starych zawiasów. Uniosła ramę okna, podważyła zamek — dom stał przed nią otworem.

— Proszę nie zatrzymywać się w tym pokoju, jest zbyt mroczny, idąc dalej, dotrze pani do przedpokoju.

Szła wolnym krokiem, a każde mijane pomieszczenie zdawało się skrywać jakąś tajemnicę. Weszła do kuchni. Na stole stał stary włoski ekspres, parzyło się w nim doskonałą kawę, dalej widać było kuchnię typową dla domostw, które zbudowano dawno temu.

— Pali się w niej drewnem? — zapytała Lauren.

— Jeżeli chce pani rozpalić ogień, polana leżą tuż za domem, pod wiatą. Wystarczy wyjść tylnymi drzwiami.

— Chcę zostać w domu i obejrzeć pozostałe pokoje — szepnęła.

— W takim razie wyjdźmy z kuchni. Proszę otworzyć drzwi na wprost.

Lauren znalazła się w salonie. W półmroku drzemał fortepian. Zapaliła światło i podeszła, by usiąść na taborecie.

— Nie umiem grać.

— To niezwykły instrument, przywieziony z odległego kraju. Jeżeli będzie pani intensywnie myślała o melodii, którą pani lubi, zagrają, musi pani jednak położyć dłonie na klawiaturze.

Lauren skupiła się i usłyszała dźwięki *Claire de Lune* z *Wertera* Masseneta.

Miała wrażenie, że gra ktoś tuż obok niej, bo im bardziej

pograżała się w tym marzeniu, tym wyraźniejsza stawała się obecność muzyki. Lauren zajrzała do wszystkich zakątków domu, weszła na piętro, snuła się po pokojach, i stopniowo słowa, które tak szczegółowo przedstawiały ten dom, stworzyły wokół niej prawdziwe życie. Wróciła do jedynego pomieszczenia, którego dotąd nie widziała — do gabinetu. Spojrzała na łóżko i zadrżała. Otworzyła oczy, dom zniknął.

— Chyba go utraciłam — szepnęła.

— To nic, teraz należy do pani, może się pani w nim schronić, kiedy zechce, wystarczy o nim pomyśleć.

— Sama nie zdołam tego zrobić, świat wyobraźni nie otwiera się przede mną tak łatwo.

— Trzeba bardziej sobie zaufać. Uważam, że jak na pierwszy raz, radziła sobie pani całkiem nieźle.

— Tak właśnie wygląda pańska praca? Zamyka pan oczy i wyobraża sobie różne miejsca?

— Nie, wyobrażam sobie życie, które będzie się w nich toczyło, i do niego dopasowuję resztę.

— Dziwna metoda pracy.

— Powiedziałbym, że to praca jest dziwna.

— Muszę już iść, pielęgniarki niedługo zaczną obchód.

— Zajrzy pani jeszcze?

— Jeżeli będę mogła.

Stojąc przy drzwiach, odwróciła się jeszcze.

— Dziękuję za tę podróż, to naprawdę fajne przeżycie, podobało mi się.

— Mnie też.

— Czy ten dom istnieje?

— Przed chwilą go pani widziała?

— Jakbym tam była.

— Skoro istniał w pani wyobraźni, to jest prawdziwy.

— Ma pan osobliwy sposób myślenia.

— Raz po raz przymykając oczy na to, co nas otacza, niektórzy stają się ślepcami i nawet o tym nie wiedzą. Ja po prostu nauczyłem się widzieć, nawet w gęstym mroku.

— Znam pewną sowę, której przydałyby się pańskie rady.  
— Tę, którą miała pani wtedy w kieszeni fartucha?  
— Pamięta pan?  
— Wprawdzie znam niewielu lekarzy, ale trudno by mi było zapomnieć akurat tego, który badał mnie, trzymając w kieszeni maskotkę.

— Ona boi się światła, a jej dziadek prosił, żebym ją wyleczyła.

— Trzeba jej kupić okulary słoneczne, takie jak dla dzieci. Kiedy byłem mały, miałem takie. Aż trudno uwierzyć, co można przez nie zobaczyć.

— Na przykład?

— Marzenia, całą krainę marzeń.

— Dziękuję za radę.

— Ale uwaga! Kiedy już pani wyleczy tę sówkę, proszę jej powiedzieć, że jeżeli choć na sekundę utraci wiarę, marzenie pryśnie jak bańka mydlana.

— Na pewno ją uprzedzę. A teraz proszę odpoczywać.

I Lauren wyszła z pokoju.

Światło księżycza zaglądało przez odchylone żaluzje. Arthur wstał i podszedł do okna. Stał tak, oparty o parapet, zapatrzony w nieruchome drzewa. Nie zamierzał usłuchać rad przyjaciela. Zbyt długo okazywał cierpliwość i nic nie było w stanie zatrzeć wspomnienia o tej kobiecie — ani czas, ani podróże, podczas których spotykał tyle innych kobiet. Wkrótce opuści szpital.

# 14

Zapowiadał się piękny weekend, na niebie nie było ani jednej chmurki. Wokół panował niezmacony spokój, jakby miasto leniwie budziło się po zbyt krótkiej nocy. Bosa, portargana, w starym swetrze, który włożyła zamiast szlafroka, Lauren pracowała przy biurku, przeglądając zrobione wieczorem zapiski.

Nie odrywała się od pisania do południa, czekając na listonosza. Przed dwoma dniami zamówiła fachową literaturę i liczyła, że dziś znajdzie w skrzynce przesyłkę. Przeszła przez salon, otworzyła drzwi wejściowe i aż krzyknęła, cofając się o krok.

— Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć — powiedział Arthur, chowając ręce za plecami. — Berty zgodziła się podać mi pani adres.

— Co pan tu robi? — zapytała Lauren, obciągając sweter.

— Właściwie sam nie wiem.

— Nie powinni byli pana wypisywać, to o wiele za wcześnie — wydusiła z siebie.

— Muszę przyznać, że właściwie nie dałem im wyboru... Pozwoli pani, że wejdę?

Wpuściła go i poprosiła, żeby rozgościł się w salonie.

— Zaraz wrócę! — rzuciła, znikając w łazience.

Wyglądam jak gremlin!, pomyślała, usiłując uporać się z rozczochranymi włosami. Pobiegła do garderoby i zaczęła zmagania z wieszakami.

— Wszystko w porządku? — zapytał Arthur, nieco zdziwiony dobiegającym stamtąd hałasem.

— Napije się pan kawy? — zawołała Lauren, nie przerywając rozpaczliwych poszukiwań fatałasza, w który mogłaby szybko wskoczyć.

Przez moment przyglądała się swetrowi, ale rzuciła go na podłogę, biała bluzka, która też nie przypadła jej do gustu, pofrunęła w górę, zaraz potem jej los podzieliła sukienka. Wkrótce za Lauren leżała sterta ubrań.

Arthur stanął pośrodku salonu i rozejrzał się. Boże, jak bliskie było mu to miejsce! Półki biblioteki z jasnego drewna ugięły się pod ciężarem książek i istniała poważna obawa, że nie wytrzymają, jeśli nadal będzie powiększała kolekcję encyklopedii medycznych. Arthur uśmiechnął się, widząc, że jej biurko stoi dokładnie tam, gdzie kiedyś jego deska kreślarska.

Przez uchylone drzwi zerknął do sypialni, gdzie stało zwrócone w stronę zatoki łóżko.

Usłyszał pokasływanie Lauren, która weszła do salonu, i odwrócił się. Miała na sobie dżinsy i biały T-shirt.

— Kawa ma być z mlekiem i cukrem, bez mleka, ale z cukrem, czy bez mleka i bez cukru? — zapytała.

— Wszystko jedno! — uśmiechnął się Arthur.

Przeszła za kuchenną ladę. Z kranu ciekła woda, która nagle buchnęła silnym strumieniem.

— Chyba mam mały problem! — oznajmiła Lauren, usiłując rękami powstrzymać potop.

Arthur bez namysłu wskazał jej zawór odcinający dopływ wody, który znajdował się w szafce tuż obok zlewu. Lauren szybko go zamknęła. Ochlapana, podejrzliwie spojrzała na gościa.

— Skąd pan o tym wiedział?

— Przecież jestem architektem!  
— Czy ten zawód umożliwia widzenie przez ściany?  
— Hydraulika w takim mieszkaniu jest mniej skomplikowana od systemu naczyń krwionośnych w ludzkim ciele, ale i my mamy swoje sztuczki, żeby powstrzymać taki „wodotok”.  
Ma pani narzędzia?

Lauren wytarła twarz papierowym ręcznikiem i wysunęła szufladę. Wyjęła z niej stary śrubokręt, klucz francuski i młotek.

Skrzywiła się, spoglądając na niego pytająco.

— Może uda się nam przeprowadzić tę operację — uśmiechnął się Arthur.

— Chyba nie mam odpowiednich kwalifikacji!

— Zabieg nie jest aż tak skomplikowany jak te, które pani przeprowadza. Ma pani nową uszczelkę?

— Nie!

— Proszę zajrzeć do szafki, w której są korki. Nie mam pojęcia dlaczego, ale zazwyczaj nad licznikiem poniewierają się takie drobiazgi.

— A gdzie poniewiera się mój licznik?

Arthur wskazał palcem małą szafkę przy drzwiach wejściowych.

— To przecież automatyczny wyłącznik — zdziwiła się.

— Właśnie tam jest i licznik — odparł rozbawiony Arthur.

Lauren stanęła przed nim.

— Skoro szafy w tym domu nie mają przed panem tajemnic, to niech pan sam przyniesie te uszczelki, tak będzie szybciej!

Arthur podszedł do drzwi i uniósł rękę w stronę szafki, ale cofnął ją w pół gestu.

— Co się stało? — zapytała Lauren.

— Mam jeszcze niesprawne ręce — szepnął, wyraźnie zakłopotany.

Lauren podeszła do niego.

— To nic poważnego — powiedziała uspokajająco. — Musi

pan być cierpliwy, ten uraz minie bez śladu, ale żeby odzyskać pełną sprawność, trzeba trochę czasu. Natura rządzi się własnymi prawami.

— Jeśli pani zechce, mogę mimo wszystko udzielać pani dokładnych wskazówek i w ten sposób razem poradzimy sobie z tym kranem — zaproponował Arthur.

— Miałam na to przedpołudnie nieco inne plany niż naprawa kranu. Mój sąsiad to złota rączka, prawie wszystko mi tu instalował. Chętnie zajmie się i tą uszczelką.

— To on wpadł na pomysł, żeby ustawić bibliotekę przy samym oknie?

— To zły pomysł?

— Nie, skądże — mruknął Arthur, wracając do salonu.

— To „skądże” w rzeczywistości oznacza coś zupełnie innego!

— Wydaje się pani! — przekonywał Arthur.

— Nie umie pan kłamać!

Poprosił Lauren, żeby usiadła na kanapie.

— Proszę się odwrócić — powiedział.

Lauren usłuchała, nie rozumiejąc, do czego też on zmierza.

— Widzi pani teraz, że gdyby półki nie zasłaniały okna, miałyby pani stąd wspinały widok.

— Owszem, szkoda tylko, że za plecami. Zazwyczaj nie odwracam głowy, siedząc na kanapie!

— I dlatego lepiej by było ustawić ją przodem do okna. Szczerze mówiąc, drzwi wejściowe to nie najpiękniejszy element mieszkania, prawda?

Lauren wstała, oparła rękę na biodrach i uważnie na niego spojrzała.

— Nigdy nie zwróciłam na to uwagi. Czyżby po drodze ze szpitala do domu wpadł pan do mnie bez uprzedzenia, żeby przemeblować mi mieszkanie?

— Przepraszam — szepnął, spuszcżając głowę.

— Nie, to ja powinnam pana przeprosić — odparła spokojnie Lauren. — Zbyt łatwo się ostatnio unoszę. Napije się pan kawy?

— Przecież nie ma wody.

Lauren zajrzała do lodówki.

— Nie mam już nawet soku! — mruknęła.

— W takim razie może przyjmie pani zaproszenie na śniadanie?

Poprosiła, żeby dał jej chwilę na sprawdzenie, czy w skrzynce na listy nie ma przesyłki. Słyszając odgłos jej kroków na klatce schodowej, poczuł nieodpartą chęć, by bliżej przyjrzeć się miejscu, w którym mieszkała. Wszedł do sypialni, zbliżył się do łóżka. Wspomnienie pewnego letniego poranka wyłoniło się nagle z zakamarków pamięci jak książka, która otwiera się, wypadając z biblioteczki. Zapragnał, by czas się cofnął do tej chwili, gdy patrzył na śpiącą Lauren.

Musnął palcami narzutę, czuł włoski wełny, uginające się pod jego dotykiem. Potem wszedł do łazienki i zerknął na ustawione nad umywalką flakoniki. Mleczko, perfumy, kilka podstawowych kosmetyków. Nagle przyszło mu coś do głowy. Wyrzwał na zewnątrz i postanowił spełnić marzenie, które żywił od dawna — wszedł do małej garderoby i zamknął za sobą drzwi.

Ukryty między wieszakami, patrzył na ubrania, które leżały na podłodze, i na te wiszące, i wyobrażał sobie Lauren w rozmaitych strojach. Najchętniej by tu został, zaczekał, aż go znajdzie. Może wróciłaby jej pamięć, może zawahałaby się choć na chwilę, przypomniaby sobie słowa, które mówili. Wzięłby ją wtedy w ramiona i całował jak dawniej, a raczej — całowałby inaczej. Teraz już żadna siła nie mogła mu jej odebrać. Ale to głupi pomysł, bo gdyby tu został, przestraszyłby ją. Każdy wystraszyłby się osobnika, który ukrywa się w szafie w łazience!

Musi stąd wyjść, zanim Lauren wróci. Jeszcze tylko chwilka — czy można o to mieć do niego żal? Oby jak najwolniej szła po schodach, to da mu tych parę sekund skradzionego szczęścia — bycia jakby w jej sercu.



— Arthurze?

— Już idę.

Przeprosił i zaczął się tłumaczyć, że pozwolił sobie wejść do łazienki, bo chciał umyć ręce.

— Przecież nie ma wody!

— Uświadomiłem to sobie, kiedy odkręciłem kran! — powiedział zakłopotany. — Książki już przysły?

— Owszem, schowam je do biblioteki i możemy iść. Umieram z głodu.

Mijając kuchnię, Arthur zerknął na miskę Kali.

— Mam suczkę, ale teraz jest u mamy.

Lauren zabrała leżące na blacie klucze i oboje wyszli z mieszkania.

Ulica pławiła się w słońcu. Arthur miał ochotę wziąć Lauren za rękę.

— Dokąd chciałyby pani iść? — zapytał, splatając ręce na plecach.

Była głodna, ale krępowała się, jak to kobieta, powiedzieć mu, że marzy o hamburgerze. Lecz Arthur zapewnił ją, że uwielbia kobiety, które mają apetyt.

— A poza tym w Nowym Jorku jest teraz pora obiadowa, a w Sydney ludzie siadają do kolacji! — dodała Lauren, uśmiechając się promiennie.

— Można i tak na to spojrzeć — powiedział Arthur, idąc obok niej.

— Podczas stażu jada się byle co i byle kiedy. W końcu to wchodzi w krew.

Zaciągnęła go na Ghirardelli Square, potem szli wzdłuż wybrzeża i skręcili na molo. Wzniesiona na palach sala restauracyjna Simbad była otwarta dniem i nocą. Kelnerka zaprowadziła ich do stolika, podała Lauren kartę i odeszła. Arthur nie był głodny i nawet nie przejrzał menu, które podsunęła mu Lauren.

Po chwili podszedł do nich kelner. Przyjął zamówienie Lauren i wrócił do kuchni.

— Naprawdę nic pan nie zje?  
— Przez cały tydzień karmili mnie kroplówką i mam wrażenie, że skurczył mi się żołądek. Ale uwielbiam patrzeć, jak pani je.

— Mimo wszystko musi pan zacząć się normalnie odżywiać. Kelner postawił na stoliku ogromny talerz placków.

— Dlaczego przyszedł pan do mnie dziś rano?

— Żeby naprawić kran.

— Niech pan sobie nie żartuje!

— Żeby pani podziękować za uratowanie życia. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Lauren odłożyła widelec, który trzymała w ręce.

— Bo miałem na to ochotę — wyznał Arthur.

Przyjrzała mu się uważnie, a potem połała placki syropem klonowym.

— Wykonywałam tylko moją pracę — szepnęła.

— Nie jestem pewien, czy usypianie kolegów po fachu i kradzieże karetek to pani chleb powszedni.

— Karetka to pomysł pańskiego przyjaciela.

— Domyślałem się tego.

Kelner podszedł do stolika i zapytał Lauren, czy niczego nie potrzebuje.

— Dlaczego pan pyta? — zdziwiła się.

— Wydawało mi się, że mnie pani wołała — odparł, spoglądając na nią wyniośle.

Lauren powiodła za nim wzrokiem, wzruszyła ramionami i wróciła do rozmowy z Arthurem.

— Pana przyjaciel mówił, że znacie się z internatu.

— Mama umarła, kiedy miałem dziesięć lat. Byliśmy sobie bardzo bliscy.

— Jest pan odważny. Większość ludzi niechętnie wymawia to słowo. Wolą mówić, że ktoś „odszedł” albo „opuścił ich”.

— Opuszcza się kogoś albo odchodzi z własnej woli.

— Dorastał pan sam?

— Samotność może okazać się dobrą towarzyszką. A pani? Ma pani jeszcze rodziców?

— Tylko matkę, ale od czasu mojego wypadku nasze stosunki są dość napięte, mama stała się zbyt obecna w moim życiu.

— Od wypadku?

— Miałam wypadek samochodowy, wyrzuciło mnie z wozu, stwierdzono już mój zgon, ale dzięki uporowi profesora wróciłam do życia po wielu miesiącach śpiączki.

— Nie zachowała pani żadnych wspomnień z tego okresu?

— Pamiętam ostatnie minuty przed wypadkiem, potem następuje jedenastomiesięczna luka w moim życiorysie.

— Czy nikt nigdy nie zdołał przypomnieć sobie, co się działo w takich chwilach? — zapytał z nadzieją w głosie.

Lauren uśmiechnęła się, spoglądając na wózek z deserami, ustawiony blisko ich stolika.

— Wspomnienia z okresu śpiączki? To niemożliwe! — odparła. — To świat nieświadomości, tam nic się nie dzieje.

— Mimo to życie wokół toczy się dalej, prawda?

— Interesuje to pana? Nie musi pan pytać przez grzeczność.

Arthur zapewnił ją, że jego ciekawość jest autentyczna. Wyjaśniła mu, że na temat śpiączki jest wiele teorii, ale mało pewnych informacji. Czy pacjenci percypują to, co dzieje się wokół? Jako lekarz nie bardzo w to wierzy.

— Powiedziała pani: jako lekarz. Po co to rozróżnienie?

— Ponieważ przeżyłam ten stan niejako od środka.

— I wyciągnęła pani z osobistego doświadczenia inne wnioski?

Lauren zastanawiała się przez chwilę, potem wskazała na desery, spoglądając na kelnera, który natychmiast podszedł do stolika. Wybrała mus czekoladowy dla siebie, a ponieważ Arthur nie podjął decyzji, zamówiła dla niego ekierkę w czekoladzie.

— Dwa pyszne desery dla pani — oznajmił kelner, stawiając przed nią talerze.

— Czasami miewam dziwne sny, które przypominają strzępy wspomnień, jakby powracające przeżycia i wrażenia, wiem jednak, że mózg jest zdolny przetworzyć we wspomnienie to, co nam opowiedziano.

— A co pani opowiedziano?

— Nic szczególnego. Wiem, że codziennie siedziała przy mnie matka, że była tam Betty, ta pielęgniarka z izby przyjęć, no i pamiętam sporo innych drobiazgów bez większego znaczenia.

— Na przykład?

— Na przykład jak się obudziłam. Ale dość już tego, teraz musi pan skosztować tych pyszności!

— Proszę nie mieć mi za złe, mam alergię na czekoladę.

— I nie zamówi pan nic innego? Nie jadł pan, nawet niczego się nie napił.

— Rozumiem pani matkę. Prawdopodobnie jest trochę zaborcza, ale to z miłości.

— Gdyby to słyszała, zakochałaby się w panu.

— Wiem, to jedna z moich największych wad.

— To znaczy?

— Należę do gatunku mężczyzn, których nie zapominają teściowe, za to z córkami bywa gorzej.

— A te, jak się pan wyraził, teściowe... dużo ich było? — zapytała Lauren, nabierając czubatą łyżeczkę musu czekoladowego.

Arthur patrzył na nią rozbawiony. Miała wąsiki z czekolady tuż nad górą wargą. Uniosła rękę, jakby chciała je wytrzeć, ale nie odważyła się.

Zaintrygowany barman nie odrywał oczu od ich stolika.

— Jestem sam.

— Trudno w to uwierzyć.

— A pani? — podchwycił Arthur.

Lauren zastanawiała się nad odpowiedzią, bawiąc się łyżeczką.

— W moim życiu ktoś jest, nie żyjemy naprawdę razem,

ale jest. Czasami tak to bywa, uczucia gasną. Dawno został pan sam?

— Tak, dość dawno.

— Teraz naprawdę już panu nie wierzę.

— A co w tym takiego dziwnego?

— Że taki człowiek jak pan jest samotny.

— Właściwie nie jestem samotny!

— No widzi pan!

— Można kochać i nie być z tym kimś. Wystarczy, że uczucie nie jest odwzajemnione albo że ta druga strona nie jest wolna.

— I można być wiernym takiej osobie przez dłuższy czas?

— Jeżeli to ta jedyna, to chyba warto czekać, prawda?

— Czyli nie jest pan sam?

— Nie w sercu.

Lauren wypić łyk kawy i skrzywiła się. Nie lubiła zimnej kawy. Arthur chciał zamówić dla niej drugą filiżankę, ale uprzedziła go, pokazując kelnerowi dzbanek na płycie grzewczej ekspresu.

— Podać jedną czy dwie filiżanki? — zapytał kelner, uśmiechając się ironicznie.

— Ma pan jakiś problem? — odpląciła mu drwiącym spojrzeniem.

— Ja... nie — odparł i wrócił do baru.

— Sądzi pan, że jest taki rozdrażniony, bo niczego pan nie zamówił? — zapytała, spoglądając na Arthura.

— Czy jedzenie było dobre? — odpowiedział pytaniem.

— Paskudne — odparła ze śmiechem.

— To dlaczego wybrała pani właśnie tę restaurację? — rzucił, śmiejąc się razem z nią.

— Bo lubię czuć zapach morza, jego tętno, jego nastrój.

Śmiech Arthura przerodził się w melancholijny uśmiech, z oczu wyzierał smutek, zapłonęły w nich ogniki goryczy.

— Co panu jest? — zapytała Lauren.

— To nic, tylko wspomnienie.

Lauren skinęła na kelnera, prosząc o rachunek.

— Ma szczęście — powiedziała, dopijając kawę.

— Kto?

— Ta, na którą pan tak długo czeka.

— Naprawdę? — zapytał Arthur.

— Tak, naprawdę! Co was rozdzieliło?

— Problemy z kompatybilnością.

— Przestaliście się zgadzać?

— Przeciwnie, świetnie się rozumieliśmy. Śmiałyśmy się razem do rozpuku, pragnęliśmy tego samego. Obiecaliśmy sobie nawet, że kiedyś zrobimy listę takich „szczęśliwych rzeczy do zrobienia”, jak to nazwała *happy to do*.

— Co wam w tym przeszkodziło?

— Czas nas rozdzielił, zanim się do tego zabraliśmy.

— Potem już się nie spotkaliście?

Kelner położył na stole rachunek i Arthur chciał go wziąć, ale Lauren znów była szybsza.

— Doceniam pańską uprzejmość — powiedziała — ale to wykluczone, zwłaszcza że żywił się pan tu wyłączenie moimi słowami. Nie jestem feministką, ale wszystko ma swoje granice!

Arthur nie zdążył podjąć dyskusji, bo Lauren natychmiast podała kelnerowi kartę kredytową.

— Powinam wrócić do domu i popracować — powiedziała Lauren — ale jakoś nie mam na to ochoty.

— W takim razie chodźmy na spacer, dzień jest cudowny, a ja wcale nie mam ochoty rozstać się z panią, żeby mogła pani zasiąść przy biurku.

Odsunęła krzesło i wstała.

— Zgadzam się na spacer.

Kelner pokiwał głową, kiedy wyszła z restauracji.

Chciała się przejść po parku Presidio, lubiła włóczyć się pod wysokimi sekwojami. Często docierała aż do miejsca, gdzie wznosi się jeden z filarów Golden Gate. Arthur doskonale znał

ten zakątek. Stamtąd wiszący most wyglądał jak smuga na niebie, ciągnąca się od zatoki po ocean.

Lauren musiała iść po psa. Arthur obiecał, że przyjdzie do parku. Lauren zostawiła go na moło, a on w milczeniu patrzył, jak odchodzi. Są takie chwile, które mają smak wieczności.

# 15

Czekał na nią u stóp szerokiego mostu, siedząc na murku. W tym miejscu fale oceanu ścierały się z tymi, które omiały zatokę, od zarania dziejów tocząc nieustanny bój.

— Długo pan czekał? — zapytała tonem przeprosin.

— Gdzie Kali?

— Nie mam pojęcia, nie zastałam mamy. Skąd pan wie, jak się wabi?

— Chodźmy, mam ochotę przejść się po tamtej stronie i popatrzeć na ocean — odparł, ignorując jej pytanie.

Wspięli się na zbocze i zeszli po przeciwległym stoku. W dole widać było plażę ciągnącą się na przestrzeni wielu kilometrów.

Szli tuż nad wodą.

— Jest pan jakiś inny — powiedziała Lauren.

— Inny niż...?

— Po prostu inny.

— Trudno się temu dziwić.

— Niech się pan nie wygłupia.

— Czy coś we mnie panią drażni?

— Nic mnie nie drażni, po prostu zawsze wydaje się pan pogodny.

— To wada?



— Nie, ale to zbija z tropu, mam wrażenie, że dla pana nie stanowi problemu.

— Lubię szukać rozwiązań, to u nas rodzinne, moja matka też taka była.

— Brakuje panu rodziców?

— Ojca ledwie pamiętam. Mama miała swoiste podejście do życia, pani powiedziałyby pewnie: inne.

Arthur przykląkł i nabrał w dłonie piasku.

— Pewnego dnia znalazłem w ogrodzie jednodolarówkę. Wydawało mi się, że jestem bardzo bogaty. Pobiegłem do niej, trzymając mój skarb w zaciśniętej piąstce. Pokazałem jej pieniądze, dumny z takiego znaleziska. A ona wysłuchiwała spokojnie, co też zamierzam kupić za ten skarb, zacisnęła moje palce na monecie, delikatnie obróciła moją ręką i kazała ją wyprostować.

— Co dalej?

— Dolar upadł na ziemię, a mama powiedziała: „Widzisz, co się dzieje, kiedy umiera człowiek, choćby największy bogacz świata. Pieniądze i władza nas nie przeżyją. Człowiek tworzy wieczność swego bytu tylko poprzez uczucia, które dzieli z innymi”. I to prawda — umarła wczoraj, przed laty, tak dawno, że przestałem liczyć miesiące i dni. Pojawia się czasami w przelotnym spojrzeniu, jakim nauczyła mnie ogarniać rzeczy, krajobrazy, patrzeć na starca, który idzie ulicą, dźwigając swą historię. Pojawia się w strudze deszczu i blasku światła, w brzmieniu słowa padającego w rozmowie. Jest moją częścią nieśmiertelności.

Arthur rozsunał palce, pozwalając ziarnkom piasku wymykać się przez nie. Zdarza się, że czas nie potrafi uciszyć cierpienia w miłości i że to cierpienie pozostawia blizny, które wywołują uśmiech.

Lauren podeszła do Arthura, ujęła go za rękę i pomogła wstać. A potem znów szli wzdłuż brzegu.

— Skąd czerpie się siłę, żeby tak długo na kogoś czekać?

— Dlaczego znów pani do tego wraca?

— Bo mnie to intryguje.

— Przeżyliśmy początek naszej wspólnej historii; była jak obietnica, której życie nie spełniło. Ale ja swoje zawsze spełniam.

Lauren puściła jego rękę. Arthur patrzył, jak odchodzi sama, jak przystaje nad wodą. Odczekał chwilę, a potem zbliżył się. Muskała stopą dogasające na płyciźnie fale.

— Czy powiedziałem coś, czego nie powinienem mówić?

— Nie — szepnęła Lauren — przeciwnie. Chyba muszę już wracać, naprawdę mam dużo pracy.

— Czy to nie może poczekać do jutra?

— Jutro czy dziś po południu, cóż to zmienia?

— Nie sądzi pani, że jedno pragnienie może wszystko odmienić?

— A czego pan teraz pragnie?

— Iść dalej plażą, razem z panią, i popełniać kolejne gafy.

— Może wybralibyśmy się dziś na kolację? — zaproponowała Lauren.

Arthur zmrużył oczy, jakby się wahał. Klepnęła go po ramieniu.

— Ale ja wybiorę miejsce — powiedział, śmiejąc się. — Muszę pani udowodnić, że turystyka i gastronomia mogą doskonale ze sobą współgrać.

— A dokąd pójdziemy?

— Do Cliff House, tam — powiedział, wskazując odległą falezę.

— Mieszkam w tym mieście od urodzenia, ale nigdy tam nie byłam!

— Spotkałem paryżan, którzy nigdy nie byli na szczycie wieży Eiffla.

— Był pan we Francji? — zapytała z błyskiem w oku.

— Tak, w Paryżu, Wenecji, Tangerze...

I Arthur porwał Lauren w podróż dookoła świata na tę krótką chwilę, jakiej trzeba, by pozostawić kilka śladów, które wieczorem zmyje przypływ oceanu.

W sali wyłożonej ciemną boazerią niemal wszystkie stoliki były wolne.

Lauren weszła pierwsza. Powitał ją ubrany w liberię szef restauracji. Poprosiła o stół dla dwóch osób, a w odpowiedzi usłyszała, że najlepiej będzie, jeśli zaczeka na partnera przy barze. Zdziwiona, obejrzała się i stwierdziła, że Arthur zniknął. Zawróciła, spojrzała na schody. Stał na najwyższym stopniu i czekał na nią, uśmiechając się.

— Co pan tu robi?

— Sala na dole jest ponura, tu będzie znacznie przyjemniej.

— Tak pan sądzi?

— Całe to miejsce jest ponure, prawda?

Lauren bez przekonania pokiwała głową.

— Właśnie tak sobie pomyślałem. Chodźmy gdzie indziej.

— Ale ja już poprosiłam o stół! — powiedziała, wyraźnie skrepowana.

— W takim razie niech pani niczego nie odwołuje, ten stół będzie nasz, postaramy się go zapamiętać jako miejsce, w którym nie zjedliśmy pierwszej wspólnej kolacji!

I Arthur zabrał Lauren na parking przed budynkiem. Poprosił, żeby wezwała taksówkę, bo on nie miał przy sobie telefonu. Lauren zadzwoniła.

Kwadrans później wysiedli na molo przy Pier 39, zdecydowani wypróbować wszystkie lokale dla turystów, jakie istniały w mieście. Jeżeli nie zabraknie im sił, wpadną na drinka nawet do Chinatown. Arthur znał tam pewien ogromny bar, przed którym wczesnym wieczorem zatrzymywało się wiele autokarów z obcokrajowcami.

Szli po deskach molo, gdy Lauren zauważyła w dali mężczyznę podobnego do Paula. Stał oparty o balustradę i prowadził ożywioną rozmowę z uroczą długonogą kobietą.

— Czy to nie pański przyjaciel? — zapytała.

— Owszem, to on — odparł Arthur, zawracając.

Lauren ruszyła w ślad za nim.

— Nie chce pan się z nim przywitać?

— Nie, nie zamierzam zepsuć mu randki, chodźmy dalej.  
— Woli pan, żeby nie widział nas razem?  
— Co też pani przyszło do głowy, skąd ten pomysł?  
— Ponieważ sprawiał pan wrażenie wystraszonego.  
— Zapewniam, że nie o to chodzi. Paul byłby potwornie zazdrosny, gdyby się dowiedział, że najpierw odwiedziłem panią. A teraz chodźmy już na Ghirardelli Square. W dawnej pijalni czekolady o tej porze aż się roi od Japończyków.

Na całej ulicy trwała zabawa. Co roku świętowano tu początek sezonu połowu krabów.

Dogasały już ostatnie ogniste blaski dnia, księżyc wyruszył w wędrówkę po rozgwieżdżonym niebie nad zatoką. W wielkich kotłach czekały na łakomych przechodniów owoce morza. Lauren z apetytem zjadła sześć ogromnych odnóży, które życzyliwy marynarz podsunął jej już obrane. Arthur z zachwytem patrzył, jak opycha się tym przysmakiem. Popiła posiłek trzema szklaneczkami wina z Nappa Vallee. Oblizała palce i z miną dziewczynki, która coś przeszkobała, uczepiła się ramienia Arthura.

— Chyba przekreśliłam naszą kolację — powiedziała — bo jeszcze kawałek czekolady i pęknię!

— Przede wszystkim jest pani odrobinę podchmielona!

— Trudno to wykluczyć... Czy to morze się tak burzy, czy może ja się chwieję?

— Jedno i drugie! Chodźmy stąd, musi pani zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wyprowadził ją z tłumu i posadził na ławce, w łagodnym świetle starej, samotnej latarni.

Lauren położyła dłoń na kolanie Arthura i wzięła głęboki oddech.

— Czy przyszedł pan do mnie dziś rano tylko po to, żeby podziękować?

— Przyszedłem, bo, choć nie mogę pani tego wytłumaczyć, bardzo mi pani brakowało.

— Nie można mówić takich rzeczy.

- Dlaczego! Czyżby te słowa wzbudzały strach?
  - Mój ojciec czarował matkę pięknymi słowami, kiedy chciał ją zdobyć.
  - Ale pani jest kimś innym.
  - To prawda, mam zawód, pracę, wytyczony cel i nic mnie od tego nie odciągnie, bo to moja wolność.
  - Wiem i dlatego...
  - Co „dlatego”? — przerwała mu.
  - Nic. Przyszło mi na myśl, że nie tylko cel, do którego zmierzamy, nadaje sens życiu, ale i to, w jaki sposób odbywamy tę drogę.
  - Czy tak mawiała pańska matka?
  - Nie, to ja tak sądzę.
  - Dlaczego w takim razie zerwał pan z kobietą, za którą pan tak tęskni? Czy to z powodu nieprzystawalności?
  - Powiedzmy, że przeszliśmy bardzo blisko siebie. Byłem tylko lokatorem tego szczęścia, a ona nie mogła przedłużyć mi umowy najmu.
  - Które z was zerwało?
  - Ona mnie opuściła, a ja pozwoliłem jej odejść.
  - Dlaczego pan nie walczył?
  - Bo ta walka byłaby dla niej bolesna. To problem, z którym musi się uporać mądrość serca. Działać w imię szczęścia drugiego człowieka kosztem własnego. Czyż to nie szlachetna pobudka?
  - Widzę, że jeszcze się pan nie wyleczył.
  - Nie byłem chory!
  - Jestem podobna do tej kobiety?
  - Tylko odrobinę starsza od niej.
- Po drugiej stronie ulicy sklepikarz zamykał swój kramik dla turystów. Właśnie wnosił do środka stojaki z widokówkami.
- Powinniśmy byli kupić kartę — powiedział Arthur. — Napisałbym kilka słów do pani i wysłał.
  - Naprawdę wierzy pan, że można przez całe życie kochać jedną osobę? — zapytała Lauren.

— Nigdy nie bałem się dnia powszedniego, przyzwyczajenia nie uważałem za zło. Można co dnia na nowo tworzyć jednocześnie zbytek i prostotę, przesadę i powszedniość. Wierzę w uczucie, które się rozwija, w pamięć uczucia. Przykro mi, ale to wina mojej matki, karmiła mnie ideałami. Dlatego tak wysoko ustawiam poprzeczkę.

— Dla partnerek?

— Nie, dla siebie. Jestem staroświecki, prawda?

— Starocie też mają swój urok.

— Starałem się zachować w sobie cząstkę dzieciństwa.

Lauren uniosła głowę i spojrzała Arthurowi prosto w oczy. Ich twarze niepostrzeżenie się zbliżyły.

— Mam ochotę cię pocałować — powiedział Arthur.

— To dlaczego o tym mówisz, zamiast po prostu zrobić? — odparła Lauren.

— Już mówiłem, że jestem potwornie staroświecki.

Krata sklepika zgrzytała, przesuwając się po żelaznych szynach. Rozległ się sygnał alarmowy. Arthur wyprostował się, znieruchomiał, wciąż trzymając rękę Lauren w swojej. Nagle poderwał się z ławki.

— Muszę iść!

Rysy twarzy Arthura zmieniły się, a Lauren odgadła, że stało się to za sprawą gwałtownego bólu.

Alarm w sklepiku brzmiał coraz głośniejszy, brzęczał im w uszach.

— Nie mogę ci tego wyjaśnić, ale muszę iść.

— Nie wiem dokąd idziesz, ale nie zostawię cię samego! — powiedziała, wstając.

Arthur wziął ją w ramiona, utkwiał w niej wzrok, ale nie był w stanie objąć.

— Posłuchaj, liczy się każda sekunda. Wszystko, co ci powiedziałem, jest prawdą. Jeżeli możesz, to chciałbym, żebyś mnie zapamiętała, ja na pewno cię nie zapomnę. Inna chwila ciebie, nawet tak krótka, naprawdę była tego warta.

Arthur cofnął się.

— Dlaczego powiedziałeś „inna chwila”? — zapytała, wystraszona.

— Morze jest teraz pełne cudownych krabów.

— Dlaczego powiedziałeś „inna chwila”, Arthurze? — krzyknęła Lauren.

— Każda chwila ciebie jest jak skradziony okruch życia. Nic nie zdoła mi tego odebrać. Spraw, by świat drgnął, Lauren, twój świat.

Cofnął się o kilka kroków, a potem zaczął biec, ile sił w nogach. Lauren wykrzyknęła jego imię. Arthur obejrzał się.

— Dlaczego powiedziałeś „inna chwila ciebie”?

— Wiedziałem, że jesteś! Kocham cię, ale to nie twoja sprawa.

I Arthur zniknął w mrocznej uliczce.

Żelazna krata opadała wolno i w końcu dotknęła chodnika. Sklepiarz przekręcił klucz w skrzynce wmontowanej w ścianę, piekielna syrena ucichła. Z wnętrza wciąż pikał cichy sygnał centralki alarmu.

Zielony ekran lśnił w półmroku szpitalnego pokoju. Elektroencefalograf regularnie nawoływał ostrym piskiem. Betty weszła do pokoju, włączyła światło i podbiegła do łóżka. Zerknęła na taśmę, która wysuwała się z małej drukarki, i natychmiast chwyciła za słuchawkę.

— Dajcie mi sprzęt reanimacyjny do trzysta siedem, wezwijcie Fernsteina, trzeba go natychmiast znaleźć, niech przyjdzie jak najszybciej. Blok na neurochirurgii ma być gotowy, ściągnijcie anestezjologa.

Niżej położone dzielnice miasta spowiła mgła. Lauren wstała z ławki i ruszyła ulicą, na której wszystko stało się nagle

biało-czarne. Kiedy znalazła się na Green Street, nocne niebo zasnuły chmury. Drobną deszcz przerodził się w letnią burzę. Lauren uniosła głowę i spojrzała w niebo. Usiadła na murku otaczającym skwer i długo przyglądała się wiktoriańskiej kamienicy na wzniesieniu Pacific Heights.

Kiedy ulewa ustała, Lauren otworzyła drzwi budynku i weszła po schodach na górę.

Miała mokre włosy. Zrzuciła ubranie i zostawiła je w salonie, wytarła głowę ścierką, która wisiała w kuchni, a potem otuliła się pledem ściągniętym z oparcia fotela.

Wyjęła z kuchennej szafki butelkę bordeaux i odkorkowała ją. Napełniła spory kieliszek, poszła do alkowy i spojrzała na wieżyczki Ghirardelli Square w dole. W oddali zabrzmiała syrena ostrzegawcza dużego statku towarowego wypływającego do Chin. Lauren zerknęła kątem oka na kanapę, która zdawała się wyciągać do niej ramiona. Zlekceważywszy to zaproszenie, szybko podeszła do biblioteczki. Sięgnęła po pierwszą książkę i rzuciła ją na podłogę, to samo zrobiła z drugą, a potem, ogarnięta złością, zrzuciła wszystkie na ziemię.

Kiedy półki świeciły już pustkami, odsunęła bibliotekę, odsłaniając niewielkie okno, które kryło się za nią. Teraz zabrała się do kanapy i mobilizując siły, obróciła ją o dziewięćdziesiąt stopni. Zataczając się, sięgnęła po stojący w progu alkowy kieliszek i usiadła. Arthur miał rację — z tego miejsca rozciągał się wspaniały widok na miasto. Przechyliła kieliszek i opróżniła go do dna.

Po wcięż jeszcze mokrej od deszczu ulicy spacerowała z psem starsza pani. Uniosła głowę, spoglądając na kamieniczkę, ku jedyjnemu już oknu, z którego sączyło się światło rozpraszające mrok pochmurnej nocy. Ręka śpiącej Lauren wolno się wyprostowała, a pusty kieliszek spadł na podłogę.



— Zabieram go na blok — krzyknęła Betty do dyżurnego anestezjologa.

— Poczekaj, muszę podreperować mu saturację.

— Nie mamy czasu.

— Do cholery, Betty, to ja jestem lekarzem.

— Doktorze Stern, byłam pielęgniarką, kiedy ty nie wyszedłeś jeszcze z pieluch. A może spróbujemy poprawić mu saturację już w drodze na górę?

Betty pchała łóżko, a doktor Philipp Stern biegł za nią po korytarzu, ciągnąc wózek ze sprzętem do reanimacji.

— Co mu jest? — zapytał. — Przecież był już prawie zdrowy.

— Gdyby był zdrowy, to teraz siedziałby w domu, i to przytomny. Dziś rano zapadał w drzemkę, więc wolałam go monitorować i podłączyłam encefalograf. Zawód pielęgniarce wymaga, żeby tak postąpić, ale przyczyny mają ustalać lekarze!

Koła wózka szybko się obracały, ale drzwi windy zaczęły się już zamykać. Betty wrzasnęła.

— Czekaście, to nagły wypadek!

Jakiś lekarz przytrzymał drzwi, Betty wepchnęła łóżko do windy, doktor Stern wprowadził wózek i wcisnął się do kabiny, gdzie nie było już prawie miejsca.

— Z jakiego typu wypadkiem mamy do czynienia? — zainteresował się medyk.

Betty spojrzała na niego karcąco i odparła:

— Z typem leżącym w tym łóżku.

A potem wybrała przycisk piątego piętra.

Kiedy kabina jechała w górę, Betty próbowała sięgnąć po komórkę, którą miała w kieszeni, ale drzwi już się rozsunęły. Z całej siły pchała łóżko na drugi koniec korytarza, do bloku operacyjnego. Granelli czekał przy wejściu. Pochylił się nad pacjentem.

— Chyba się już znamy?

A ponieważ Arthur nie odpowiadał, anestezjolog zwrócił się do Betty:

— Prawda, że już go tu widziałem?

— Krwiak podtwardówkowy w zeszły poniedziałek...  
— No to mamy problem. Fernstein już wie?  
— A ten znowu tutaj — powiedział chirurg, wchodząc do sali. — Przecież nie będziemy go operowali co tydzień!  
— Zoperujcie go raz, ale dobrze! — odburknęła Betty i wyszła.

Przebiegła przez korytarz i zjechała na dół do rejestracji izby przyjęć.

Dźwięk telefonu wyrwał Lauren ze snu. Po omacku szukała słuchawki.

— Nareszcie! — usłyszała głos Betty. — Dzwonię już trzeci raz, gdzieś ty była?!

— Która godzina?

— Fernstein mnie zabije, jeśli się dowie, że do ciebie zadzwoniłam.

Lauren usiadła na kanapie. Betty powiedziała jej, że musiała przewieźć pacjenta z trzysta siedem, tego, którego ostatnio operowali, na blok operacyjny. Serce Lauren zaczęło bić jak szalone.

— Ale dlaczego pozwoliliście mu wyjść tak szybko?! — zapytała z oburzeniem.

— O czym ty mówisz? — zdziwiła się Betty.

— Nie powinniście go wypisywać dziś rano, dobrze wiesz, o czym mówię, przecież sama podałaś mu mój adres!

— Piłaś?

— Trochę, a co?

— Opowiadasz jakieś bzdury. Przez cały dzień biegałam koło twojego pacjenta, a on nawet nie wstał z łóżka! A poza tym nie podawałam mu żadnego adresu.

— Przecież jadłam z nim śniadanie!

Przez chwilę obie milczały, potem Betty westchnęła.

— Popełniłam błąd, nie powinnam była do ciebie dzwonić!

— Oczywiście, że powinnaś, dlaczego tak mówisz?

— Bo cię znam i wiem, że wpadniesz tu za pół godziny, na domiar złego pijana jak bela, a to ci na pewno nie pomoże.

Lauren spojrzała na stojącą na ladzie butelkę — wypła duży kieliszek, nie więcej.

— Berty, czy ten pacjent, o którym rozmawiamy, to...?

— Tak! I jeżeli jeszcze raz powiesz, że jadłaś z nim dziś śniadanie, chociaż chłopak leżał w łóżku, podłączony do aparatury, to każę cię skierować na oddział, ale nie nasz i nie do jego pokoju!

Betty odłożyła słuchawkę. Lauren rozejrzała się po mieszkaniu. Kanapa nie stała na swoim miejscu, a widząc stertę książek pod biblioteczką, można by pomyśleć, że doszło do włamania. Postanowiła nie poddawać się absurdalnym odczuciom i domysłom, które ją dopadły. Na pewno istniało racjonalne wyjaśnienie tego, co się jej przydarzyło, trzeba było tylko je znaleźć! Wstając, nadepnęła na pusty kieliszek i głęboko rozcięła sobie stopę. Na dywan trysnęła jasnoczerwona krew.

— Tylko tego brakowało!

Skacząc na jednej nodze, dotarła do łazienki, ale przecież w domu nie było wody. Postawiła nogę w wannie, sięgnęła do apteczki i chwyciła butelkę spirytusu. Polała nim ranę. Ból był przejmujący, więc nabrała tchu, przezwyciężając zawrót głowy, a potem wyciągała kolejno odłamki szkła tkwiące w stopie. Leczyć innych to jedno, robić to samo z własnym ciałem to zupełnie co innego. Minęło dziesięć minut, a ona wciąż nie mogła uporać się z krwawieniem. Dokładniej obejrzała ranę — zwykły opatrunek nie wystarczy, żeby zespolić brzegi rany, trzeba założyć szwy. Wstała, zepchnęła flakoniki z półki, żeby wyjąć gaziki, ale ich nie znalazła, więc owinęła nogę ręcznikiem, związała go i pokuśtykała do garderoby.

— Śpi jak anioł! — oznajmił Granelli.

Fernstein oglądał wyniki rezonansu magnetycznego.

— Obawiałem się, że to ta zmiana, której wtedy nie zoperowałem, ale przyczyna jest inna. Za wcześnie usunęliśmy dreny, doszło do wysięku. Ciśnienie śródczaszkowe lekko wzrosło, wytworzymy teraz ujście i wszystko powinno wrócić do normy. Potrzebuję jakiejś godziny.

— Doskonale, drogi kolego — odparł Granelli, który był tego dnia w bardzo dobrym humorze.

— Miałem nadzieję, że wypiszę go w poniedziałek, ale będzie tu musiał zostać co najmniej tydzień dłużej i wcale nie jest mi to na rękę — narzekał Fernstein, zaczynając zabieg.

— Właściwie dlaczego? — zapytał Granelli, obserwując monitory.

— Mam swoje powody — powiedział stary profesor.

Włożenie dżinsów okazało się nieludzko trudne. Lauren wciągnęła sweter na gołe ciało, zawiązała jeden but i zamknęła drzwi mieszkania. Schody wydały jej się nagle wrogie i podstępne. Na drugim podejściu ból stał się zbyt ostry, żeby mogła dalej iść. Usiadła na stopniu i zsuwała się jak niewydarzony alpinista ze stromego zbocza. Pokuśtykała do samochodu i otworzyła drzwi garażu. Stary triumph mknął pod burzącym się niebem do San Francisco Memoriał Hospital. Przy każdej zmianie biegów ból przyprawiał ją o zawrót głowy. Otworzyła okno, żeby chłodne powietrze pomogło jej zachować przytomność.

Saab Paula jechał szybko po California Street. Od wyjścia z restauracji mężczyzna nie odezwał się ani słowem. Onega położyła rękę na jego nodze i zaczęła łagodnie ją gładzić.

— Nie martw się, to nie może być nic poważnego.

Paul milczał. Skręcił w Market Street i skierował się w stronę Dwudziestej Ulicy. Wybrał się dziś z Onegą na kolację do

restauracji na szczycie wieżowca Bank of America. Wtedy zadzwonił telefon. Pielęgniarka poinformowała go, że stan zdrowia Arthura Ashby 'ego pogorszył się i pacjent nie był zdolny podpisać zgody na zabieg, któremu trzeba go było poddać. Ponieważ nazwisko Paula widniało w karcie, to on musiał jak najszybciej pojawić się w szpitalu i podpisać dokumenty. Paul wyraził zgodę już przez telefon. Natychmiast wyszedł z restauracji i teraz jechał przez niemal opustoszałe miasto, mając u boku Onegę.

Triumph zatrzymał się przed wejściem do izby przyjęć. Ochroniarz podszedł do drzwi kierowcy, żeby poinformować, że w tym miejscu parkowanie jest zabronione. Lauren zdążyła tylko powiedzieć, że pracuje w tym szpitalu jako lekarz i że jest ranna, po czym zemdląła. Ochroniarz wezwał pomoc przez walkie-talkie.

Granelli pochylił się nad monitorem, a Fernstein dostrzegł nagły niepokój na jego twarzy.

— Jakieś problemy? — zapytał.

— Lekka arytmia komorowa, im szybciej pan skończy, tym lepiej, chciałbym wybudzić go, kiedy tylko będzie to możliwe.

— Robię, co mogę, drogi kolego.

Stojąca za szybą Betty, której udało się znaleźć na chwilę zastępstwo, uważnie obserwowała wszystko, co działo się w sali operacyjnej. Zerknęła na zegarek — Lauren powinna tu być lada chwila.

Paul wszedł do holu izby przyjęć i zgłosił się do rejestracji. Poproszono go, by zaczekał w poczekalni. Przełożona pielęg-

niarek była w tej chwili na górze, powinna jednak wkrótce wrócić. Onega objęła go i zaprowadziła do sali, w której mogli spokojnie usiąść. Odeszła na moment i wrzuciła monetę do dystrybutora z gorącymi napojami. Wybrała kawę bez cukru i wróciła do Paula, niosąc kubeczek.

— Masz — powiedziała przyjemnym, niskim głosem. — Nie zdążyłeś wypić kawy w restauracji.

— Przepraszam cię za ten wieczór. — Paul uniósł głowę i spojrzał na nią ze smutkiem.

— Nie masz za co przepraszać, a poza tym ryba i tak była niezbyt smaczna.

— Naprawdę? — zapytał zaniepokojony.

— Nie. Ale ważne jest tylko to, że spędzamy tę noc razem, tu czy gdzie indziej. Wypij, zanim wystygnie.

— Że też to się musiało stać akurat dziś, kiedy po raz pierwszy nie mogłem go odwiedzić!

Onega gładziła wzburzone włosy Paula. W jej geście przejawiał się ogrom czułości. A on patrzył na nią jak dziecko zagubione w dorosłym świecie.

— Nie mogę go stracić, mam tylko jego.

Onega przyjęła ten cios bez słowa. Usiadła obok Paula i objęła go.

— W mojej ojczyźnie jest taka pieśń, która mówi, że dopóki o kimś myślimy, on nie umiera, więc po prostu myśl o nim, a nie o swoim smutku.

Doktor Stern wszedł do gabinetu numer dwa, zbliżył się do łóżka i wziął kartę zgłoszenia pacjenta.

— Pani twarz wydaje mi się znajoma — powiedział.

— Pracuję tu — odparła Lauren.

— Aleja dopiero się tu przeniósłem, do piątku pracowałem w Bostonie.

— W takim razie nie mogliśmy się spotkać, od tygodnia

jestem na przymusowym urlopie, a w Bostonie moja noga nigdy nie stanęła.

— Skoro mowa o nodze... pani stopa paskudnie wygląda, jak pani to zrobiła?

— Idiotycznie!

— A dokładniej?

— Wdepnęłam w kieliszek... na nóżce!

— Ale to, co było w kieliszku, trafiło przedtem do pani żołądka?

— Można to tak ująć.

— Wyniki analiz mówią same za siebie, na szczęście udało mi się znaleźć resztki krwi w pani alkoholu.

— Nie przesadzajmy — obruszyła się Lauren, próbując usiąść — wypłam tylko trochę bordeaux.

Zakręciło jej się w głowie, poczuła skurcz żołądka i Stern ledwie zdążył podsunąć jej basen. Potem, uśmiechając się, podał jej chusteczkę ligninową.

— Droga koleżanko, kiedy patrzę na wyniki badań laboratoryjnych, trudno mi w to uwierzyć. Dałbym głowę, że wyjadła pani połowę krabów z tej uroczej zatoki i popiła je butelką cabernet sauvignon. Na przyszłość odradzam mieszanie tych dwóch kolorów. Czerwone po białym i cały świat się wali!

— Co pan powiedział? — zapytała.

— Ja, nic, ale pani żołądek...

Lauren położyła się i zasłoniła twarz dłońmi, nie rozumiejąc już nic z tego, co się jej przytrafiło.

— Muszę stąd wyjść, i to jak najszybciej.

— Zrobię, co się da — odparł Stern — ale najpierw muszę to zszyć i zrobić pani zastrzyk przeciwțęcowy. Woli pani znieczulenie miejscowe czy...

Lauren przerwała mu, prosząc, żeby jak najszybciej załatała ranę. Młody lekarz sięgnął po nici chirurgiczne i usiadł na taborecie przy pacjentce. Właśnie zakładał trzeci szew, kiedy do gabinetu weszła Betty.

— Co ci się stało? — zapytała.

— Wygląda na to, że się upiła! — odpowiedział za nią Stern.

— Paskudne skaleczenie — podjęła Betty, spoglądając na stopę Lauren.

— Co z nim? — zapytała Lauren, nie zwracając uwagi na Sterna.

— Właśnie wracam z bloku, nic nie jest jeszcze pewne, ale myślę, że z tego wyjdzie.

— Co się stało?

— Za wcześnie usunęli dren, doszło do wysięku.

— Betty, mogę cię o coś zapytać?

— A mogę odmówić?

Lauren złapała Sterna za rękę i poprosiła, żeby na chwilę zostawił je same. Lekarz chciał jednak przedtem skończyć zakładanie szwów. Betty wyjęła mu igłę z ręki i powiedziała, że sama się tym zajmie. W poczekalni siedział tłum pacjentów, którym jego pomoc była naprawdę potrzebna. Do tego skaleczenia wystarczy pielęgniarka.

Stern zerknął na Betty. Wstał, uznając, że faktycznie może pozostawić jej założenie opatrunku i zrobienie zastrzyku. Przełożone pielęgniarek w szpitalach miały dość silną pozycję wobec młodych lekarzy.

Betty usiadła przy Lauren.

— Słucham — powiedziała.

— Wiem, że pytanie, które ci zadam, wyda ci się dziwne, ale powiedz, czy to możliwe, żeby pacjent z trzysta siedem jakoś ci się wymknął w ciągu dnia? Przysięgam, że to zostanie między nami!

— Wyrażaj się bardziej precyzyjnie! — powiedziała Betty, w której głosie brzmiało już oburzenie.

— Sama nie wiem, czy mógł ułożyć w łóżku kukłę, żeby nikt nie zauważył jego nieobecności, i uciec na kilka godzin, a ty po prostu tego nie zauważyłaś? Wygląda mi na zdolnego do takich kawałów...



Betty spojrzała na stojący przy umywalce basen i podniosła oczy do nieba.

— Kotku, wstyd mi za ciebie!

Stern wsunął głowę do gabinetu.

— Jest pani całkowicie pewna, że nigdy się nie spotkaliśmy? Byłem tu na stażu, pięć lat temu...

— Wynocha! — warknęła na niego Betty.

Profesor Fernstein spojrzał na zegarek.

— Pięćdziesiąt cztery minuty! Może pan budzić pacjenta — powiedział Fernstein, odchodząc od stołu.

Profesor skinął głową anestezjologowi i wyszedł z sali operacyjnej. Widać było, że jest w fatalnym nastroju.

— Co go ugryzło? — zapytał Granelli.

— Ostatnio jest przemęczony — powiedziała ze smutkiem Norma.

Pielęgniarka zajęła się zakładaniem opatrunku, a Granelli wyprowadzał pacjenta z narkozy.

Winda zatrzymała się na poziomie izby przyjęć. Fernstein wysiadł i szybkim krokiem przemierzał korytarz. Jego uwagę zwrócił głos dobiegający z jednego z gabinetów. Zaniepokojony, uchylił drzwi i zobaczył Lauren siedzącą na łóżku i rozmawiającą z Betty.

— Czyżbym o czymś nie wiedział? Do diabła, przecież nie wolno pani przekraczać progów tego szpitala! Jak dotąd, nie została pani przywrócona do pracy!

— Przyjechałam jako pacjentka!

Fernstein spojrzał na nią podejrzliwie. Lauren z dumą uniosła nogę w górę, a Betty poinformowała profesora, że trzeba było założyć siedem szwów na pięcie. Fernstein gniewnie zacisnął pięści.

— Doprawdy, nie cofnie się pani przed żadnym szaleństwem, byle zrobić mi na złość.

Lauren chciała mu odpowiedzieć, jednak Betty, która siedziała tyłem do profesora, zgromiła ją wzrokiem, zmuszając do milczenia. Fernstein wyszedł i teraz słysząc było tylko jego kroki na korytarzu. Minał hol, uprzedzając rejestratorkę, że wraca do siebie i nie życzy sobie, żeby go niepokojono, nawet gdyby sam gubernator Kalifornii rozkwasił sobie nos w siłowni.

— Co ja mu zrobiłam? — zapytała oszołomiona Lauren.

— Tęskni za tobą! Odkąd cię odsunął, ma żal do całego świata. Poza tobą wszyscy tylko działają mu na nerwy.

— Wolałabym, żeby tęsknił trochę mniej! Słyszałaś, jak on się do mnie odzywa?

Betty pobierała zbędne bandaże i schowała je do jednej z szuflad.

— Szczerze mówiąc, kotku, ty też nie przebierasz w słowach! Opatrunek powinien się trzymać, możesz się teraz włóczyć gdzie zechcesz, byle nie po szpitalu.

— Myślisz, że przewieźli go już do pokoju?

— Kogo? — zapytała obłudnie Betty, zamykając apteczkę.

— Betty!...

— Zajrzę do niego, jeżeli mi obiecasz, że się stąd wyniesiesz, kiedy tylko wrócę i powiem ci, co z nim.

Lauren skinęła głową i Betty wyszła, zostawiając ją w gabinecie.

Fernstein szedł przez parking. Ból dopadł go znowu, gdy od samochodu dzieliło go kilka metrów. Po raz pierwszy miał taki atak podczas operacji. Wiedział, że Norma odgadła z wyrazu jego twarzy, że ból skręca mu trzewia. Sześć minut, o które udało mu się skrócić operację, znaczyło wiele dla jego pacjenta. Teraz czoło profesora zrosił pot, wzrok mącił mu się coraz bardziej, każdy krok był torturą. Fernstein poczuł metaliczny smak w ustach. Zgięty wpół, zasłonił usta ręką — gwałowny napad kaszlu sprawił, że po palcach spływała mu krew. Jeszcze

tylko kilka metrów. Oby strażnik go teraz nie zobaczył! Oparł się o drzwiczki i szukał w kieszeni pilota, który je otwierał. Resztkami sił wsunął się za kierownicę i postanowił zaczekać, aż napad minie. Świat zniknął za ciemną zasłoną.

Betty nie wracała. Lauren wymknęła się na korytarz i pokuśtykała do szatni. Z jednej z szafek wzięła pierwszy z brzegu fartuch, a potem dyskretnie wyszła. Otworzyła drzwi opatrzone tabliczką „Wstęp tylko dla personelu” i ruszyła długim korytarzem, odruchowo pochylając głowę na widok biegnących górą rur. Tak dotarła na pediatrię, znajdującą się w innym skrzydle budynku. Windą wjechała na trzecie piętro, a stamtąd, także przez zaplecze techniczne, wróciła do swojego skrzydła i wreszcie znalazła się na neurologii. Zatrzymała się przy drzwiach pokoju trzysta siedem.

Paul poderwał się z miejsca, owładnięty przerażeniem. Ale uśmiech Betty, która szła w jego stronę, nieco go uspokoił.

— Najgorsze już za nami — powiedziała.

Operacja przebiegła bez komplikacji, teraz Arthur odpoczywał w swoim pokoju, nie zatrzymano go nawet na oddziale intensywnej terapii. To, co stało się dziś wieczorem, było tylko niegroźnym problemem pooperacyjnym i nie mogło mieć poważniejszych konsekwencji. Jutro Paul będzie mógł odwiedzić przyjaciela. Paul chciał zostać przy Arthurze całą noc, ale Betty zapewniła go, że nie ma takiej potrzeby ani powodów do obaw. Miała jego telefon i gdyby cokolwiek się działo, natychmiast zadzwoni.

— Może mi pani obiecać, że nie stanie się już nic poważnego? — pytał, patrząc na nią błagalnie.

— Chodź — wtrąciła się Onega, ujmując go za rękę. — Wracajmy.

— Wszystko jest pod kontrolą — zapewniła Berty. — Niech pan idzie odpocząć, wygląda pan jak zjawa i przyda się panu kilka godzin snu. Będę nad nim czuwała.

Paul chwycił pielęgniarkę za rękę i potrząsnął nią, przepłatając słowa podziękowania i przeprosin.

Onega musiała siłą zaciągnąć go do wyjścia.

— Gdybym cię lepiej знаła, wybrałabym rolę twojego najlepszego przyjaciela! Wobec niego jesteś znacznie bardziej wylewny! — powiedziała, kiedy szli przez parking.

— Nie miałem przecież okazji zajmować się tobą w chorobie — odparł ze źle skrywaną złością i otworzył przed nią drzwi saaba.

Usiadł za kierownicą i z niepokojem przyglądał się zaparkowanemu obok samochodowi.

— Dlaczego nie ruszasz? — zapytała Onega.

— Spójrz na tego faceta na przednim siedzeniu... Kiepsko wygląda, może coś mu jest?

— Jesteśmy na parkingu przed szpitalem, a ty nie jesteś lekarzem! Przestań zabawiać się w bernardyna ratownika, wystarczy jak na jeden wieczór! Wracajmy.

Saab ruszył z miejsca i zniknął za rogiem ulicy.

Lauren pchnęła drzwi i weszła do pokoju, w którym panował półmrok i cisza. Arthur uniósł powieki. Miała wrażenie, że się do niej uśmiechnął i zaraz potem zapadł w sen. Podeszła do łóżka i uważnie mu się przypatrywała. Z pamięci wyłoniły się słowa ojca Marcii — po raz ostatni wychodząc z pokoju córki, odwrócił się jeszcze, żeby powiedzieć po hiszpańsku: „Gdyby życie było jak długi sen, jego brzegiem byłoby uczucie”. Lauren podeszła kilka kroków i w mroku pochyliła się nad Arthurem. Szepnęła mu do ucha:

— Miałam dziś niezwykły sen. I odkąd się obudziłam, marzę, żeby do niego wrócić, ale nie wiem dlaczego. I nie wiem, jak to zrobić. Chciałabym cię zobaczyć, tam gdzie śpisz.

Pocałowała go w czoło, cofnęła się wolno i zamknęła za sobą drzwi.

# 16

Nad zatoką San Francisco wstawał dzień. Fernstein wszedł do kuchni, usiadł przy stole, sięgnął po ekspres do kawy i napełnił dwie filiżanki.

— Późno wczoraj wróciłeś... — powiedziała Norma.

— Miałem dużo pracy.

— Przecież wyszedłeś ze szpitala na długo przede mną?

— Musiałem załatwić coś w mieście.

Norma odwróciła się do niego. Miała zaczerwienione oczy.

— Ja też się boję, ale ty nigdy nie dostrzegasz mojego lęku, myślisz tylko o swoim. Wydaje ci się, że nie konam ze strachu na myśl o tym, że cię przeżyję?

Fernstein wstał i wziął Normę w ramiona.

— Przykro mi, nie sądziłem, że tak trudno jest umierać.

— Ocierałeś się o śmierć przez całe życie.

— O śmierć innych, ale nie moją własną.

Norma ujęła twarz kochanka w dłonie, przywarła ustami do jego policzka.

— Proszę tylko, żebyś podjął walkę, żebyś targował się o czas, o rok, półtora... Nie jestem gotowa!

— Jeśli mam być szczerzy, ja też nie.

— W takim razie zgódź się na leczenie.

Profesor podszedł do okna. Słońce wyłoniło się zza wzgórz Tiburon. Głęboko wdychał powietrze.

— Złożę dymisję, kiedy tylko Lauren uzyska doktorat. Wyjedziemy do Nowego Jorku, mój stary przyjaciel chętnie przyjmie mnie do siebie. Podejmiemy próbę.

— Mówisz serio? — zapytała Norma, z której oczu płynęły łzy.

— Często zatruwałem ci życie, ale nigdy cię nie okłamałem.

— Dlaczego nie chcesz zacząć natychmiast? Jedźmy tam jutro.

— Powiedziałem ci: czekam na doktorat Lauren. Chcę zakończyć pracę, ale nie zamierzam wszystkiego roztrwonić. Zrobisz mi kanapkę?

Paul odwiózł Onegę pod dom. Zatrzymał się, wysiadł i szybko okrążył samochód. Przyłgął do drzwi, uniemożliwiając dziewczynie ich otwarcie. Patrzyła na niego, nie rozumiejąc tej nowej gry. Zapukał w szybę, prosząc, żeby otworzyła.

— Zostawiam ci samochód. Teraz pojedę taksówką do szpitala. W samochodzie leży klucz od mieszkania. Weź go, jest twój, ja mam drugi w kieszeni.

Onega przyglądała mu się, coraz bardziej zaintrygowana.

— No dobrze, przyznaję, że to głupi sposób informowania cię, że chciałbym, żebyśmy częściej mieszkali razem — dodał Paul. — Jeżeli o mnie chodzi, to chętnie widziałbym cię tu co wieczór, bardzo by mi to odpowiadało, ale teraz, kiedy masz klucz, sama podejmiesz decyzję, wszystko zależy od ciebie.

— Masz rację, rzeczywiście głupio się do tego zabierasz — odpowiedziała miękko.

— Zrozum, straciłem w tym tygodniu sporo neuronów.

— Mimo wszystko wciąż mi się podobaś, nawet taki głupi.

— Nareszcie jakaś miła wiadomość!

— Pospiesz się, bo nie zdążysz przed jego przebudzeniem.

Paul pochylił się.

— Tylko bądź ostrożna, to delikatny wóz, zwłaszcza sprzęgło.

Namiętnie ucałował Onegę i pobiegł w stronę skrzyżowania. Stamtąd pojechał taksówką do San Francisco Memoriał Hospital. Kiedy opowie Arthurowi o tym, co zrobił, przyjaciel na pewno pożyczy mu starego forda.

Lauren obudziło walenie setek młotków w jej głowie. Czowała potworny, rwący ból w nodze, więc szybko zdjęła bandażę i obejrzała stopę.

— Cholera jasna! — mruknęła, stwierdzając, że rana ropieje. — Tego mi tylko brakowało!

Wstała i kuśtykając, dotarła do łazienki. Otworzyła apteczkę, odkręciła butelkę z antyseptykiem i polała nim piętę. Ból był tak ostry, że upuściła butelkę. Lauren doskonale wiedziała, że na tym się nie skończy. Trzeba było jeszcze raz oczyścić ranę i zastosować kurację antybiotykową. Takie infekcje często bywają groźne. Ubrała się i wezwała taksówkę. Nie mogła ryzykować jazdy własnym samochodem.

Dziesięć minut później była już w szpitalu i kuśtykała po holu. Pacjent, który od dwóch godzin czekał na swoją kolej, poradził jej, żeby usiadła i jak wszyscy uzbroiła się w cierpliwość. Pokazała mu identyfikator i weszła przez szklane drzwi prowadzące do gabinetów.

— Co ty tu robisz? — zapytała Betty. — Jeżeli Fernstein cię zobaczy...

— Nie dogaduj, tylko się mną zajmij. Boli mnie jak sto diabłów.

— Skoro narzekasz, sprawa musi być poważna. Siadaj na wózku.

— Bez przesady. Który gabinet jest wolny?

— Trójka! Tylko się pospiesz, jestem tu od dwudziestu



sześciu godzin. Sama nie wiem, jakim cudem trzymam się jeszcze na nogach.

— Odpoczęłaś trochę dziś w nocy?

— Parę minut, tuż przed świtem.

Betty pomogła jej usiąść na łóżku i zdjęła bandaże, żeby obejrzyć ranę.

— Jakim cudem udało ci się tak szybko zainfekować nogę?!

Szybko przygotowała strzykawkę z lidokainą. Kiedy znieczulenie miejscowe uwolniło Lauren od bólu, Betty rozsunęła brzegi rany i oczyściła zainfekowaną tkankę. Potem sięgnęła po nici chirurgiczne.

— Zdasz się na mnie czy wolisz sama się pozszywać?

— Zrób to, ale najpierw załóż dren, nie mam ochoty podejmować ryzyka.

— Przykro mi, ale będziesz miała sporą szramę.

— Jedna więcej, jedna mniej!

Kiedy pielęgniarka zajmowała się raną, Lauren mięła w palcach prześcieradło. Wykorzystała dogodny moment, by zadać odwróconej do niej plecami Betty cisnące się na usta pytanie.

— Co z nim?

— Obudził się w świetnej formie. Ten facet o mało nie przeniósł się w nocy na tamten świat, a teraz interesuje go tylko, kiedy będzie mógł stąd wyjść. Słowo daję, przez ten szpital przewija się galeria dziwaków!

— Nie zaciskaj tak mocno bandaży.

— Postaram się. Tylko pamiętaj, że nie wolno ci wchodzić na górę!

— Nawet gdybym zabłądziła w tych krętych korytarzach?

— Lauren, nie udawaj idiotki! Igrasz z ogniem. Zostało ci kilka miesięcy do zakończenia specjalizacji, chyba nie zamierzasz wszystkiego zaprzepaścić!

— Tej nocy dużo o nim myślałam, i to w dość specyficzny sposób.

— Myśl sobie o nim choćby przez cały tydzień, a zobaczysz go w przyszłą niedzielę. W przeciwieństwie do ducha z opery

ten ma imię, nazwisko, adres i telefon, więc jeśli chcesz się z nim spotkać, zadzwoń, kiedy wyjdzie!

— Uważasz pewnie, że to w moim stylu? — szepnęła nieśmiało Lauren.

Berty ujęła ją za podbródek i spojrzała na nią z rozczuleniem.

— Powiedz, kotku, czy właśnie zwierzasz mi się ze swoich uczuć? Jeszcze nigdy nie słyszałam u ciebie tak słodkiego tonu!

Lauren odepchnęła rękę Berty.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje, po prostu chcę się z nim spotkać i przekonać na własne oczy, że nic mu już nie grozi. Przecież to mój pacjent!

— Chyba już wiem, co się z tobą dzieje, mogę ci to wytłumaczyć...

— Przestań się ze mnie nabijać, to nie jest takie proste, jak sądzisz!

Betty parsknęła śmiechem.

— Wcale z ciebie nie kpię, po prostu trochę mnie zaskoczyłaś. No dobrze, muszę cię teraz zostawić, idę do domu, padam z nóg. Tylko nie rób żadnych głupstw.

Przyciągnęła balkonik i postawiła go koło Lauren.

— Będzie ci łatwiej wstać i chodzić. Zajrzyj do apteki po antybiotyki. W szafie stoją kule, weź je.

Betty wyszła, ale po chwili wróciła.

— Jeżeli naprawdę zapomniałaś, jak poruszać się po szpitalu, to przypominam, że apteka mieści się na pierwszym poziomie podziemia, nie chciałabym, żebyś pomyliła ją z neurologią, bo to te same windy!

Lauren słyszała jej kroki na korytarzu.

Paul stał przy łóżku Arthura. Otworzył papierową torebkę, pełną rogalików i drożdżówek.

— Co to za pomysły, żeby lądować na bloku operacyjnym

pod moją nieobecność?! Mam nadzieję, że jakoś sobie beze mnie poradzili. Jak się teraz czujesz?

— Całkiem nieźle, tylko mam już dość szpitala. Za to ty wyglądasz kiepsko.

— Przez ciebie nie zmrużyłem oka.

Lauren sięgnęła po bloczek recept i wypisała silny antybiotyk. Podpisała druk i podała go farmaceutce.

— Ostro sobie pani poczyna, leczy pani posocznicę?

— Mój koń ma silną gorączkę!

— Po tym jutro ruszy z kopyta!

Aptekarz zniknął za regałami, a po chwili wrócił z flakonikiem.

— Radzę jednak zachować ostrożność. Lubię konie, a tym można by go zabić.

Lauren bez słowa zabrała lekarstwo i wsiadła do windy. Zawahała się, trzymając palec nad guzikiem z cyfrą trzy. Na parterze do kabiny wsiadł technik z elektroencefalografem. Monitor był owinięty żółtą folią.

— Na które? — zapytała Lauren.

— Neurologia!

— Nawalił?

— Te maszyny są coraz doskonalsze, ale i coraz bardziej kapryśne. Ta tutaj zużyła wczoraj całą rolkę papieru, kreśląc dziwaczne linie. To już nie była żadna nadczynność mózgowa, ale pomiar prądu w centrali elektrycznej. Faceci z obsługi siedzieli nad nią trzy godziny i twierdzą, że wszystko jest w porządku! Prawdopodobnie to tylko zakłócenia.

— Co robiłeś wczoraj wieczorem? — zapytał Arthur.

— Coś ty taki ciekawski? Jadłem kolację z pewną młodą damą. Arthur spojrział badawczo na przyjaciela.

- Z Onegą — wyznał Paul.
- Widujecie się?
- Można to i tak nazwać.
- Masz jakiś dziwny głos.
- Obawiam się, że palnąłem głupstwo.
- Jakie?
- Dałem jej klucze do swojego mieszkania.

Twarz Arthura rozbłysła, miał ochotę poklepać Paula po plecach, ale ten wstał i stanął przy oknie. Był zamyślony.

— Czyżbyś już tego żałował?

— Boję się, że ją wystraszyłem, może działałem zbyt szybko.

— Zakochałeś się?

— Nie mogę tego wykluczyć.

— W takim razie zdaj się na intuicję, skoro zdecydowałeś się na ten krok, to na pewno tego chciałeś, a ona to wyczuje. Uwierz mi: odwzajemnianie uczuć nie przynosi nikomu wstydu.

— Uważasz, że nie popełniłem błędu? — zapytał Paul, wpatrując się w Arthura z nadzieją.

— Jeszcze nigdy nie widziałem cię w takim stanie, a przecież nie ma powodu do niepokoju!

— Nie dzwoniła do mnie.

— Od jak dawna?

Paul spojrział na zegarek.

— Od dwóch godzin.

— Aż tak długo? Naprawdę wpadłeś po uszy! Daj jej trochę czasu, żeby mogła się nacieszyć twoim gestem, a poza tym nie blokuj jej linii, bo musi obdzwonić wszystkie koleżanki i powiedzieć im, że wreszcie usidliła najbardziej zatwardziałego kawalera w San Francisco.

— Dobra, możesz się ze mnie śmiać, ciekawe, jak ty byś wyglądał na moim miejscu! Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. Jest mi zimno, gorąco, pocałuj mi się rękę, boli mnie brzuch, mam sucho w ustach.

— Po prostu się zakochałeś!

— Wiedziałem, że to nie dla mnie. Miłość wpędza mnie w chorobę.

— Przekonasz się, że skutki uboczne są cudowne.

Za oszkloną ścianą pokoju pojawiła się lekarka. Paul wytrzeszczył oczy.

— Nie przeszkadzam? — zapytała Lauren, wchodząc do środka.

— Skądże — odparł Paul.

Właśnie zamierzał iść po kawę. Spytał Arthura, czy i on ma ochotę się napić, ale Lauren wyręczyła go w odpowiedzi, mówiąc, że to niewskazane. Paul zostawił ich samych.

— Miała pani wypadek? — zaniepokoił się Arthur.

— Chwila nieuwagi — uśmiechnęła się, sięgając po kartę chorego.

Arthur zerknął na jej nogę.

— Jak do tego doszło?

— Po prostu niestrawność po święcie kraba!

— Złamanie to objaw niestrawności?

— To tylko paskudne skaleczenie.

— Kraby panią pokąsały?

— Nie rozumie pan nic z mojej paplaniny, prawda?

— Szczerze mówiąc, nie, ale jeżeli zechce mi to pani wyjaśnić...

— A jak panu minęła ta noc?

— Sporo się działo...

— Czyżby opuszczał pan łóżko? — zapytała z nadzieją w głosie.

— Raczej się w nie zapadłem. Podobno mózg mi się prze-grzał i znowu musieli oddać mnie do naprawy chirurgom.

Lauren uważnie mu się przypatrywała.

— Co się stało? — zapytał Arthur. — Dziwnie pani wygląda.

— Nie, nic, to głupstwo.

— Czy moje wyniki są niepokojące?

— Nie, proszę się nie martwić, to nie ma nic wspólnego ze stanem pańskiego zdrowia — powiedziała łagodnie.

— A więc o co chodzi?

Oparła ręce o wezgi łóżka.

— Czy nie pamięta pan nic z...

— Czego? — przerwał, rozgorączkowany.

— Nie, to naprawdę żałosne, po prostu idiotyczne.

— Mimo to proszę mi powiedzieć! — napierał Arthur.

Lauren podeszła do okna.

— Nie biorę alkoholu do ust, a wczoraj upiłam się jak nigdy w życiu!

Arthur milczał, a ona odwróciła się i słowa popłynęły z jej ust jakby wbrew jej woli.

— To, o czym chciałabym panu opowiedzieć, trudno zrozumieć...

Do pokoju wpadła kobieta z ogromnym bukietem kwiatów, które zasłaniały jej twarz. Położyła bukiet na stoliku i podeszła do łóżka.

— Boże, jak ja się bałam! — rzuciła Carol-Ann, chwytając Arthura w ramiona.

Lauren zerknęła na wysadzany brylantami pierścionek na palcu lewej ręki kobiety.

— To głupstwo — szepnęła Lauren — chciałam się tylko dowiedzieć, jak się pan czuje. Teraz zostawię pana z narzeczoną.

Carol-Ann coraz mocniej ścisnęła Arthura, głaskała go po twarzy.

— Czy wiesz, że są takie kraje, w których na zawsze należy się do tego, kto ocalił ci życie?

— Carol-Ann, udusisz mnie.

Nieco speszona odsunęła się od Arthura i wygładziła spódnicę. Arthur rozglądał się, szukając Lauren, ale zdażyła już wyjść z pokoju.

Paul szedł korytarzem i już z daleka zobaczył zbliżającą się do niego Lauren. Kiedy się mijali, uśmiechnął się porozumiewawczo, ale ona go zignorowała. Wzruszył ramionami i poszedł

dalej. Kiedy otworzył drzwi pokoju Arthura, osłupiał, nie mogąc uwierzyć własnym oczom: na krześle przy oknie siedziała Carol-Ann.

— Witaj, Paul — powiedziała.

— Boże drogi! — krzyknął, wypuszczając z ręki kawę.

Pochylił się, żeby podnieść kubek.

— Nieszczęścia zawsze chodzą parami — mruknął, prosząc się.

— Czy mam to uznać za komplement? — zapytała uszczypniętym tonem.

— Gdybym był dobrze wychowany, powiedziałbym, że tak, ale przecież mnie znasz i wiesz, że jestem grubiański!

Carol-Ann poderwała się z miejsca i z oburzeniem spojrzała na Arthura.

— A ty po prostu milczysz?

— Carol-Ann, zadaję sobie pytanie, czy nie przynosisz mi pecha!

Carol-Ann chwyciła bukiet i wyszła, trzaskając drzwiami.

— Co teraz zamierzasz? — zapytał Paul.

— Chcę jak najszybciej stąd wyjść!

Paul krążył po pokoju.

— Co ci się stało?

— Nie mogę sobie darować... — powiedział Paul.

— Ale czego?

— Że dopiero teraz to do mnie dotarło...

I Paul ruszył w dalszą wędrówkę po szpitalnym pokoju.

— Musisz przyznać, że na moją obronę przemawia fakt, że nigdy nie miałem okazji widzieć was naprawdę razem, to znaczy — nie widziałem was obojga przytomnych w tym samym czasie. A to, co między wami zaszło, wydaje się dość skomplikowane...

Ale teraz, patrząc na nich oboje przez szybę, Paul zrozumiał, że choć może nawet o tym nie wiedzą, Lauren i Arthur tworzą jedyną w swoim rodzaju parę, że idealnie do siebie pasują.

— Nie wiem, co powinieneś zrobić, ale nie strać jej.

— Cóż mógłbym jej powiedzieć? Że kochaliśmy się tak bardzo, że snuliśmy najśmielsze plany, tylko że teraz ona tego nie pamięta?!

— Lepiej się przyznaj, że chcąc ją chronić, pojechałeś budować muzeum za oceanem, że wciąż o niej myślałeś, powiedz, że wróciłeś z tej podróży i wciąż za nią szalejesz!

Arthur nie był w stanie wydusić z siebie słowa, bo dławiony szloch narastał mu w gardle. A Paul nieco podniesionym głosem mówi dalej.

— Tak długo śniłeś o tej kobiecie, że zdołałeś mnie wciągnąć do krainy swoich marzeń. Któregoś dnia powiedziałaś: „Liczymy, analizujemy za i przeciw, a tymczasem życie upływa i nic się nie dzieje”, więc myśl szybko. To dzięki tobie dałem Onedze klucze do mieszkania. Ona wciąż nie dzwoni, a ja mimo wszystko jeszcze nigdy nie czułem się taki lekki, uskrzydłony. Jestem ci coś winien, stary. Nie rezygnuj z Lauren, zanim spróbujesz ją kochać w realnym życiu.

— Utknąłem w ślepych zaułku, Paul. Nie zdołałbym żyć u jej boku, okłamując ją, ale nie mogę też powiedzieć jej, co się naprawdę stało... a lista jest długa! To dziwne, ale często mamy żal do człowieka, który mówi nam trudną do przyjęcia prawdę, coś, w co nie sposób uwierzyć.

Paul podszedł do łóżka.

— Boisz się powiedzieć jej prawdę o matce, stary. Przypomnij sobie, czego uczyła cię Liii. Lepiej jest walczyć o marzenia niż realizować plany.

Paul wstał i podszedł do drzwi, potem przykląkł na jedno kolano i z przewrotnym uśmiechem na ustach wydeklamował:

— „Jeśli miłość żywi się nadzieją, wraz z nią umiera!”. Dobranoc, mój Rodrygu!

I wyszedł, zostawiając Arthura samego.



Paul grzebał w kieszeni, szukając kluczyków, ale znalazł tylko telefon. Na ekranie migała koperta. Wiadomość od Onegi brzmiała: „Do zobaczenia, pospiesz się!”. Paul spojrział w niebo i krzyknął z radości.

— Co pana tak uszczęśliwia? — zapytała Lauren, która stała w pobliżu, czekając na taksówkę.

— Pożyczyłem komuś samochód! — odparł Paul.

— Jakie płatki śniadaniowe pan jada? — rzuciła, patrząc na niego z drwiącym uśmieszkiem.

Zatrzymał się przed nimi wóz Yellow Cab Company. Lauren otworzyła drzwi i skinęła na Paula, zachęcając, żeby wsiadł.

— Podwożę pana!

Paul usiadł obok niej.

— Green Street! — rzucił.

— Mieszka pan tam? — zdziwiła się Lauren.

— Nie, ale przecież to pani adres.

Lauren zaniemówiła. Paul sprawiał wrażenie zamyślnego, szeptął ledwie słyszalnym głosem: „Zabije mnie, jeżeli to zrobię, zabije mnie!”.

— A co pan zamierza zrobić? — pochwyciła Lauren.

— Proszę najpierw zapiąć pasy — poradził Paul.

Patrzyła na niego coraz bardziej zaintrygowana. Paul wahał się jeszcze przez chwilę, potem wziął głęboki oddech i nieco się do niej przysunął.

— Zacznijmy od pewnego uściślenia: ta wariatka w pokoju Arthura, ta z gigantycznym bukietem, to jedna z jego „byłych”, i to z czasów prehistorycznych, w dodatku kompletna pomyłka!

— Co dalej?

— Nie mogę, jeśli powiem jeszcze słowo, gotów mnie naprawdę zamordować.

— Czyżby pański kumpel był aż tak groźny? — zaniepokoił się taksówkarz.

— Niech się pan nie wtrąca! Arthur muchy by nie skrzywdził! — odparł ze złością Paul.

— Naprawdę? — zdziwiła się Lauren.

— Jest przekonany, że jego matka po śmierci uległa reinkarnacji i powróciła jako mucha!

— Aha! — mruknęła Lauren, wyglądając przez okno.

— Popełniłem głupstwo, wspominając o tym, bo teraz uzna go pani za dziwaka, prawda? — ciągnął Paul, zerkając na nią z niepokojem.

— Skoro już o tym mowa — wtrącił taksówkarz — w zeszłym tygodniu byłem z dziećmi w zoo i mój syn stwierdził, że hipopotam i babcia są do siebie podobni jak dwie krople wody. Muszę tam wpaść i dokładniej przyjrzeć się zwierzakowi!

Paul zmierzył go groźnym spojrzeniem, które tamten mógł zobaczyć w lusterku wstecznym.

— No dobrze, raz kozie śmierć, powiem... — oznajmił, biorąc Lauren za rękę. — W karetce, którą jechaliśmy z San Pedro, zapytała pani, czy ktoś z moich bliskich zapadł w śpiączkę. Pamięta pani.

— Tak, oczywiście.

— Otóż w tej chwili ta osoba siedzi obok mnie. Przyszedł czas, żebym to i owo pani powiedział.

San Francisco Memoriał Hospital został już daleko za nimi, a samochód mknął ku Pacific Heights. Losowi czasem trzeba trochę pomóc. Dziś tę pomocną dłoń wyciągnęła do niego przyjaźń.

Paul wyjaśnił Lauren, jak pewnej letniej nocy on przebrał się za pielęgniarza, a Arthur za lekarza, i rozklekotaną karetką przewieźli wykradzione ze szpitala ciało młodej kobiety w śpiączce, by uchronić ją przed śmiercią poprzez odłączenie od aparatury.

Za oknem przesuwwały się ulice miasta. Taksówkarz co pewien czas spoglądał niepewnie w lusterko wsteczne. Lauren słuchała opowieści w milczeniu. Paul właściwie nie zdradził sekretu przyjaciela, bo choć od tej chwili Lauren wiedziała, kim był mężczyzna, który czuwał przy jej szpitalnym łóżku, to nadal nie wiedziała, co razem przeżyli, kiedy była w śpiączce.

— Niech pan stanie! — rzuciła nagle drżącym głosem.

— Teraz? — zapytał kierowca.

— Źle się czuję.

Samochód gwałtownie skręcił i z piskiem opon zatrzymał się na poboczu. Lauren otworzyła drzwi i pokuśtykała na trawnik oddzielający chodnik od jezdni.

Zgięła się wpół, żeby powstrzymać narastającą falę mdłości. Czowała, że tysiące igieł kłują jej twarz, było jej gorąco, a mimo to drżała. Zrobiło jej się słabo, nie mogła złapać tchu. Powieki zaczęły jej ciążyć, dźwięki docierały jakby wygłuszone. Ugięły się pod nią nogi, zachwiała się. Taksówkarz i Paul podbiegli w ostatniej chwili, by ją podtrzymać. Osunęła się na kolana, na trawę, chwyciła się za głowę i zemdląła.

— Trzeba wezwać pogotowie! — krzyknął przerażony Paul.

— Może po prostu ja się nią zajmę, skończyłem kurs dla ratowników, zrobię jej sztuczne oddychanie metodą usta-usta! — zaoferował z dużą wiarą w siebie kierowca.

— Powiedzmy to sobie jasno! Jeżeli zbliżysz swoją oblesną gębę do tej dziewczyny, dam ci w łeb!

— Chciałem tylko pomóc! — bronił się urażony taksówkarz.

Paul ukląkł przy Lauren i delikatnie klepnął ją po twarzy.

— Proszę pani! — szepnął cicho.

— No nie, w ten sposób na pewno jej pan nie ocuci! — zrzędził taksówkarz.

— Idź lepiej zrobić usta-usta swojej babci hipopotamicy i odczep się ode mnie!

Paul położył ręce na brodzie Lauren i mocno ucisnął stawy jej żuchwy.

— Co pan wyprawia? Zwichnie jej pan szczękę!

— Dobrze wiem, co robię! — wrzasnął Paul. — Jestem stażystą na chirurgii!

Lauren otworzyła oczy, a Paul rzucił taksówkarzowi triumfalne spojrzenie.

Potem już zgodnie pomogli jej wsiąść do samochodu. Twarz Lauren odzyskała normalną barwę. Kobieta otworzyła okno i głęboko oddychała.

— Przepraszam, już mi lepiej.

— Nie powinienem być pani o tym mówić, to moja wina... — podjął zdenerwowany Paul.

— Jeżeli ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia, to skoro doszliśmy tak daleko... niech pan to powie teraz!

— Zrobimy sobie chyba drugą rundkę.

Kiedy taksówka w końcu wjechała na Green Street, Lauren wypytywała Paula o pobudki działania Arthura. Dlaczego podjął tak wielkie ryzyko?

— Tej tajemnicy nie mogę zdradzić! I tak zastanawiam się już, czy zechce mnie utopić, czy może spali żywcem, kiedy się dowie, że pani powiedziałem... chyba nie zażąda pani ode mnie, żebym sam kupił urnę na moje prochy!

— Ja tam myślę, że podjął to ryzyko, bo się w pani zadurzył — stwierdził z przekonaniem taksówkarz, którego rozmowa tej dwójki coraz bardziej pasjonowała.

Samochód zaparkował przed domem Lauren, a taksówkarz odwrócił się do pasażerów.

— Jeżeli sobie państwo życzą, możemy się tu trochę pokręcić. Wyłączę licznik. Pojeździmy chwilę, bo może wam się przypomni, że macie sobie coś jeszcze do opowiedzenia.

Lauren pochyliła się nad Paulem, żeby otworzyć drzwi, a on spojrzał na nią zdziwiony.

— Przecież to pani dom, nie mój.

— Wiem — powiedziała. — Ale to pan tu wysiada. Ja zmieniłam zdanie. Muszę coś jeszcze załatwić.

— Dokąd pani jedzie? — zapytał z niepokojem, jednak posłusznie wysiadł.

Drzwi się zatrzasnęły i taksówka zniknęła na Green Street.

— A czy mnie zechce pani powiedzieć, dokąd jedziemy? — zapytał kierowca.

— Tam, skąd przyjechaliśmy — odparła Lauren.

Miss Morrison ukryła Pabla w torbie i weszła z nim do szpitala. Gdy dotarli do pokoju, psiak usadowił się na kolanach Arthura. Na ekranie zawieszono wysoko telewizora Scarlett O'Hara szła po szerokich schodach, a uszczęśliwiony Pablo merdał ogonem. Kiedy Rhet Butler wszedł do domu i zbliżył się do Scarlett, psiak stanął na tylnych łapach i groźnie warknął.

— Jeszcze nigdy nie widziałem go w takim stanie — uśmiechnął się Arthur, obserwując psa.

— Tak, mnie też to dziwi, książka wcale mu się nie podobala! — stwierdziła Rose.

Scarlett nieufnie patrzyła na Rhetta, kiedy rozdzwonił się telefon. Arthur podniósł słuchawkę, nie odrywając oczu od ekranu.

— Nie przeszkadzam ci? — zapytał drżącym głosem Paul.

— Przykro mi, ale teraz nie mogę rozmawiać, jestem z lekarzami! Oddzwonię.

I Arthur rozłączył się, porzucając Paula na środku Green Street.

— Cholera jasna! — mruknął Paul, wsadził ręce do kieszeni i ruszył pieszo do domu.

Nagrodzony dziesięcioma Oscarami film właśnie się skończył. Miss Morrison schowała Pabla do torby i obiecała Arthurowi, że wkrótce znów do niego zajrzy.

— Proszę się nie trudzić, za kilka dni wrócę do domu.

Przy wyjściu Rose natknęła się na młodą lekarzkę, która szła w przeciwną stronę, najwyraźniej się spiesząc. Gdzie też mogła wcześniej spotkać tę dziewczynę?

# 17

— Wszystko w porządku? — zapytała Lauren, stając przy łóżku. — Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym usiadła na tym krześle? — dorzuciła zaczepnym tonem.

— Skądże znowu — odparł Arthur, unosząc się na łokciu.

— A gdybym tkwiła tu przez dwa tygodnie — czy to też by panu nie przeszkadzało?

Arthur spojrział na nią, zbity z tropu.

— Podwiozłam taksówką pańskiego przyjaciela, Paula, i trochę sobie pogadaliśmy...

— Tak? Powiedział pani coś ciekawego?

— Prawie wszystko!

Arthur spuścił oczy.

— Bardzo mi przykro.

— A to dlaczego? Dlatego że uratował mi pan życie, czy może dlatego że zachowuje się pan jakby nigdy nic? Już kiedy badałam pana po raz pierwszy, pan mnie rozpoznał, prawda? Bo przecież — niech pan uspokoi moje obawy — nie porywa pan kobiet tydzień w tydzień i moja twarz nie złała się z setkami innych.

— Nigdy pani nie zapomniałem.

Lauren splotła ręce.

— Teraz musi mi pan powiedzieć, dlaczego pan to wszystko zrobił!

— Żeby pani nie odłączyli!  
— Tyle już wiem, ale pański kolega nie chciał mi powiedzieć reszty.

— Jakiej reszty?  
— Dlaczego właśnie ja? Dlaczego podjął pan tak wielkie ryzyko dla nieznanegoj?

— Pani zrobiła dla mnie to samo, zgadza się?  
— Ale pan był moim pacjentem! A kim, do diabła, ja mogłam być dla pana?

Arthur milczał. Lauren podeszła do okna. W parku ogrodnik grabił alejki. Odwróciła się gwałtownie, twarz miała gniewną.

— Zaufanie to najcenniejsza wartość na tym świecie. Ale jest też bardzo krucha. Gdy go zabraknie, wszystko staje się niemożliwe. W moim otoczeniu nikt nie okazał mi zaufania, więc jeśli przyłączy się pan do nich wszystkich, nie będziemy już mieli o czym rozmawiać. Gmach wznoszony na kłamstwie nie oprze się wichurze.

— Wiem, ma pani rację, ale i ja miałem swoje powody.  
— Chętnie je uszanuję, ale przecież odnoszą się do mnie, prawda? To już szczyt wszystkiego, mówi pan do osoby, którą pan porwał!

— Pani też mnie porwała, więc jesteśmy kwita.

Lauren rzuciła mu groźne spojrzenie i poszła w stronę drzwi. Zanim je za sobą zamknęła, odwróciła się i powiedziała drwiącym tonem:

— Bo mi się podobałeś, durniu!

Trzasnęła drzwiami. Arthur jeszcze przez chwilę słyszał, jak szybko kuśtyka po korytarzu.

— Czy teraz możesz ze mną rozmawiać? — zapytał Paul, gdy Arthur odebrał dzwoniący od dobrej minuty telefon.

— Chciałeś mi o czymś powiedzieć?

— Uśmiejesz się, ale chyba palnąłem głupstwo.

— Daruj sobie to „uśmiejesz się”, ona przed chwilą stąd wyszła.

Arthur słyszał przyspieszony oddech Paula, któremu znowu zabrakło słów.

— Znienawidziłeś mnie?

— Czy Onega w końcu zadzwoniła? — zapytał Arthur, ignorując obawy przyjaciela.

— Umówiliśmy się dziś na kolację — szepnął nieśmiało Paul.

— W takim razie zacznij się szykować, a mnie daj spokój, bo muszę to wszystko przemyśleć.

— Niezły pomysł.

I obaj odłożyli słuchawki.

— Udało się? — zapytał czekający na Lauren taksówkarz.

— Na razie trudno powiedzieć.

— Pod pani nieobecność zadzwoniłem do żony i uprzedziłem, że wrócę dziś dość późno. Jestem do pani dyspozycji. Dokąd teraz jedziemy?

Lauren zapytała, czy mogłaby skorzystać z jego telefonu. Taksówkarz z promiennym uśmiechem podał jej komórkę i Lauren wybrała numer mieszkania w pobliżu Mariny. Pani Kline odezwała się już po pierwszym dzwonku.

— Umówiłaś się wieczorem na brydża? — zapytała Lauren.

— Tak — potwierdziła matka.

— W takim razie odwołaj spotkanie i ubierz się ładnie, bo zabieram cię na kolację do restauracji. Przyjadę po ciebie za godzinę.

Taksówkarz zawiózł Lauren na Green Street. Poprosiła, żeby czekał, musiała się przebrać.

Lauren szła przez salon, po drodze rzucając na podłogę różne części garderoby. Sąsiad zdążył już naprawić kran. Stojąc pod prysznicem, wysunęła prawą nogę na zewnątrz.



Po kilku minutach wyszła owinięta ręcznikiem. Drugi pełnił rolę turbanu na mokrych włosach. Otworzyła szafę w łazience i szukała czegoś odpowiedniego, nucąc swoją ulubioną piosenkę *Fever* w wykonaniu Peggy Lee. Sięgnęła po dzinsy, ale potem, chcąc sprawić przyjemność matce, zdjęła z wieszaka zwiewną sukienkę.

Ubrana i delikatnie umalowana, wyjrzała przez okno. Taksówka wciąż stała pod domem. Lauren usiadła na kanapie i w zadumie po raz pierwszy obserwowała wspaniały zachód słońca przez małe narożne okno.

Była siódma, kiedy taksówkarz zatrąbił pod domem pani Kline. Matka Lauren wsiadła do samochodu i spojrzała na córkę. Już od lat nie widziała jej tak wystrojonej.

— Mogę cię o coś zapytać? — szepnęła jej do ucha. — Dlaczego na liczniku jest aż osiemdziesiąt dolarów?

— Wyjaśnię ci to przy kolacji. Możesz zapłacić za kurs, bo nie mam przy sobie gotówki. Ale kolację stawiam ja.

— Mam nadzieję, że nie zaciągniesz mnie do fast foodu!

— Do Cliff House — powiedziała Lauren, zwracając się bardziej do taksówkarza niż do pełnej obaw matki.

Paul pędził po schodach do domu, przeskakując po kilka stopni. Onega leżała na kanapie i zalewała się łzami.

— Co się stało? — zapytał, klękając przy niej.

— To Tołstoj — szepnęła, zamykając książkę. — Nigdy nie udało mi się doczytać do końca *Anny Kareniny!*

Paul chwycił ją w ramiona i cisnął w kąt powieść.

— Wstawaj, musimy coś uczcić!

— A co? — zapytała, ocierając łzy.

Paul poszedł do kuchni, a po chwili wrócił z dwoma kieliszkami i butelką wódki.

— Za Annę Kareninę! — powiedział, wznosząc toast.

Onega wychyliła kieliszek do dna i zamachnęła się, jakby zamierzała rzucić go za siebie.

— Przyznaj, że już bałeś się o wykładowinę?

— To perski dywan z roku tysiąc dziewięćset dziesiątego! Idziemy na kolację?

— Jeśli masz ochotę. I nawet wiem, dokąd się dziś wybierzymy.

I Onega zabrała Paula i butelkę wódki do sypialni. Piętą zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Profesor Fernstein postawił walizkę Normy w uroczym pokoju hotelu Wine Country Inn. Od wielu miesięcy planowali ten wypad do Nappa Vallee. Zjedli obiad w Sonoma, potem dojechali do Calistoga, by przenocować w St. Helena. Tak poważna decyzja zasługiwała na uczczenie. W przededniu Fernstein przygotował pismo do prezesa zarządu Memorial Hospital, informując o chęci przejścia na emeryturę o kilka miesięcy wcześniej. W innym piśmie, skierowanym do dyrekcji szpitala, zalecał, by jak najszybciej powołać na stanowisko ordynatora Lauren Kline, byłoby bowiem ogromną stratą, gdyby to inny szpital wykorzystywał w przyszłości wysokie kwalifikacje najlepszej z uczennic profesora.

W przyszły poniedziałek Norma i Fernstein zamierzali lecieć do Nowego Jorku. Ale przed powrotem do miasta, w którym się urodził, profesor chciał jeszcze przez kilka dni nacieszyć się Kalifornią.

Punktualnie o dwudziestej pierwszej George Pilguez przywiózł Natalię do komisariatu numer siedem.

— Włożyłem ci ciasteczka do torby.

Pocałowała go w usta i wysiadła z samochodu. Pilguez otworzył okno i kiedy szła po schodach komisariatu, krzyknął tonem przestrogi:

— Gdyby któryś z moich dawnych kolegów chciał się dowiedzieć, kto upiekł te fantastyczne ciasteczka, nie pękaj — mogą cię zamknąć najwyżej na czterdzieści osiem godzin...

Natalia skinęła mu ręką i zniknęła za drzwiami budynku. Pilguez jeszcze przez chwilę stał na parkingu, zastanawiając się, czy to starość, czy może emerytura sprawiły, że coraz gorzej znosił osamotnienie. „Może po prostu jedno i drugie”, westchnął i odjechał.

#### iv

Noc była bezchmurna, na niebie błyszcząły gwiazdy. Lauren i pani Kline wyszły z Kali na spacer po Marinie.

— Kolacja była pyszna. Już dawno się tak nie objadałam. Dziękuję.

— Chciałam cię zaprosić, dlaczego nie pozwoliłaś mi zapłacić?

— Bo wydałabyś całą pensję, a poza tym wciąż jestem twoją matką.

W małym porcie maszty jachtów skrzypiały w rytm lekkiej bryzy. Było ciepło. Pani Kline rzuciła daleko przed siebie kij, który trzymała w ręce, i Kali ruszyła w pościg za nim.

— Chciałaś uczcić jakieś radosne wydarzenie?

— Właściwie nie — odpowiedziała Lauren.

— To dlaczego zależało ci na tej kolacji?

Lauren zatrzymała się, spojrzała matce w oczy i ujęła ją za rękę.

— Jest ci zimno?

— Raczej nie — powiedziała pani Kline.

— Na twoim miejscu podjęłabym taką samą decyzję. Gdybym mogła, sama bym cię o to poprosiła.

— O co byś poprosiła?

— Żeby odłączyć aparaturę!

Oczy Emily Kline wezbrały łzami.

— Od dawna o tym wiesz?

— Mamo, nie chcę, żebyś się mnie bała, słyszysz. Już nigdy. Różnimy się, każda z nas ma inny charakter, a moje życie nie będzie podobne do twojego. Ale chociaż czasami się piekle, nigdy cię nie osądzałam i nie zamierzam tego robić. Jesteś moją matką, noszę cię w sercu i cokolwiek by się stało, masz tam swoje miejsce, będziesz w nim, dopóki żyję.

Pani Kline chwyciła córkę w ramiona, a Kali podbiegła, żeby wśliznąć się pomiędzy obie kobiety i przytulić do nich — w końcu i ona miała w rodzinie swoje miejsce.

— Może podwozę cię do domu? — zapytała pani Kline, ocierając oczy wierzchem ręki.

— Nie, muszę się przejść, żeby spalić nadmiar kalorii po naszej wieczornej uczcie.

I Lauren oddaliła się, machając matce na pożegnanie. Kali wahała się, zwracała łeb to w prawo, to w lewo. Z całej siły ścisnęła w pysku kij i ruszyła za swoją panią. Lauren przykłęknęła, pogłaskała suczkę po łbie i szepnęła jej do ucha:

— Idź z nią, nie chcę, żeby dziś w nocy była zupełnie sama.

Podniosła z ziemi kij i rzuciła nim w kierunku matki. Kali zaszczekała i pobiegła do Emily Kline.

— Lauren?

— Słucham?

— Nikt już nie wierzył, że to nastąpi. To był cud.

— Wiem.

Matka podeszła do niej.

— A te kwiaty w twoim mieszkaniu... nie były ode mnie.

Lauren spojrzała na nią, marszcząc brwi. Pani Kline wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła z niej małą pomiętą kartkę. Podała ją córce.

Lauren wygładziła papier i odczytała dwa zapisane na nim słowa.

Uśmiechnęła się i pocałowała matkę, a potem oddaliła się od niej biegiem.

Wody zatoki migotały w świetle wschodzącego słońca, Arthur nie spał. Wstał i wyszedł na korytarz. Pokonywał go, przeskakując z białych pól linoleum na czarne, jak na szachownicy, która ciągnęła się w nieskończoność.

Pielęgniarka wychyliła się z dyżurki i wyszła mu naprzeciw. Arthur zapewnił, że czuje się bardzo dobrze. Przyjęła to oświadczenie z uśmiechem, ale odprowadziła go do pokoju, prosząc, by zdobył się na odrobinę cierpliwości. Pod koniec tygodnia prawdopodobnie będzie mógł opuścić szpital.

Kiedy się oddaliła, Arthur podniósł słuchawkę i wybrał numer Paula.

— Przeszkadzam ci?

— Skądże znowu — skłamał Paul. — Wolę nawet nie sprawdzać, która godzina.

— Miałeś rację! — podjął Arthur. — Przywrócę temu domowi blask, wyremontuję fasady, naprawię okna, oczyszczę i polakieruję wszystkie deski, nawet na werandzie. Zlecę temu rzemieślnikowi, o którym mi mówiłeś, zerwanie kafelków w kuchni, niech je odrestauruje, chcę, żeby dom wyglądał jak dawniej, nawet huśtawka będzie jak za dawnych lat.

Paul przeciągnął się leniwie. Mrużąc zaspane oczy, spojrzał na budzik stojący na nocnym stoliku.

— Urządzasz mi zebranie robocze o piątej czterdzieści pięć rano?

— Chcę zrekonstruować dach garażu w ogrodzie, zadbać o rozarium, przywrócić życie temu miejscu.

— Zamierzasz zacząć już teraz, czy może jeszcze trochę z tym zaczekasz? — zapytał nieco już zirytowany Paul.

— W poniedziałek zajmij się kosztorysem — ciągnął z zapalem Arthur. — Za miesiąc zaczynamy remont. W weekendy

będę tam jeździł, żeby nadzorować postępy prac, od początku do końca! Pomożesz mi?

— Pozwolisz, że wrócę teraz do krainy snów, a jeśli spotkam tam budowlańców, poproszę o harmonogram prac i zadzwonię do ciebie, kiedy się obudzę, nudziarzu!

I Paul odłożył słuchawkę.

— Kto to był? — zapytała Onega, tuląc się do niego.

— Wariat!

Upalne letnie popołudnie płynęło leniwie. Lauren zatrzymała się za parkingiem dla wozów policyjnych. Weszła do komisariatu i powiedziała dyżurnemu, że chciałaby skontaktować się z pewnym emerytowanym inspektorem, niejakim George'em Pilguezem. Policjant wskazał jej krzesło. Podniósł słuchawkę i z kimś się połączył.

Po kilku minutach rozmowy zapisał na kartce adres i skinął na Lauren.

— Proszę—powiedział, podając jej kartkę. — Czeka na panią.

Mieszkał w małym domku na drugim końcu miasta, między Piętnastą a Szesnastą Ulicą. Lauren zaparkowała przy bramie. George Pilguez był w ogrodzie. Schował za plecami sekator i róże, które właśnie ściał.

— Ile razy przejechała pani na czerwonym świetle? — powiedział, spoglądając na zegarek. — Nigdy nie udało mi się pokonać tej trasy tak szybko, nawet na sygnale.

— Piękne kwiaty! — zignorowała tę uwagę Lauren.

Nieco speszony zaproponował, żeby usiadła na werandzie.

— W czym mogę pani pomóc?

— Dlaczego go pan nie aresztował?

— Może coś przeoczyłem, ale nie rozumiem pani pytania.

— Mówię o tym architekcie. Wiem, że to pan przywiózł mnie do szpitala.

Stary inspektor popatrzył na Lauren i usiadł, krzywiąc się.

— Może napije się pani lemoniady?

— Wolałabym, żeby pan odpowiedział na moje pytanie.

— Wystarczy, że człowiek spędzi dwa lata na emeryturze, a świat już staje na głowie. Lekarze przesłuchują gliniarzy, tego jeszcze nie było!

— Czyżby odpowiedź była dla pana aż tak kłopotliwa?

— Wszystko zależy od tego, co pani już wie, a o czym nie ma pojęcia.

— Wiem prawie wszystko!

— To po co pani tu przyszła?

— Bo nie cierpię tego „prawie”!

— Wiedziałem, że fajna z pani dziewczyna! Przyniosę coś do picia, zaraz wracam.

Włożył róże do zlewu w kuchni i zdjął fartuch. Potem wyjął z lodówki dwie butelki lemoniady i na chwilę zatrzymał się przy lustrze w przedpokoju, żeby uładzić tych parę włosów, które mu jeszcze zostały.

— Zimna! — oświadczył, siadając przy stole.

Lauren podziękowała.

— Pani matka nie wniosła skargi, nie miałem podstaw, żeby zapuszkować tego pani architekta!

— O ile się nie mylę, porwanie to przestępstwo ścigane z urzędu, prawda? — zapytała Lauren, popijając lemoniadę.

— Owszem, ale niestety akta sprawy gdzieś się zawieruszyły. Wie pani, jak to jest, w komisariatach czasami panuje potworny bałagan!

— Proszę powiedzieć wprost — nie chce mi pan pomóc?

— Jak dotąd, nie wiem nawet, czego chciałaby się pani dowiedzieć!

— Próbuję zrozumieć.

— W tej sprawie zrozumiałe jest tylko jedno: ten facet ocalił pani życie.

— Dlaczego to zrobić?

— Nie mnie powinna pani o to pytać. Tylko on zna odpowiedź, a teraz ma go pani pod ręką... to pani pacjent.

— Nie chce nic powiedzieć.

— Domyślam się, że ma swoje powody.

— A jakie pan ma powody, żeby ukrywać przede mną prawdę?

— Pani doktor, podobnie jak panią obowiązuje mnie tajemnica zawodowa. Nie sądzę, żeby z chwilą przejścia na emeryturę mogła się pani czuć z niej zwolniona.

— Chcę tylko poznać motywy jego działania.

— Czy to, że chciał panią uratować, nie wystarczy? Przecież i pani robi to na co dzień. Ratuje pani obcych ludzi! Ma mu pani za złe, że chciał choć raz tego spróbować?

Lauren dała za wygraną.

Podziękowała inspektorowi za rozmowę i poszła w stronę samochodu. Pilguez ruszył za nią.

— Proszę zapomnieć o tych morałach, które pani prawilem. Bronilem się. Nie mogę opowiedzieć tego, co wiem, bo wyjde na szaleńca. Jest pani lekarką, ja starym człowiekiem, nie chcę, żeby mnie ubezwłasnowolnili i wsadzili do domu wariatów.

— Zapomniał pan, że obowiązuje mnie tajemnica zawodowa?

Inspektor spojrział na nią badawczo. Oparty o otwarte drzwi samochodu, snuł opowieść o najbardziej niewiarygodnej przygodzie, jaką zdarzyło mu się przeżyć. Ta historia zaczęła się pewnej letniej nocy w domu nad oceanem, w zatoce Carmelu...

— Cóż jeszcze mógłbym dodać? — ciągnął Pilguez. — Na dworze było trzydzieści stopni, w domu prawie tyle samo. A ja drżałem, pani doktor! Spała pani w łóżku, w tym małym gabinecie, my siedzieliśmy obok, a ja, słuchając jego obłąkańczej historii, czułem pani obecność, albo koło niego, albo znów tak, jakby siedziała pani przy mnie. I wtedy mu uwierzyłem. Prawdopodobnie po prostu chciałem mu uwierzyć. Nie pierwszy raz wracam myślami do tej sprawy. Ale jak mam to wytłuma-



czyć? Ta historia odmieniła moje spojrzenie na świat, może nawet odbiła się na życiu. Trudno, może mnie pani uważać za starego wariata.

Lauren położyła dłoń na rękę policjanta. Jej twarz rozbłysła.

— Ja też myślałam, że popadam w obłąd. Obiecuję, że kiedyś opowiem panu historię równie nieprawdopodobną jak pańska. Przytrafiła mi się w dniu święta kraba.

Wyciągnęła szyję, żeby cmoknąć go w policzek, a już po chwili jej samochód zniknął za rogiem.

— Czego chciała? — spytała zaspana Natalia, stając w progu domu.

— To ma związek z tą starą sprawą.

— Czyżby wznowili śledztwo?

— Ona je wznowiła. Chodź, przygotuję ci śniadanie.

# 18

Nazajutrz rano Paul przyszedł do szpitala. Arthur siedział w pokoju, już ubrany.

— Kazałeś na siebie czekać!

— Już od godziny jestem na dole. Powiedzieli mi, że nie możesz wyjść przed obchodem, a obchód zaczyna się o dziewiątej, dlatego nie wszedłem na górę.

— Już u mnie byli.

— Nie ma starego zrzędy?

— Nie widziałem go od operacji; zajmuje się mną inny lekarz. Idziemy? Coraz gorzej znoszę to miejsce.

Lauren szybkim krokiem szła przez hol. Wsunęła identyfikator do czytnika i weszła do biura rejestracji. Betty podniosła głowę znad kartoteki.

— Gdzie Fernstein? — zapytała Lauren tonem, w którym wyczuwało się determinację.

— Wiem, że ludzie czasami pakują się w problemy, ale ty po prostu ich szukasz!

— Zadałam pytanie, więc mi odpowiedz!

— Widziałam, że wszedł do swojego gabinetu, chciał zabrać jakieś papiery. Powiedział, że wpadł tylko na chwilę.

Lauren podziękowała Betty i poszła w stronę wind.

Profesor siedział przy biurku. Pisał list. Ktoś zapukał do drzwi. Fernstein odłożył pióro i wstał, żeby wpuścić interesanta. Lauren weszła, nie czekając na zaproszenie.

— Wydawało mi się, że jeszcze przez kilka dni nie ma pani wstępu do tego budynku? Ale może pomyliłem się w rachunkach — powitał ją.

— A jaką karę należałoby wymierzyć lekarzowi, który okłamuje pacjentów?

— Wszystko zależy od tego, czy działał w interesie chorych.

— A jeśli pacjent jest równocześnie uczniem tego lekarza?

— Wtedy lekarz staje się niewiarygodny. Sądzę, że w takiej sytuacji pozostaje mu tylko podać się do dymisji albo przejść na emeryturę.

— Dlaczego ukrył pan przede mną prawdę?

— Właśnie pisałem do pani list.

— Stoję przed panem, proszę mi więc powiedzieć prosto w oczy, o co chodzi!

— Prawdopodobnie myśli pani o tym wariacie, który całymi dniami przesiadywał w pani pokoju. Zastanawiałem się nawet, czy nie skierować go na oddział zamknięty z powodu urojeń, ale ograniczyłem się do unieszkodliwienia go. Gdybym pozwolił, żeby opowiedział pani tę swoją bajkę, może nawet poddałaby się pani hipnozie, byle tylko wyjaśnić ten koszmar! Nie po to wyprowadziłem panią ze śpiączki, żeby znowu pani w nią zapadła, i to na własne życzenie.

— Brednie! — krzyknęła Lauren, uderzając pięścią w blat biurka profesora Fernsteina. — Niech pan wreszcie powie prawdę!

— Rzeczywiście chce pani poznać prawdę? Uprzedzam, że może okazać się przykra.

— Dla kogo?

— Dla mnie! Podczas gdy ja utrzymywałem panią przy życiu w szpitalu, on twierdził, że żyje z panią gdzie indziej! Pani matka zapewniała mnie, że się nie znaliście przed wypadkiem, ale kiedy mi o pani opowiadał, każde jego słowo wska-

zywało na to, że musiał dobrze panią znać. Czy chce pani usłyszeć coś nieprawdopodobnego? Był tak przekonujący, że o mało nie uwierzyłem w jego bajkę.

— A jeśli to była prawda?

— W tym problem. Taka prawda by mnie przerosła!

— Iz tego powodu okłamywał mnie pan przez całe lata?

— Nie okłamywałem pani, a tylko chronilem przed prawdą nie do przyjęcia.

— Nie docenił mnie pan!

— Jeśli nawet zdarzyło mi się to po raz pierwszy w życiu, nie będzie mi pani chyba miała tego za złe?

— Dlaczego nie próbował pan zrozumieć?

— A po co! Sam siebie też nie doceniałem. Całe życie przed panią i mnóstwo czasu, żeby zrujnować sobie karierę, poświęcając się wyjaśnianiu tej zagadki. Widziałem już błyskotliwych młodych lekarzy, którzy zapragnęli dokonać zbyt szybkiego postępu w medycynie. Wszyscy skręcili kark. Pewnego dnia zrozumie pani, że w naszej dziedzinie geniusz nie przejawia się w przekraczaniu granic wiedzy, ale w jej poszerzaniu w spokojnym rytmie, który nie godzi w ustalony ład i moralność.

— Dlaczego pan zrezygnował?

— Bo pani ma przed sobą długie życie, a ja wkrótce umrę. Z braku czasu!

Lauren zamilkła. Patrzyła na starego profesora i czuła napływające do oczu łzy.

— Błagam, niech mi pani tego oszczędzi! Dlatego wolałem do pani napisać. Spędziliśmy razem wiele wspólnych lat, nie chcę zapisać się w pamięci swej uczennicy tylko jako patetyczny stary profesor.

Lekarka okrzyła biurko i objęła Fernsteina. On wciąż stał z opuszczonymi rękami, aż w końcu niezręcznie przytulił ulubienicę i szepnął jej do ucha:

— Jest pani moją dumą, największym sukcesem, proszę nigdy się nie poddawać! Dopóki pani tu będzie, i ja będę żył

w pani. Później będzie pani musiała uczyć innych. Ma pani do tego i talent, i zapał. Pani jedynym wrogiem jest własny charakter, ale z czasem można się i z tym uporać. Proszę pomyśleć o mnie — całkiem nieźle sobie poradziłem! Szkoda, że nie знаła mnie pani jako młodego człowieka! No, a teraz proszę stąd wyjść i nie oglądać się za siebie. Mogę płakać z pani powodu, ale nie chcę, żeby pani o tym wiedziała.

Lauren z całych sił przytuliła się do Fernsteina.

— Jak mam sobie bez pana radzić? Z kim będę się kłóciła? — szepnęła, szlochając.

— W końcu wyjdzie pani za męża!

— W poniedziałek już tu pana nie zastanę?

— Wprawdzie jeszcze nie umrę, ale wybieram się w podróż. Już się nie zobaczymy, jednak wiem, że często będziemy o sobie myśleć.

— Tak wiele panu zawdzięczam...

— Nie — zaprzeczył Fernstein, cofając się o pół kroku. — Zawdzięcza to pani wyłącznie sobie. Każdy profesor nauczyłby panią tego co ja, nie każdy uczeń potrafiłby wykorzystać tę wiedzę tak jak pani. Jeżeli nie powieli pani moich błędów, zostanie pani wybitnym lekarzem.

— Nie popełnił pan żadnego błędu.

— Zbyt długo kazałem czekać Normie, gdybym wcześniej pozwolił jej zaistnieć w moim życiu i gdybym odważył się dzielić jej życie, byłbym nie tylko sławnym profesorem, osiągnąłbym znacznie więcej.

Odwrócił się do niej plecami i skinął ręką. Powinna już iść. I zgodnie z jego wolą Lauren wyszła z gabinetu, nie oglądając się za siebie.

Paul odwiózł Arthura do domu. Kiedy pojawiła się miss Morrison z Pablem, pobiegł do biura. W piątek dzień zwykle okazywał się zbyt krótki, a dziś czekał na niego cały stos

dokumentów do przejrzenia. Zanim wyszedł, Arthur poprosił go o jeszcze jedną przysługę, o coś, o czym marzył od kilku dni.

— Zobaczmy, jak będziesz się czuł jutro rano. Zajrzę do ciebie jeszcze dziś wieczorem. A teraz odpocznij.

— Wciąż tylko odpoczywam!

— I rób tak dalej!

Lauren wyjęła ze skrzynki na listy szarą kopertę. Otworzyła ją, idąc po schodach. W progu mieszkania wyjęła z niej dużą fotografię i załączony do niej liścik.

*Przez wszystkie lata pracy rozwikłałem większość zagadek, szukając wyjaśnienia na miejscu zbrodni. Oto zdjęcie i adres domu, w którym panią odnalazłem. Liczę na Pani dyskrecję. Te akta zaginęły z mojej winy...*

*Powodzenia.*

*Georges Pilguez*

*Emerytowany inspektor policji*

*PS: Wcale się Pani nie zmieniła.*

Lauren zamknęła kopertę, spojrzała na zegarek i pobiegła do garderoby. Pakując torbę podróżną, zadzwoniła do matki.

— Wydaje mi się, że to kiepski pomysł. Twój ostatni weekendowy wypad do Carmelu...

— Mamo, proszę cię tylko, żebyś jeszcze przez jakiś czas zajęła się Kali.

— Kazałaś mi obiecać, że nie będę się o ciebie bała, ale nie możesz mi zabronić, żebym się bała za ciebie. Bądź ostrożna i zadzwoń, kiedy już będziesz na miejscu. Chcę wiedzieć, że dojechałaś bez problemów.

Lauren rozłączyła się. Wróciła do garderoby, wspięła się na palce i ściągnęła z półki kilka toreb. Zaczęła je pakować, wciskając ubrania... i parę innych drobiazgów.

Arthur włożył czystą koszulę i spodnie. Pierwsze kroki na ulicy stawiał, trzymając pod ramię Rose. Za nimi włókł się na smyczy Pablo. Co chwilę trzeba go było ciągnąć przemocą, bo zapierał się wszystkimi łapami.

— Obejrzymy zakończenie filmu, kiedy już zrobisz, co masz do zrobienia! — powtarzała psu miss Morrison.

Drzwi mieszkania otworzyły się — do salonu wszedł Robert. Zbliżył się do odwróconej plecami Lauren i wziął ją w objęcia.

Kobieta drgnęła.

— Nie chciałem cię przestraszyć!

— Ale przestraszyłeś.

Robert rzucił okiem na piętrzące się z boku bagaże.

— Wybierasz się w podróż?

— Tylko na weekend.

— I zabierasz te wszystkie torby?

— Moja jest ta mała czerwona, która stoi przy drzwiach, pozostałe są twoje.

Odwróciła się i położyła mu ręce na ramionach.

— Mówiłeś mi, że po moim wypadku wszystko się zmieniło, ale to nieprawda. Nawet przedtem nie byliśmy zbyt szczęśliwi. Mam swoją pracę i dzięki niej właściwie nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nie rozumiem jednak, dlaczego i ty tego nie dostrzegłeś.

— Może dlatego, że cię kocham?

— Nie, ty kochasz nasz związek, bo wzajemnie chronimy się przed samotnością.

— To już niemało.

— Gdybyś zdobył się na szczerość, spojrzalbyś na to trzeźwiej. Chcę, żebyś odszedł, Robertcie. Spakowałam twoje rzeczy, zabierz je do siebie.

Robert patrzył na nią z miną zbitego psa.

— Czyli już po wszystkim. Zdecydowałaś, że to koniec?

— Nie, myślę, że podjęliśmy tę decyzję wspólnie, a ja tylko sformułowałam ją pierwsza.

— I nie chcesz dać nam drugiej szansy?

— To by była już trzecia. Od bardzo dawna ograniczamy się do bycia razem, ale ten komfort już mi nie wystarcza, potrzebuję prawdziwej miłości.

— Mogę zostać tu dziś na noc?

— No widzisz, mężczyzna mojego życia nie zadałby mi tego pytania.

Lauren wzięła torbę. Pocałowała Roberta w policzek i nie patrząc na niego, wyszła z mieszkania.

Silnik starego auta zaskoczył prawie natychmiast. Brama garażu podniosła się i triumf wyjechał na Green Street. Skręcił u wylotu ulicy. Na chodniku Jack Russell dreptał w kierunku skweru. Za platanem przechadzała się starsza pani z młodym mężczyzną.

Dochodziła czwarta, kiedy wyjechała na drogę numer jeden, tę, która biegła wzdłuż oceanu. W dali wyłaniały się z mgły falezy, niczym ciemna koronka z ognistym obrzeżem.

O zmroku dotarła do miasteczka, które wyglądało jak wymarłe. Zaparkowała na parkingu przy plaży i przysiadła na opus-



toszałym molo. Ciężkie chmury przesłaniały horyzont. Gdzieś niedzie różowe smugi dogasały na niemal już czarnym niebie.

Wczesnym wieczorem pojechała do Carmel Valley Inn. Recepcjonistka wręczyła jej klucze do bungalowu nad zatoką Carmel. Lauren wyjmowała rzeczy z torby, gdy pierwsze błyskawice rozdarły niebo. Wybiegła z domku, żeby przestawić wóz pod wiatę, wracała już w strugach deszczu. Otuliła się szlafrokiem z grubego frotte, zamówiła kolację i usiadła przed telewizorem. Na kanale ABC trafiła na swój ulubiony film, *An Affair to Remember*. Pozwoliła się ukołysać dzwoniącym o szyby kroplom deszczu. Kiedy Cary Grant złożył wreszcie pocałunek na ustach Deborah Kerr, mocno przytuliła poduszkę do piersi.

Deszcz ustał nad ranem. Krople wody spadały z drzew w rozległym parku, nie pozwalając Lauren zmrużyć oka. Ubrała się więc, zarzuciła na ramiona kurtkę i wyszła.

Samochód ścigał się z ostatnimi minutami tej długiej nocy, światła padały na biało-pomarańczowe słupki sygnalizujące każdy wiraż wykutej w skałach drogi. W dali Lauren dostrzegła posiadłość i zjechała na ziemną drogę. Zaparkowała na poboczu za zakrętem, ukrywając samochód za szpalerem cyprysów. Staneła przed kutą w żelazie zieloną bramą. Obok kłódki spinającej łańcuch wisiała tabliczka z adresem i telefonem agencji nieruchomości w rejonie zatoki Monterrey. Lauren prześlizgnęła się przez szczelinę między skrzydłami bramy.

Rozejrzała się, podziwiając urok tego zakątka. Szerokie pasy jasnobrazowej ziemi, na której rosły pinie i sosny, sekwoje, granatowce i drzewa chleba świętojańskiego, zdawały się opaść aż do oceanu. Podążyła kamiennymi schodkami. Gdy znalazła się w połowie drogi, dostrzegła po prawej stronie

zaniedbane rozarium. O park od dawna nikt się nie troszczył, ale różnorodność unoszących się w powietrzu woni przywoływała niezliczone wspomnienia. Wysokie drzewa kołysały się na lekkim wietrze wczesnego ranka.

Miała przed sobą dom o zamkniętych okiennicach. Podeszła bliżej, wbiegła po schodach na werandę i zatrzymała się. Można by pomyśleć, że ocean chciał skruszyć skały, na które fale ciskały splecione algi. Wiatr rozwiewał jej włosy, więc odruchowo odrzuciła je do tyłu.

Okrażyła dom, szukając sposobu dostania się do środka. Dotykając palcami fasady, natrafiła na deszczułkę pod jedną z okiennic. Wyciągnęła ją, a wtedy drewniane skrzydło odchyliło się, zgrzytając na zawiasach.

Lauren przywarła twarzą do szyby. Próbowwała unieść okno, cierpliwie nim poruszając, aż zamek odskoczył i odblokował mechanizm. Teraz już nic nie stało jej na przeszkodzie.

Zamknęła okiennicę i okno od środka. Znalazłszy się w małym gabinecie, kątem oka spojrzała na łóżko i zaraz wyszła.

Wolno przemierzała przedpokój, za którego ścianami każde pomieszczenie skrywało jakieś tajemnice. Lauren zastanawiała się, czy to głębokie przeświadczenie zrodziło się w niej pod wpływem opowieści, której wysłuchała w szpitalnym pokoju, czy może wynikało z wcześniejszych przeżyć.

Weszła do kuchni i jej serce uderzyło jeszcze mocniej — rozejrzała się, ocierając oczy, w których wezbrały łzy. Stary włoski ekspres do kawy, stojący na dużym stole, wydał się jej dziwnie znajomy. Niepewnie wyciągnęła rękę, podniosła ekspres, pogładziła go i odstawiła na miejsce.

Kolejne drzwi otwarły się na salon. Fortepian drzemał w mrocznym pokoju. Nieśmiało zbliżyła się do niego, usiadła

na taborecie, a jej palce same dotknęły klawiatury, by zagrać pierwsze takty *Claire de Lunę* z *Werthera*. Uklękła na dywanie i przeczesała palcami jego długie wełniane włosy.

Krażyła po całym domu, weszła na górę, obiegła wszystkie pokoje. I stopniowo wspomnienie domu zaczęło się przeradzać w terażniejszość.

Nieco później zeszła na parter i wróciła do gabinetu. Spojrzała na łóżko, wolno zbliżyła się do szafy i wyciągnęła rękę. Ledwie ją dotknęła, gałka zaczęła się obracać. Oczom Lauren ukazały się dwa lśniąco zamki małej czarnej walizki.

Usiadła po turecku i wcisnęła zamki. Odskoczyły, wieko się uniosło.

Walizka była pełna rozmaitych rzeczy — oprócz listów i fotografii był w niej samolot z masy solnej, naszyjnik z muszelek, srebrna łyżeczka, niemowlęce buciki i para dziecięcych okularów przeciwsłonecznych. Na jednej z kopert widniało jej imię. Wzięła ją drżącą ręką, wciągnęła woń papieru, otworzyła i zaczęła czytać.

Słowo po słowie snuł się łańcuch okruchów wspomnień, które zaczynały układać się w spójną całość...

Podeszła do łóżka i oparłszy głowę na poduszce, czytała wciąż na nowo ostatnią stronę:

*...Tak kończy się historia o Twoich uśmiechach i czasie nieobecności. Wciąż słyszysz, jak grasz na fortepianie mego dzieciństwa. Szukałem Cię wszędzie, nawet na krańcach świata. Znajdowałem wszędzie, gdzie byłem, i zawsze zasypiam, czując Twe spojrzenie. Twoje ciało jest moim ciałem. Z nas dwojga stworzyliśmy świat obietnic, razem żyliśmy przyszłością. Teraz już wiem, że najbardziej szalone z marzeń rodzą się z potęgi serca. Żyłem tam, gdzie*

*wspomnienie tworzy się we dwoje z dala od wścibskich oczu, w sbytości wiary, której panią pozostałaś.*

*Dałaś mi to, o czym nawet nie śniłem, czas, w którym każda sekunda wypełniona Tobą liczyć się będzie dla mnie bardziej niż wszystkie inne. Żyłem wszędzie, a Ty stworzyłaś dla mnie świat. Czy kiedyś to sobie przypominisz? Nie przypuszczałem, że można kochać tak mocno, jak kochałem Ciebie. Weszłaś w me życie jak pierwszy dzień cudownego lata.*

*Nie odczuwałem ani gniewu, ani żalu. Chwile, którymi mnie obdarowałaś, mają swe imię: zauroczenie. Nawet bez Ciebie nigdy już nie będę sam, bo wiem, że gdzieś jesteś.*

*Arthur*

Lauren zamknęła oczy, tuląc do siebie list. O wiele później zmorzył ją sen, który nie chciał nadejść nocą.

Było południe, złociste światło przedostawało się przez szpary w okiennicach. Obudził ją zgrzyt opon toczących się po żwirze alejki. Samochód podjechał pod sam dom. Lauren poderwała się, szukając miejsca, w którym mogłaby się ukryć.

— Przyniosę klucze i zaraz ci otworzę — powiedział Arthur, wysiadając z saaba.

— Może wolisz, żebym ja po nie poszedł? — zaproponował Paul.

— Nie, nie uda ci się otworzyć okiennicy, trzeba wiedzieć, jak sobie z nią poradzić.

Paul wysiadł, otworzył bagażnik i wyjął skrzynkę z narzędziami.

- Co robisz? — spytał Arthur, idąc w stronę domu.
- Zamierzam zdjąć ogłoszenie o sprzedaży, psuje widok.
- Zaczekaj chwilę, już ci otwieram — rzucił Arthur, podchodząc do okiennicy gabinetu.
- Nie spiesz się, stary! — odparł Paul, machając kluczem francuskim.

Arthur zamknął okno i podszedł do szafy, żeby wyjąć z czarnej walizki długi klucz. Otworzył drzwi i aż podskoczył. Przyczajona w mroku mała biała sówka, którą trzymała czyjaś ręka, patrzyła na niego zza ciemnych szkieł okularów, które natychmiast rozpoznał.

— Jestem pewna, że już nigdy nie będzie się bała światła dziennego — powiedział nieśmiały głos kryjącej się w szafie kobiety.

— I ja tak sądzę, bo sam nosiłem te okulary. Widzi się przez nie cudownie barwny świat.

— Podobno! — odparła Lauren.

— Nie chciałbym być wścibski, ale co wy obie robicie w tej szafie?

Postąpiła krok do przodu, wyłaniając się z ciemności.

— To, o czym za chwilę opowiem, trudno zrozumieć, nie sposób w to uwierzyć, jeżeli jednak zechce pan wysłuchać naszej historii, jeżeli zechcesz mi zaufać, może dasz wiarę moim słowom, a to bardzo ważne, ponieważ teraz już wiem, że jesteś jedyną osobą na świecie, z którą mogę dzielić mój sekret.

I Arthur wreszcie wszedł do szafy...

# Epilog

Boże Narodzenie Paul i Onega spędzili już w nowym mieszkaniu, w budynku sąsiadującym z Mariną.

Pani Kline odniosła zwycięstwo w turnieju brydżowym w mieście, potem wygrała turniej stanu Kalifornia. Zaczęła grać w pokera, a teraz walczy właśnie w półfinale mistrzostw krajowych w Las Vegas.

Profesor Fernstein zmarł w hotelowym pokoju w Paryżu. Norma zabrała go do Normandii, gdzie spoczął w pobliżu wuja, który w czerwcowy dzień 1944 roku poległ na francuskiej ziemi.

Georges Pilguez i Natalia pobrali się w małym weneckim kościele. Kiedy jedli kolację w Da Ivo — wspaniałej, zacisznej trattorii, nie mieli pojęcia, że obok nich siedzi doktor Lorenzo Granelli. Wciąż jeszcze podróżują po Starym Kontynencie. Niedawno do siódmego komisariatu dotarła widokówka z Istambułu.

Miss Morrison wygrała szaleńczy zakład — udało jej się zaręczyć Pabla z suczką rasy jack russell, która po narodzinach szceniąt okazała się być fokstenerką. Pablo wychowuje dwójkę z ich sześciorga dzieci.

Betty nadal pracuje w San Francisco Memoriał Hospital jako siostra przełożona izby przyjęć.

A Arthur i Lauren? No cóż, prosili, żeby im nie przeszkadzać...

Przez jakiś czas...